tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 22 (1273)
27.05-2.06.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. ANDRZEJ WERBLAN
ŻYCIE Z SYBERIĄ W TLE

ANDRZEJ SEWERYN
CZASEM POTRZEBUJEMY MITÓW

DR JAKUB SAWULSKI
TAKIE SKŁADKI, JAKI DOCHÓD

BEZPRAWNA
DZIAŁALNOŚĆ **KRRiT**

KRZYSZTOF ŚMISZEK

ROBERT BIEDROŃ

WYŚCIG PO €URO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
22 >
9 771509 311409

gprasa.pl 3729159136

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

DŁUGI WEEKEND Z NAJLEPSZYMI KOMEDIAMI

30 MAJA - 2 CZERWCA

CZEKAMY NA WAS!

WAKACJE W TEATRZE

CAPITALNE LATO!

- klimatyzowane sale teatralne
- orzeźwiające koktajle
- najlepsze emocje

• KUP BILET • www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni

RMF MAXX, onet, Rzeczpospolita, Tele Tydzień, Kobiety, ams, Familie.pl, Przegląd

Partnerzy Teatru

kicket, O bag, Aktywna Warszawa, Strefa Music, mzo, Teatr Capitol

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 3729f5913c

Robert Walenciak

Podszepty, których nie wolno słuchać

Coraz częściej słyszę, że koalicja rządząca nie ma pomysłu na rządzenie, poza jednym: chce rozliczać, chce wyciągać PiS różne rzeczy, chce się mścić. To wszystko mówione jest dobrotliwym tonem, że to droga donikąd, że wyborców to już nudzi i że rządzący mogliby odpuścić.

Czy koalicja ma pomysł na rządzenie, to temat na inną rozmowę. Ważniejsze jest coś innego – naciski, by odpuścić.

Nazwijmy rzecz po imieniu: to jest myślenie, po pierwsze, skażone własnym interesem, po drugie – antypaństwowe. Żeby nie rozliczać – to powtarzają ludzie z PiS związani, którzy dobrze żyli z państwa PiS i z możliwości, które im stwarzało. Im, a nie innym.

A przecież coraz więcej jest informacji, że okradano Polskę, że państwowe pieniądze szły na przedsięwzięcia ze szczytnymi hasłami, ale były to tylko szyldy, za którymi ukrywali się najzwyklejsi pieczeniarze. Są zeznania, są nagrania, ostatnie pochodzą od byłego dyrektora Departamentu Funduszu Sprawiedliwości Tomasza Mraza. Przypuszczam, że świadom przekrętów, które były jego udziałem, chciał się jakoś zabezpieczyć i nagrywał rozmowy ze swoimi zwierzchnikami… Tak przypuszczam, natomiast pewny jestem, że takich Mrazów, którzy dokumentowali szaleństwo i złodziejstwo władzy, jest wielu. Po prostu taka jest mentalność urzędników i funkcjonariuszy, że lubią mieć podkładki i zabezpieczenia. Sądzę więc, że jest kwestią czasu, kiedy dalsze rewelacje będą rzucane na stół. Że to dopiero się wylewa. I że prokuratorzy, wyzwoleni spod nadzoru ludzi Ziobry, będą mieli sporo roboty.

Dlatego ci różni „życzliwi" naciskają, by już nie ścigać PiS. To strach, że przyjdzie płacić za niedawne przekręty.

W tych namowach kryje się też niemoralna propozycja: odpuśćcie nam, to my odpuścimy wam. Jest to więc zamysł, by kastę polityków ulokować ponad prawem. By mogli wyprowadzać z państwowych instytucji i spółek skarbu państwa pieniądze i być bezkarni. Że ręka rękę myje.

To szczególnie groźne, i dla państwa, i dla społeczeństwa. Dlatego nie wolno ulegać podszeptom i namowom. Polska nie zasługuje na to, by być państwem okradanym, traktowanym jak zepsuty bankomat. Presja powinna iść w drugą stronę – by wszystko wyjaśnić. Tak, by tym, którzy brali, wymierzyć sprawiedliwość, a dla ich następców – by była to czytelna przestroga.

Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

W OKU SMOKA zobaczysz sensacyjną walkę o zdobycie władzy nad światem. Wojna szpiegów Rosji, USA i Chin.

Książka Tomasza Turowskiego dostępna tylko jako E-BOOK

Kup na sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

W NUMERZE

KRAJ

8 **Polski nie stać na obniżanie podatków zamożnym**
– rozmowa z dr. Jakubem Sawulskim

11 **Krajowa Rada Represjonowania Mediów**
Problem nie tylko ze Świrskim

16 **Für Deutschland**
Pisoodporne relacje gospodarcze

20 **Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek**
Marsz po euro

24 **Upadek uczelni medycznych?**
Nie kształćmy niby-lekarzy

28 **Postanowiłem się przystosować**
– rozmowa z Andrzejem Werblanem

34 **Polska niewierząca**
Jak oceniamy Kościół

OPINIE

31 **Radosław S. Czarnecki**
Łgarstwa i polityka

32 **John Feffer**
Dziś Haiti, jutro USA?

OBSERWACJE

35 **Grand Press Photo 2024**

56 **Smakujmy życie jak Włosi**
Matteo Brunetti poleca

ZAGRANICA

36 **Radykalna prawica zwiera szyki**
Korespondencja z Włoch

40 **Co czeka teraz Iran?**
Brak nadziei na zmianę kursu

KULTURA

42 **Bez pochopnych ocen**
– rozmowa z Andrzejem Sewerynem

46 **Qulturalia**

47 **Czerwone męki**
Klątwa kina historycznego

48 **Niepokój albo pytania o korzenie zła**
Warlikowski wraca do Elizabeth Costello

66 **Ewa Kuryluk**
Spotkanie na brzegu morza

HISTORIA

50 **Dentystka daleko od szosy**
Krzewienie zdrowia na wsi

SPORT

58 **Panie gwiżdżą na panów**
Mecz sędzi z seksizmem

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Robert Walenciak**
Podszepty, których nie wolno słuchać

15 **Jan Widacki**
A to Polska właśnie

19 **Andrzej Romanowski**
Uścisk generała

27 **Roman Kurkiewicz**
Krzyże poległy, balony Barbary, rowy tarczą

39 **Tomasz Jastrun**
Świniobicie

55 **Wojciech Kuczok**
Odkrzyżowanie

35
OBSERWACJE

GRAND PRESS PHOTO 2024

40
ZAGRANICA

CO CZEKA TERAZ IRAN?
Brak nadziei na zmianę kursu

48
KULTURA

NIEPOKÓJ ALBO PYTANIA O KORZENIE ZŁA
Warlikowski wraca do Elizabeth Costello

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 3729f5913c

Jaka pomoc?

Bardzo poruszyła mnie ostatnio sytuacja zaobserwowana w aptece. Jestem na emeryturze. Mam 84 lata. Pracowałam 50 lat jako nauczycielka i mój stan zdrowia jest adekwatny do stażu pracy i wieku. Leki, które przyjmuję, są niestety w całości odpłatne. Niedawno przyszłam do apteki, by zrealizować receptę. Do okienka podszedł 40-letni może Ukrainiec. Podał farmaceutce kartkę. „Darmo?", zapytał. „Tak, bezpłatnie", odpowiedziała farmaceutka. Dostał całą górę pudełek z różnymi lekarstwami. Spakował i poszedł. Ja za swoje zapłaciłam 140 zł. To nie jest pomoc, tylko wykorzystywanie nas – tak to odbieram. Należałoby tę pomoc sprowadzić do normalności. Nie tylko w aptece.

EK, Zabrze

Spory o Generała

Niestety, gen. Jaruzelski podczas oddawania władzy solidarnościowcom popełnił błąd. Nie przyszło mu do głowy, że sfrustrowane solidaruchy będą się mścić na przedstawicielach aparatu państwowego, i nie zapewnił bezpieczeństwa funkcjonariuszom, np. poprzez oddzielenie grubą kreską tego, co było, od szaleństwa, które miało nadejść w kolejnych 20 latach. W rezultacie ludziom dwa razy ukradziono emerytury – najpierw dokonała tego PO, a potem PiS. Ciekawe, czy gdyby generał nadal żył, jemu również zabraliby emeryturę?

Michał Czarnowski

Podzieleni jak nigdy

Na Słowacji doszło do tragedii. Za polaryzację na naszym podwórku w największym stopniu odpowiada PiS. To ta partia na początku XXI w. sięgnęła po ówczesne novum, czyli spin doktorów, którzy w swojej działalności posłużyli się najgorszymi zachodnimi, ale też po trosze wschodnimi wzorcami i wprowadzili je do polskiej polityki.

Po katastrofie w Smoleńsku czarny PR i marketing polityczny dodatkowo nabrały znaczenia. I o ile to PiS nakręciło tę spiralę hejtu i podziałów, o tyle coraz częściej niestety zauważam podobne sekciarstwo u zwolenników KO – jakakolwiek „nieprawomyślność" w stosunku do Tuska czy Trzaskowskiego spotyka się z gwałtowną, nierzadko prymitywną reakcją. Do tego sama KO stworzyła niedawno wyborczy klip, którego nie powstydziliby się Kurski, Bielan czy dawny (?) Kamiński…

A potem będzie wielki płacz i pytania rozemocjonowanych dziennikarzy, czy do tej tragedii musiało dojść, czy nie dało się jej uniknąć. Oby to było tylko moje czarnowidztwo. Oby ktoś w końcu przekłuł ten balon nienawiści poprzez konkretne przetasowania na naszej scenie politycznej. I jakieś prawdziwie nowe otwarcie.

Bogusz Dawidowicz

Roszczeniowi czy świadomi

To ostatni moment, aby załapać się na jakąkolwiek pracę! Problem jest postawiony na głowie! Ludzie, przestańcie myśleć kategoriami XIX w., praca będzie przywilejem! Sztuczna inteligencja pozbawi nas pracy całkowicie – wielkoprzemysłowa klasa pracująca już nie istnieje. Do końca dekady znikną kierowcy, pracownicy magazynów. Następni w kolejce są pracownicy supermarketów, piloci, maszyniści, nauczyciele (z wyjątkiem szkół dla tych obrzydliwie bogatych). Biuraliści będą zbyteczni jeszcze wcześniej. Już teraz sztuczna inteligencja potrafi sama się programować. Pracy zatem nie będzie też dla informatyków. Wszystkim ludziom, spadkobiercom kreatorów cywilizacji, należy się dywidenda w postaci godnych warunków życia. Już obecnie w Kalifornii istnieje powiat (county), gdzie mieszkańcom płacą za niepodejmowanie pracy. Nawet w Polsce rozważa się czterodniowy tydzień pracy.

Marek Karczewski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Ed Dwight, który 60 lat temu prawie został pierwszym czarnym astronautą, w wieku 90 lat w końcu poleciał w kosmos. Załoga misji NS-25 wylądowała w pobliżu bazy firmy Blue Origin niedaleko Van Horn w Teksasie. 19 maja 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3729f5913c

48 673,53 zł brutto otrzymuje 91-latek z Zabrza, który przeszedł na emeryturę w wieku 86 lat. To najwyższa emerytura w Polsce. Rekordzistami są także: mężczyzna z Warszawy, który przeszedł na emeryturę w wieku 85 lat (40 800 zł), kobieta z Bydgoszczy, która przeszła na emeryturę, mając 81 lat (37 396 zł), i mężczyzna z Poznania, który jest na emeryturze po ukończeniu 77 lat (35 571 zł).

•

Adam Michnik, redaktor naczelny i założyciel „Gazety Wyborczej", otrzymał Nagrodę Polskiego PEN Clubu im. Jana Parandowskiego za całokształt twórczości.

•

Zmarł Jan A.P. Kaczmarek, znany kompozytor, który stworzył muzykę do ponad 70 filmów i spektakli teatralnych. Twórca festiwalu Transatlantyk. Laureat Oscara za muzykę do filmu „Marzyciel".

•

Kogo z mediów **Daniel Obajtek gościł** najczęściej w Orlenie (lata 2018-2024)? Rekordzistą jest **Piotr Nisztor** (TVP), który był u niego 72 razy. 16 razy był **Zbigniew Benbenek** (właściciel ZPR Media, m.in. „Super Expressu"), a po 15 razy **Jacek i Michał Karnowscy** („Sieci") oraz **Krzysztof Berenda** (RMF FM) **(za „Press")**.

•

Mykoła Solski, minister rolnictwa Ukrainy aresztowany 23 kwietnia, tuż po spotkaniu z ministrem Czesławem Siekierskim, wpłacił prawie 2 mln dol. kaucji i wyszedł po dwóch dniach. Złożył rezygnację, a problemy zostawił rozbabrane.

•

„O!Polska", tygodnik lokalny z Opola, zdobył **tytuł Gazety Roku** w konkursie Stowarzyszenia Gazet Lokalnych.

•

O prawie 450 tys. wzrosła liczba recept ze 100-procentową płatnością wystawionych na uzależniające leki przeciwbólowe. W 2023 r. wystawiono 1 825 203 takie recepty. Recept z refundacją było 5 611 040. Leki opioidowe są łatwo dostępne przez internet.

•

Jak PiS chciało przeprowadzić korespondencyjne wybory prezydenta RP przy udziale Poczty Polskiej, skoro ponad **4 mln rodzin nie ma skrzynki pocztowej**?

•

W 2023 r. padł rekord zezwoleń wejścia na Mont Everest. Bilans jest tragiczny. 478 zezwoleń i 17 osób, które zginęły w czasie wspinaczki. W maju br. **pod Everestem koczuje już ok. 2,5 tys. osób z 45 wypraw.** Sąd Najwyższy Nepalu nakazał ograniczenie zezwoleń.

•

W Polsce działają **234 fermy norek**. Wartość eksportu skór wynosi 70 mln euro rocznie.

•

318,5 tys. kradzieży sklepowych zgłoszono policji w 2023 r.

•

Po Warszawie jeździ dziewięć pojazdów ze specjalnymi kamerami. Od 2020 r. zeskanowały 33 mln tablic rejestracyjnych. Wyegzekwowano 127,7 mln dodatkowych opłat.

•

Do końca roku zamknie swoją **fabrykę w Aleksandrowie Łódzkim** szwajcarski koncern ABB. Pracę przy produkcji silników niskich napięć straci kilkaset osób. Koncern przenosi produkcję do Chin.

•

Moc całego systemu energetycznego w Polsce to 62 GW. W tym 18,3 GW w fotowoltaice i 10,2 GW w farmach wiatrowych.

PRZEBŁYSKI

CPK dla wykluczonych

Miała być walka z wykluczeniem komunikacyjnym. A że boryka się z tym większość Polaków, politycy chętnie o tym gadają. Ale robią coś odwrotnego. Miłością wielką pokochali Centralny Port Komunikacyjny. Zdanie zmieniają nawet ludzie, którzy widzą cały bezsens tego pisowskiego humbugu. Zmieniają, bo ulegają wynikom badań.

Skąd się bierze tak duże poparcie Polaków dla CPK? Skąd w Polsce tylu znawców portów cargo i miłośników lotów do Singapuru czy Japonii? Ogromna kasa pójdzie na CPK, a wykluczeni nadal będą jeździć gruchotami lub siedzieć w domu. A może nawet bombardowani reklamami CPK zagłosują przeciwko swoim interesom? Wystarczy spojrzeć na listę mediów, które dostały zlecenia od CPK, i wszystko będzie jasne. „Gazeta Polska", „Sieci", radio RMF, „Puls Biznesu", Wirtualna Polska, a nawet kwartalnik „Apostoł". I wielu, wielu innych.

Bańka na wojnie z USA

Ministrem sportu był marniutkim. Takim przeciętniakiem jak wielu w rządzie PiS. Nieszczególnie bystry, ratował się przymilnością wobec ważniejszych od siebie. Typowy pisowski lizusik.

Kto by wtedy pomyślał, że Witold Bańka to prawdziwy kozak. Gdy został szefem WADA (Światowej Agencji Antydopingowej), wypowiedział wojnę USADA (Amerykańskiej Agencji Antydopingowej). Poszło o 23 chińskich pływaków, których Bańka uratował przed dyskwalifikacją za doping. Ukrył te działania przed światem.

Amerykanie oficjalnie ogłosili, że działanie Bańki jest „lekkomyślne i szkodliwe". A Chińczycy? W latach 2020-2021 wpłacili na rzecz WADA 100% więcej niż wcześniej. Może tak bardzo pokochali Bańkę?

Ksiądz za 12 milionów

Drogo, drożej, najdrożej. A jeszcze wyżej ks. Marian W. Kandydat nie na ołtarze, ale do tytułu najdroższego księdza w historii. Sprawa jest rozwojowa. Bo ośmiu byłych ministrantów z diecezji tarnowskiej domaga się 12 mln zł odszkodowania. Za molestowanie seksualne, jakiego dopuszczał się ks. Marian W. Recydywista, wędrujący z wiadomego powodu po diecezji tarnowskiej. Od parafii do parafii. Był proboszczem w Grywałdzie (pow. nowotarski), Grobli (pow. bocheński), Szalowej (pow. gorlicki) i Kiczni (gm. Łącko). Kuria zajęła się molestowaniem dopiero w 2019 r. i wydaliła go ze stanu duchownego.

Równie nierychliwy jak tarnowska kuria okazał się Sąd Rejonowy w Nowym Targu. Prawie czterech lat potrzebował, by zdecydować o powtórzeniu procesu karnego w sprawie księdza.

Sasin – zmora Podlasia

Sasin narozrabiał, a Jurgiela… zawiesili. Starego druha prezesa Kaczyńskiego zastąpił nabytek, z którym PiS stale ma problemy. Czy ktoś to rozumie? Skąd u prezesa ta nieustająca wiara, że Sasin może zrobić coś dobrze?

Kłopoty na Podlasiu dojna zmiana miała gwarantowane już od momentu, gdy wysłano tam Sasina. A ten zaczął od wycinania lokalnych liderów. Z własnej partii. Jurgiel nie mógł tego tolerować. Musiał się postawić. I za to został sponiewierany przez prezesa. Afera jest rozwojowa. Na zawieszeniu Jurgiela się nie skończy.

FOT. YOU TUBE

eprasa.pl 3729f5913c

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

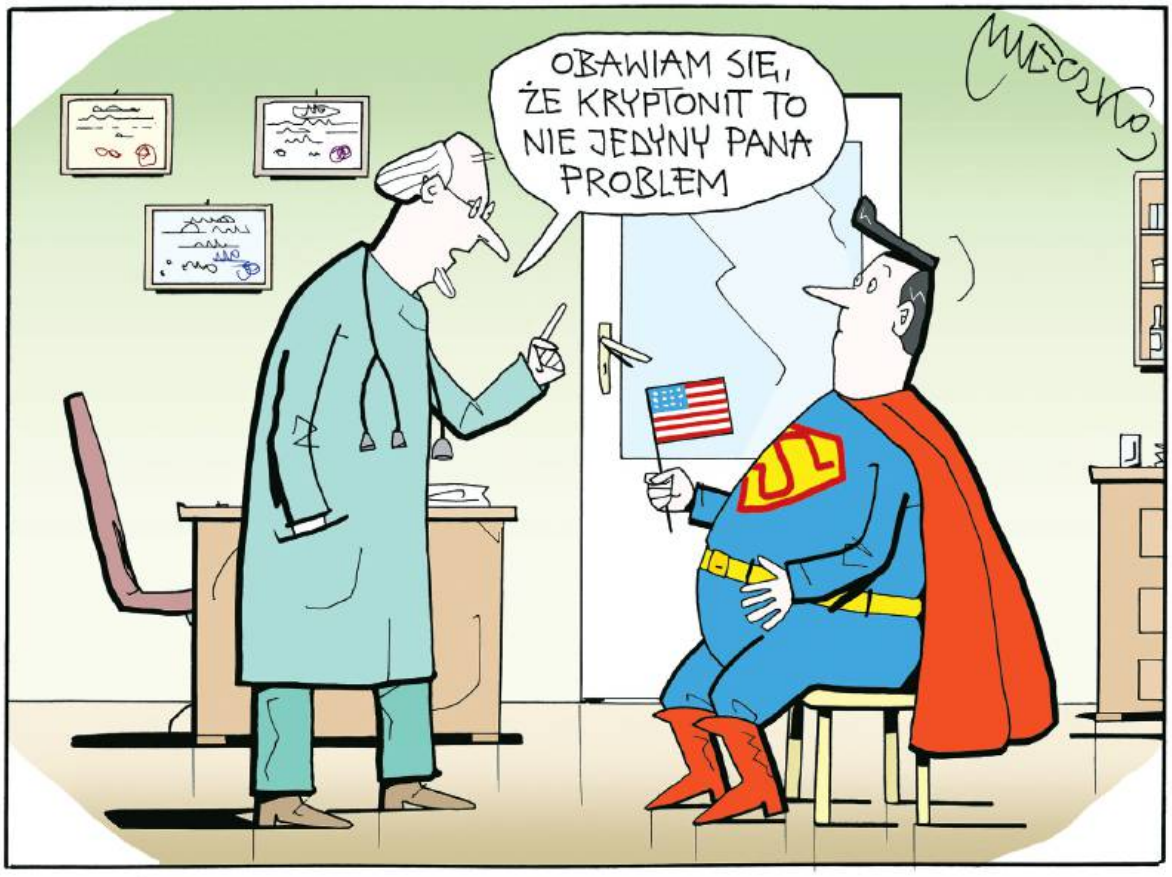

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego Polacy więcej klną?

DR MAŁGORZATA KŁOS,
językoznawczyni, Uniwersytet SWPS

Czy przeklinamy dużo? A raczej: czy dziś przeklinamy więcej? Istotnie, choćby w mediach częściej można znaleźć wulgaryzmy; warto jednak pamiętać, że dostęp do szeroko rozumianych mediów i dyskursu publicznego zdemokratyzował się. Do hermetycznego wcześniej języka medialnego weszły dyskursy dotąd niedopuszczane do tej przestrzeni, czyniąc go bardziej kolokwialnym, spontanicznym. Nie tyle zatem przeklina się więcej, ile nawyk ten został przeniesiony na nowe pola, co zapewne pociąga za sobą też spowszednienie wulgaryzmów. Warto jednak pamiętać, że moc przekleństwa kryje się przede wszystkim w intencji, nie zaś w samym słowie. Dlatego w rozważaniach nad frekwencją wulgaryzmów powinno się chyba przenieść akcent ze statystyki i estetyki na etykę, tzn. językowe poszanowanie innych. Nie używając wulgaryzmów, również można znieważyć innych (choćby nazywając ich „zdegenerowanymi ludźmi") i to takie zachowania językowe, tj. wymierzone w godność innych, należałoby wyeliminować.

MAGDALENA GÓRALSKA,
antropolożka kulturowa

Jeśli faktycznie tak jest, to może dlatego, że mamy dużo powodów do werbalnej ekspresji emocji, takich jak gniew, irytacja czy złość. A nasze bogate słownictwo umożliwia taką ekspresję. Można się pokusić o hipotezę, że narzekanie i przeklinanie to strategie oporu, które wpływają na narracje o różnych zjawiskach społeczno-kulturowych w sytuacji, gdy inne formy oporu nie są możliwe.

DR MIROSŁAW OCZKOŚ,
autor książki „Sztuka poprawnej wymowy, czyli o bełkotaniu i faflunieniu"

Poziom debaty publicznej bardzo się obniżył w ostatnich latach. Zwroty kiedyś powszechnie uznawane za nieparlamentarne są dziś wręcz wyrażeniami, których społeczeństwo od parlamentarzystów się uczy. Właśnie o przekleństwa chodzi. Wpisuje się to w jakąś taką logikę ze starego dowcipu, że gdyby zakazać niektórym Polakom przeklinania, to w ogóle przestaliby mówić. Pamiętajmy, że na świecie zaczęło królować pismo obrazkowe. Mimo wzrostu czytelnictwa w niektórych obszarach językowo ubożejemy jako społeczeństwo. Mamy także nasze słowo na k, zresztą jak każdy kraj na świecie. Należy też pamiętać, że w emocjach łatwiej powiedzieć: „Spadaj stąd!", niż: „Oddal się ode mnie, ponieważ nie mogę na ciebie patrzeć". Przekleństwa prócz agresji pozwalają oddawać wielki ładunek emocjonalny, np. bezsilność czy oburzenie. Pamiętajmy, że żyjemy w kulturze języka. Jeśli coś nie jest nazwane, to nie istnieje. Przekleństwa pomagają zaś wiele rzeczy nazwać.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 3729f5913c

Polski nie stać na obniżanie podatków zamożnym

Ryzykujemy, że za wszystkie „wakacje od ZUS" i kwoty wolne zapłacimy pogorszeniem ochrony zdrowia, edukacji i usług publicznych

Rozmawia Jakub Dymek

Rząd mówi, że odziedziczył po PiS finanse publiczne w fatalnym stanie i że to nieomal katastrofa. Zarazem przekonuje, że na pomysły zawarte w programie koalicji pieniędzy nie zabraknie. Która narracja jest bliższa prawdy?

– Paradoksalnie te dwie opowieści wcale nie są tak bardzo sprzeczne. Deficyt finansów publicznych, który nowy rząd odziedziczył, rzeczywiście jest wysoki. Wynosi ok. 5% PKB. Gdy więc spojrzymy na ostatnie 20-30 lat, widzimy, że w tym okresie deficyt był wyższy tylko kilka razy, jest zatem jednym z najwyższych po 1989 r. Na dodatek mamy ten wysoki deficyt w dość niekorzystnej sytuacji rynkowej. To bardzo istotny kontekst, bo stopy procentowe są wysokie, więc i koszt obsługi długu publicznego jest większy. Dlatego rzeczywiście sytuacja finansów publicznych nie jest dobra.

Ale?

– Pieniądze są, a my nie mamy problemu ze sfinansowaniem tego deficytu. Rynek finansowy patrzy w tym momencie na Polskę bardzo przychylnie, jest wręcz moda na Polskę: nasza gospodarka jest oceniana bardzo dobrze, stabilność finansów też jest oceniana na plus i polityka gospodarcza, zwłaszcza po odmrożeniu środków z KPO, również ma korzystne perspektywy. Z tego wynika, że nie będziemy mieli problemu ze sfinansowaniem tego deficytu. I nawet gdybyśmy odrobinę go podnieśli, też pieniądze by się znalazły.

DR JAKUB SAWULSKI
– główny ekonomista Fundacji Instrat. Adiunkt w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W ostatnich latach pracował również w Ministerstwie Finansów, gdzie był zastępcą dyrektora Departamentu Polityki Makroekonomicznej.

Tylko że to wszystko odbywa się kosztem wzrostu długu w relacji do PKB. Z poziomu ok. 50% obecnie do poziomu powyżej 60% PKB w perspektywie, powiedzmy, trzech-czterech lat.

Sam wzrost zadłużenia miałby być problemem?

– Sam w sobie nie. Perspektywa wzrostu o jakieś 10 pkt proc. nie jest jeszcze niepokojąca. Pytanie jest inne: gdzie ta krzywa przyrostu zadłużenia do PKB się zatrzyma. Bo jeśli weźmiemy horyzont nie czterech lat, ale dekady, i założymy, że za trzy lata będziemy mieli 60% PKB, za sześć lat 70% PKB, a za 10 lat 80% PKB, to mamy pewien problem.

Dlatego, że poziom długu jest za wysoki, czy dlatego, że istnieją pewne arbitralne wskaźniki w UE, których musimy się trzymać?

– Wyznaczonych przez Brukselę ram nie obejdziemy, a założeniem jest 3% deficytu rocznie i 60% długu do PKB.

Musimy realizować te założenia, nawet jeśli mogą być dobre dla Niemiec, Holandii czy Estonii, a dla nas już nie?

– W rzeczywistości my już przekraczamy poziom deficytu 3%, a poziom długu 60% przebijemy za trzy-cztery lata. Możemy trochę to bagatelizować, próbować iść własną ścieżką, co zresztą jako Polska robiliśmy, mówiąc Brukseli jedno, a czasami robiąc drugie. Pytanie, jak długo możemy lawirować i czy warto. Bo skoro dziś jest – jak powiedziałem – moda na Polskę i mamy przychylność rynków finansowych, a bieżące potrzeby

FOT. MARCIN ŚLUSARZYK

eprasa.pl 3729f5913c

pożyczkowe możemy zrealizować względnie łatwo, to jeszcze nie oznacza, że możemy i że warto to ciągnąć. Przykładowo utrzymywać deficyt powyżej 5% ze względu na wydatki zbrojeniowe, bez pomysłu na ich sfinansowanie przez kolejną dekadę. Moda na Polskę może już do tego czasu minąć, a koszty pożyczania na rynkach wzrosną. Trzymanie się określonych ram może w dłuższym terminie okazać się korzystniejsze, niezależnie od tego, czy wymusza je Bruksela.

Wracamy więc w jakimś sensie do przeszłości, do sytuacji z epoki „końca historii", kiedy istniały jakieś zewnętrzne rynki, były ścisłe reguły fiskalne narzucone z zewnątrz i silniejsi gracze polityczni, a państwa średnie lub aspirujące – takie jak Polska – nie mogły kształtować swojej polityki wedle uznania. Naprawdę nic się nie zmienia?

– Jeżeli emitujesz dług publiczny, a robią to wszystkie państwa na świecie, to jesteś zależny od rynków finansowych. Dlaczego? Ponieważ państwa generalnie nie spłacają swoich długów publicznych, tylko nieustannie je odnawiają. Kiedy przychodzi termin spłaty zadłużenia, państwo wypuszcza nową serię obligacji, żeby spłacić tę poprzednią. I tak robią wszystkie kraje, które mają dług publiczny. Nie ma takiej możliwości, żebyś przyszedł i w jednym dniu powiedział: nie chcę mieć długu publicznego, spłacam go. To wymagałoby ogromnego wysiłku w ciągu paru lat. Polityk chcący „pozbyć się długu" zamordowałby w trakcie tego procesu gospodarkę, a długu i tak by nie spłacił. Nie jest to jednak aż tak bezalternatywny czy jednostronny proces, jak powiedziałeś, bo rynki nie tylko patrzą, jaki masz deficyt, ale także oceniają, jak go wydajesz.

Czym wobec tego różnią się dobry dług i deficyt od złego?

– Dobry deficyt to taki, który przyśpiesza wzrost gospodarczy w przyszłości. Wydajesz pieniądze dzisiaj, ale dzięki temu twoja gospodarka rośnie i masz większy zasób, z którego możesz ściągać podatki i obsługiwać zadłużenie. Można myśleć o tym jako o inwestycjach, choć oczywiście kalkulacja ich zwrotu jest dużo trudniejsza na poziomie państwa niż firmy. Jeśli jednak budujemy żłobki, które przełożą się na jakość kapitału ludzkiego w przyszłości, albo lotniska, kolej czy drogi, to w długiej perspektywie często opłaca się je finansować z długu.

A podniesienie deficytu, żeby sfinansować „wakacje ZUS", niższą składkę zdrowotną czy wyższą kwotę wolną od podatku?

– Moim zdaniem to się nie opłaci. To nie jest ten rodzaj deficytu, który mógłby znacząco zwiększyć nasz wzrost gospodarczy w przyszłości. W ten sposób po prostu dajemy przywileje przedsiębiorcom. Nie za to, że oni szybciej się rozwijają, czyli np. kupują nowe maszyny, powiększają działalność, zwiększają zatrudnienie. To brzydka prawda, ale większość przedsiębiorstw się nie rozwija – one jedynie trwają. Ktoś ma zakład fryzjerski, firmę budowlaną zatrudniającą kilka osób albo świadczy usługi informatyczne dla jednego nabywcy – i tak pozostanie. Dając im ulgi, nie zwiększymy ich produktywności czy zatrudnienia. Za to oni mogą wydać te pieniądze na cokolwiek. Choćby na wakacje.

Już słyszę ripostę: czym ci zawinili właściciele małych warsztatów czy rodzinnych firm albo fryzjerki, którzy z powodu samych składek ubezpieczenia i innych obowiązkowych świadczeń ledwo wiążą koniec z końcem albo wręcz muszą zakończyć działalność?

– Zacznijmy od mitu masowych upadłości. Takiego zjawiska nie było i bardzo łatwo to udowodnić. W Polsce liczba rejestrowanych nowych działalności rośnie, a nie spada, i nie jest to wyłącznie efekt napływu obywateli Ukrainy. Niestety więc, jeśli ktoś od lat prowadzi działalność gospodarczą i ledwo wiąże koniec z końcem, to problem leży być może nie po stronie podatków i składek, lecz nierentowności tej działalności. To brutalne, ale dla gospodarki byłoby lepiej, gdyby część prowadzących działalność gospodarczą zamknęła swoje firmy i przeszła na zwykły etat. Jeśli ktoś, zamiast prowadzić niedochodową działalność, zatrudni się na stanowisku, które daje dużą wartość dodaną – będzie to z korzyścią dla wszystkich. Praca na etacie w fabryce produkującej baterie do samochodów elektrycznych albo firmie realizującej usługi księgowe czy informatyczne dla całego świata to przykłady zawodów, które tę wysoką wartość dodaną wnoszą.

W takim razie składki i podatki nie są problemem?

– Podatki w Polsce są uzależnione od dochodu, więc nie można mówić, że firmy o małych dochodach płacą jakieś horrendalne podatki, bo to zwyczajnie nieprawda. Ze składkami natomiast jest tak, że one rzeczywiście mogą stanowić problem. Mam jednak bardzo prostą propozycję, żeby uzależnić składki od dochodu. To rozwiązanie o wiele lepiej dostosowane do ewentualnych problemów małych firm niż obecne stałe składki. Jeżeli składki byłyby uzależnione od dochodu, to wtedy te firmy, które cienko przędą, płaciłyby niskie składki. Wysokie płaciłyby tylko te, które osiągają wysokie dochody.

A zbrojenia powiększają dobry czy zły deficyt?

– Dobry, choć wydatki na zbrojenia nie zwiększają znacząco naszego wzrostu gospodarczego w przyszłości. Znaczna część tych inwestycji odpływa za granicę.

Rynek finansowy patrzy w tym momencie na Polskę bardzo przychylnie, jest wręcz moda na Polskę, nasza gospodarka jest oceniana bardzo dobrze.

Dobry deficyt to taki, który przyśpiesza wzrost gospodarczy w przyszłości.

eprasa.pl 3729f5913c

Nawet jeśli są realizowane w Polsce, czyli zamawiamy sprzęt wojskowy w polskich firmach, i tak działalność polskich firm w tej branży jest prawdopodobnie silnie importochłonna. Jednakże, mimo że wydatki na zbrojenia nie przyśpieszają znacząco naszego wzrostu, przekładają się na bezpieczeństwo, na zaufanie do Polski i działają odstraszająco na agresorów.

Dla mnie zaskakujące jest trwanie przy obietnicy podniesienia kwoty wolnej do 60 tys. Po pierwsze, dlatego że zyskają na tym raczej średnio i więcej niż mało zarabiający – bo to ich obejmie podniesienie kwoty wolnej z już obowiązujących 30 tys. Po drugie, z powodu kosztów tej decyzji. O ile bowiem te pozostałe rzeczy – wakacje od ZUS, niższa składka zdrowotna dla przedsiębiorców czy obniżony VAT na branżę beauty – są szkodliwe z punktu widzenia sprawiedliwości systemu podatkowo-składkowego, o tyle są względnie małym obciążeniem dla wpływów podatkowych. Mówimy o kilku miliardach. Podwyżka kwoty wolnej to prawie 50 mld, ponad 1% PKB, i naprawdę trudno sobie wyobrazić łatwe zbilansowanie tak dużego odpływu środków.

Mówimy o pieniądzach, które można by lepiej zainwestować – w edukację, ochronę zdrowia czy poprawę działania państwa.

Ale czy zakupy w Korei i USA sfinansujemy krajowymi środkami, czy wzrost zadłużenia zagranicznego jest nieuchronny? W złotówkach za to przecież nie zapłacimy.

– Oczywiście, będziemy emitować dług w walutach obcych. Faktem jest, że dług zagraniczny jest co do zasady mniej bezpieczny niż dług krajowy. Dlatego powinniśmy starać się długu zagranicznego mieć jak najmniej. Ministerstwo Finansów to wie i wpisuje w wieloletnią strategię zarządzania długiem. W tej chwili udział walut obcych w polskim długu to jakieś 23%, a maksymalny wyznaczony przez MF to 25%. Pewnie w najbliższych latach lekko wzrośnie, ale moim zdaniem nie przekroczymy wyraźnie bezpiecznych poziomów.

Chciałbym zatem zapytać, jak będzie wyglądała perspektywa ograniczania zadłużenia krajowego, żeby zrobić przestrzeń pod to zagraniczne. Słyszymy od ministra finansów, że kwota wolna 60 tys. w dalszym ciągu „jest w planach". Podobnie jak inne ze „100 konkretów", które docelowo obniżą wpływy podatkowe.

– Nie wiemy z całą pewnością, z czego rząd zrezygnuje. Ale możemy się domyślać, że jednak nie będziemy mieli znaczącego wzrostu nakładów na ochronę zdrowia albo że odbędzie się to znów kosztem pracowników sektora publicznego i realne wynagrodzenia w tym sektorze nie będą podnoszone, albo też rządzący, co robili również ich poprzednicy, zatrzymają nakłady na edukację na stałym poziomie.

Uzależnijmy składki od dochodu: te firmy, które cienko przędą, płaciłyby niskie składki. Wysokie płaciłyby tylko te, które osiągają wysokie dochody.

Za wyższą kwotę wolną czy te wakacje od ZUS albo niższe składki zdrowotne zapłacimy realnie mniejszymi pensjami w sektorze ochrony zdrowia, w edukacji, głodzeniem budżetówki i nadal skandalicznie niskimi wynagrodzeniami w samorządach?

– Nie wiem tego, mogę się domyślać. Ale tak moim zdaniem wygląda najbardziej prawdopodobny scenariusz. Ministerstwo Finansów może oczywiście liczyć, że skoro coraz więcej osób będzie wpadało w wyższe progi podatkowe, to – z zachowaniem obecnego trendu – w ciągu jednej kadencji uzbieramy 1% PKB dodatkowych wpływów z PIT. Ale nawet przy tym założeniu, że „odrobimy" wyższą kwotę wolną w cztery lata, cały czas mówimy o pieniądzach, które można by lepiej zainwestować – w edukację, ochronę zdrowia czy poprawę działania państwa.

Jakie działania powinny być kluczowe, aby osiągnąć ambitne cele i nie zagłodzić przy tym państwa?

– Wskazałbym trzy kwestie. Pierwsza dotyczy deficytu. W krótkim terminie możemy sobie pozwolić na większy deficyt, ale w średnim horyzoncie – do pięciu lat – trzeba znaleźć źródła finansowania zwiększonych wydatków obronnych. Druga sprawa to transformacja energetyczna i plan jej realizacji. Trzecia to inwestycje w kapitał ludzki, czyli edukację. W dobie nadchodzącej rewolucji związanej z rozwojem sztucznej inteligencji jakość kapitału ludzkiego będzie najważniejszym motorem gospodarki.

Główny problem, jaki stworzyła sobie koalicja rządząca, dotyczy braku strategii. Momentami wydawać się może, że sam rząd jest zaskoczony, że jednak rządzi – pomimo ośmiu lat w opozycji. A planów nie należy się bać, one są konieczne. Można wskazać, co było dobre, a co złe w strategiach premiera Morawieckiego, i zaproponować własne. Nie na poziomie jednego resortu i bardzo wąskiego myślenia, jak wydać środki z unijnych dotacji i KPO w poszczególnych sektorach. Rozwój gospodarczy nie może się opierać tylko na pomyśle, jak wydawać środki z UE. To rządzący powinni zrozumieć i mieć gotowe plany na już.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

Krajowa Rada Represjonowania Mediów

Skoro Polska jest demokratycznym państwem prawa, należy zreformować Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, której działalność nie ma nic wspólnego z prawem ani z demokracją

Andrzej Sikorski

Ciemne chmury zbierają się nad Maciejem Świrskim, pisowskim przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Koalicja Obywatelska grozi mu Trybunałem Stanu. Zarzuty są poważne. Chodzi m.in. o nieprzekazanie Polskiemu Radiu i TVP pieniędzy na realizację misji publicznej i o represjonowanie prywatnych mediów, które PiS uważa za wrogie.

W ramach walki z Koalicją 15 Października Świrski wstrzymał mediom publicznym wypłatę należnych pieniędzy z abonamentu, bo nie uznaje nowych władz spółek Polskiego Radia i TVP. Brak środków powoduje, że np. rozgłośnie radiowe nie mają z czego zapłacić pensji dziennikarzom czy pracownikom technicznym. Przewodniczący KRRiT twierdzi, że dokona przelewów na konta spółek, ale dopiero po prawomocnym orzeczeniu sądu rejestrowego dotyczącym postawienia spółek w stan likwidacji, choć wszyscy likwidatorzy zostali wpisani do Krajowego Rejestru Sądowego. Minister kultury i dziedzictwa narodowego Bartłomiej Sienkiewicz musiał podjąć drastyczne działania, aby się pozbyć pisowskich hejterów i propagandystów, co oczywiście nie oznacza, że media publiczne zostaną zlikwidowane, bo czeka je zapowiadana sanacja. W sprawie niewypłacania pieniędzy z abonamentu śledztwo wszczęła już warszawska prokuratura po zawiadomieniu, które złożył likwidator i redaktor naczelny Polskiego Radia Paweł Majcher.

Cenzorskie zapędy

Maciej Świrski zasłynął też z drakońskich kar nałożonych na Radio Zet, TOK FM i TVN 24. Zetka podała sensacyjnego newsa, że prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, udając się na spotkanie z prezydentem USA Joem Bidenem, przekroczył granicę polsko-ukraińską i wsiadł do amerykańskiego samolotu w Przemyślu bez porozumienia z polskimi służbami, co było m.in. efektem spadku zaufania sojuszników z USA do polskiej policji po aferze z wybuchem granatnika w gabinecie komendanta głównego Jarosława Szymczyka. Informacja ta wywołała wściekłość polityków PiS, a Świrski wszczął postępowanie w tej sprawie, które skończyło się nałożeniem półmilionowej kary. Przewodniczący KRRiT stwierdził, że materiał Radia Zet zawiera przekaz dezinformujący społeczeństwo, bo rzekomo sprawdził u źródeł, czyli w rządzie PiS, że nic takiego nie miało miejsca (sic!). Powołał się przy tym na art. 18 ustęp 1 Ustawy o radiofonii i telewizji, który mówi m.in., że „audycje lub inne przekazy nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym". Tyle że trudno zdefiniować, jakie to są działania sprzeczne z polską racją stanu. Zdaniem prawników, nakładając karę na Radio Zet, Świrski postąpił bezprawnie. Podobnie było w pozostałych przypadkach.

80 tys. zł kary Świrski nałożył na TOK FM za wypowiedź Piotra Maślaka, który na antenie rozgłośni oceniał powszechnie krytykowaną książkę „Historia i teraźniejszość" związanego z PiS historyka Wojciecha

eprasa.pl 3729f5913c

Roszkowskiego, mówiąc, że „czyta się to jak podręcznik – przepraszam za to porównanie – dla Hitlerjugend. Chwilami, nie wszędzie".

Zdaniem przewodniczącego KRRiT w audycji „pojawiły się treści dyskryminujące i nawołujące do nienawiści z uwagi na poglądy polityczne, (...) użyto obraźliwych, stygmatyzujących określeń wobec prof. Wojciecha Roszkowskiego, przez co naruszono jego godność zagwarantowaną konstytucyjnie", a także „poniżono i naruszono godność ofiar II Wojny Światowej, w tym Żydów" (sic!). Świrski stwierdził też całkiem poważnie, iż podanie informacji, że prof. Roszkowski był europarlamentarzystą popieranym przez PiS, oznacza, że negatywne opinie o podręczniku są obraźliwe dla PiS oraz wszystkich osób, które podzielają poglądy tej partii. W odpowiedzi na te brednie redaktor naczelna TOK FM Kamila Ceran stwierdziła, że „przewodniczący Świrski, oprócz obrony dobrego imienia prof. Roszkowskiego, podjął się także ochrony dobrego imienia PiS".

Przewodniczący KRRiT nie miał litości dla TVN 24, wymierzając 550 tys. zł kary za wstrząsający reportaż „Bielmo. Franciszkańska 3" o tym, jak Karol Wojtyła był pobłażliwy wobec księży pedofilów. Film wywołał wściekłość w środowisku PiS, które zorganizowało liczne protesty w obronie dobrego imienia Jana Pawła II oraz akcję pisania skarg do KRRiT. Zdaniem Świrskiego (który nie jest dziennikarzem i ma blade pojęcie o pracy dziennikarskiej) materiał „nie spełnia kryteriów reportażu oraz standardów etyki dziennikarskiej", na dodatek „jest stronniczy, przygotowany z wybiórczą selekcją źródeł, ahistoryczną interpretacją faktów i zdarzeń", a „twórcy audycji posłużyli się technikami manipulacyjnymi, zakazanymi w pracy dziennikarskiej, takimi jak: insynuacja, używanie określeń tzw. utrwalaczy, stosowanie fałszywych powiązań emocji i osób, plotka". Gwoździem do trumny reportażu TVN 24 było to, że „oparto się na materiałach Służby Bezpieczeństwa okresu PRL i nie sprawdzono innych zbiorów dokumentacyjnych. Nie przeprowadzono wnikliwej kwerendy, nie powiązano wydarzeń, a całą narrację dopasowano do postawionej wcześniej tezy".

Redakcja TVN 24 odpowiedziała na te zarzuty, twierdząc, że decyzja przewodniczącego KRRiT „nie ma podstaw, godzi w wolność mediów i jest próbą wprowadzenia cenzury", a „kara finansowa dla TVN 24 jest kolejną próbą zastraszenia naszej i wielu innych redakcji" i „stanowi zagrożenie dla prawa widzów do informacji".

Oscarem filmem „Ida". Twierdził, że film „może wywołać w widzach fałszywe przeświadczenie, że to Polacy wymordowali europejskich Żydów", a od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej domagał się umieszczenia w czołówce „Idy" informacji o sytuacji Polaków podczas II wojny światowej. Do prezydenta Andrzeja Dudy Świrski skierował petycję z żądaniem pozbawienia historyka Jana Tomasza

Maciej Świrski nie reagował, gdy pisowskie media atakowały opozycję, środowiska LGBT, ekologów, sędziów i wszystkich tych, których PiS uznawało za wrogów

Choć ukarane stacje odwołały się do sądu, Świrski nie czekał na prawomocne wyroki, tylko z pomocą urzędu skarbowego ściągnął pieniądze, co zostało ogłoszone jako sukces.

Przewodniczący KRRiT, który jest tak bardzo wyczulony na rzetelność dziennikarską, prawdę i dobre obyczaje, nie reagował, gdy media pisowskie (telewizja i radio) brutalnie atakowały opozycję, środowiska LGBT, ekologów, sędziów sprzeciwiających się upolitycznieniu wymiaru sprawiedliwości i wszystkich tych, których PiS uznawało za wrogów. Gdy np. Jan Pietrzak w TV Republika mówił, że Polska ma „przygotowane dla imigrantów baraki w Auschwitz, Majdanku, w Treblince, w Sztutowie", Świrski stwierdził, że nie będzie wyciągał konsekwencji wobec propisowskiej telewizji, bo jego zdaniem „była to satyra, pokazująca dwulicowość rządu, który najpierw mówi jedno, potem robi drugie, jeszcze dochodzi kontekst brukselski", a poza tym satyryk ma prawo mówić, „co mu się żywnie podoba".

Fachowiec od propagandy

Zanim Maciej Świrski w 2022 r. został przewodniczącym KRRiT, od dawna miał już ścisłe związki z partią Jarosława Kaczyńskiego. W 2006 r. został ulokowany w zarządzie Polskiej Agencji Prasowej. Potem założył Fundację Reduta Dobrego Imienia – Polską Ligę Przeciw Zniesławieniom. Walczył m.in. z nagrodzonym Grossa Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Twierdził, że „Gross to oszczerca wyjątkowo szkodliwy, który pod pozorem pracy naukowej prowadzi kampanię zniesławień i zniewag przeciwko Polsce".

Gdy w 2013 r. Jarosław Kaczyński ogłosił powstanie marionetkowego rządu technicznego Piotra Glińskiego, Świrski został rzecznikiem prasowym premiera. W 2017 r. trafił zaś na stołek wiceprezesa Polskiej Fundacji Narodowej, która stała się przepompownią pieniędzy spółek skarbu państwa do środowisk związanych z PiS. To on jest współodpowiedzialny za hejterską kampanię oczerniającą sędziów „Sprawiedliwe sądy". W 2017 r. Polskę zalały bilbordy i spoty telewizyjne z hasłami: „Sędzia ukradł kiełbasę", „Pijany sędzia awanturował się w klubie", „Sędzia może kłamać bezkarnie", „Sędzia kradła spodnie" czy „Sędzia z żoną kradli elektronikę". Akcja zbiegła się z pakietem forsowanych przez PiS ustaw uderzających w niezawisłość wymiaru sprawiedliwości. Kampania sfinansowana przez Polską Fundację Narodową kosztowała prawie 8,5 mln zł, a przygotowali ją doradcy premier Beaty Szydło – Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, którzy jeszcze jako urzędnicy KPRM zarejestrowali spółkę Solvere i zaczęli zarabiać w PFN.

Ponieważ PFN, angażując się w polityczne przedsięwzięcie partii rządzącej, złamała swój statut, ówczesna

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3729f5913c

Maciej Świrski ma w KRRiT odpowiednie wsparcie. Zasiada w niej w randze wiceszefowej Agnieszka Glapiak, zaufana Mariusza Błaszczaka i kolekcjonerka państwowych posad.

prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz (która sprawowała nadzór nad fundacją) wszczęła postępowanie nadzorcze. Fundacja odmówiła jednak stołecznemu ratuszowi udostępnienia dokumentów, twierdząc, że nie ma on kompetencji, by badać jej działalność. Sprawa ostatecznie trafiła do sądu, który orzekł, że kampania bilbordowa była sprzeczna z celami zapisanymi w statucie PFN, „a podejmowane w trakcie tej kampanii działania nie tylko nie promują i nie chronią wizerunku Rzeczypospolitej Polskiej, ale wręcz przeciwnie, wizerunek ten znacznie osłabiają, skoro kreują wyłącznie negatywny, oparty na jednostkowych przypadkach, obraz władzy sądowniczej, która obok władzy ustawodawczej i wykonawczej jest jednym z filarów ustroju Rzeczypospolitej".

Doborowe towarzystwo

Świrski ma w KRRiT odpowiednie wsparcie. Zasiada w niej w randze wiceszefowej Agnieszka Glapiak, zaufana Mariusza Błaszczaka i kolekcjonerka państwowych posad. Glapiak była szefową Centrum Operacyjnego Ministra Obrony Narodowej, instytucji zajmującej się m.in. komunikacją z dziennikarzami, zasiadała w kilku radach nadzorczych (m.in. spółki Exatel), trafiła też na stołek szefowej Akademickiego Centrum Komunikacji Strategicznej w Akademii Sztuki Wojennej (ASzWoj). Ostatnio było o niej głośno w związku z aferą zegarkową. Wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk ujawnił, że już po przegranych przez PiS wyborach, jesienią zeszłego roku, szefostwo MON postanowiło na odchodne nagrodzić za pieniądze resortu najbliższych sobie urzędników. Aby ukryć przekręt, prezenty formalnie kupowane były dla członków zagranicznych delegacji. Glapiak, choć pracowała już w KRRiT, zażyczyła sobie wart 6 tys. zł zegarek Longines La Grande Classique, który rzekomo miał dostać wiceminister obrony Korei Południowej.

W KRRiT zasiadają również Marzena Paczuska i Hanna Karp. Paczuska to pierwsza szefowa pisowskich „Wiadomości", potem krótko była w zarządzie TVP. Zasłynęła z czystek kadrowych, ręcznego sterowania informacjami i fanatycznego oddania PiS, a także wulgarnych odzywek do współpracowników i wpisów w mediach społecznościowych. Po śmierci Andrzeja Wajdy opublikowała na Twitterze wpis, który oburzył opinię publiczną: „Andrzej Wajda R.I.P. Walcie się dalej #Nie Oddamy Wam Kultury". Nawiązywała w ten sposób do protestu polskich artystów pod tym hasztagiem przeciwko ingerencji państwa w kulturę, który odbył się kilka dni wcześniej w Warszawie.

Hanna Karp to wykładowczyni w toruńskiej szkole kościelnego oligarchy Tadeusza Rydzyka, komentatorka w Radiu Maryja i ekspertka od duchowych zagrożeń, autorka i współautorka książek: „Quo vadis Nowa Ero? New Age w Polsce", „ABC o New Age" i „Ezoteryzm, okultyzm, satanizm w Polsce". W miesięczniku „Egzorcysta" Karp straszyła czerwoną nitką, którą gwiazdy popkultury, politycy i inne znane osoby noszą „zawiązaną na przegubie lewej ręki". Dostało się m.in. Katarzynie Figurze, Kayah i córce Lecha Wałęsy Marii Wiktorii. „O ile można zrozumieć sekciarskie

eprasa.pl 3729f5913c

Nowa książka PRZEGLĄDU

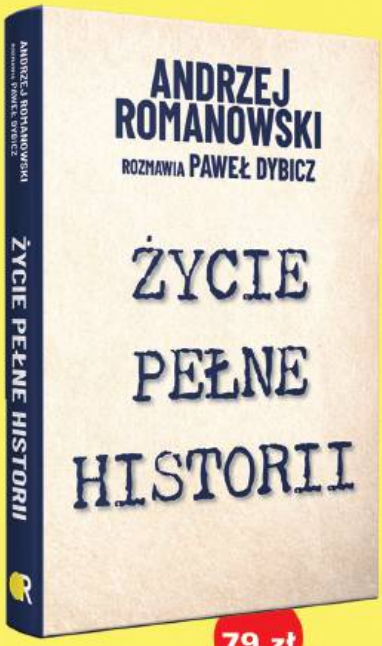

79 zł

Andrzej Romanowski w rozmowie z Pawłem Dybiczem opowiada o swej drodze naukowca, publicysty i polityka – od dzieciństwa w kulcie wuja, Jana Bytnara „Rudego", po tytuły i stanowiska uniwersyteckie. Przyznaje się do zmiany poglądów, mówi, za co ceni gen. Jaruzelskiego, czym zaskoczyła go londyńska emigracja i co warte są mity narodowe. Wspomina spotkania z Eugeniuszem Kwiatkowskim, Giedroyciem i Nowakiem-Jeziorańskim, Miłoszem i Michnikiem, a nawet Terleckim, Rokitą i... Rydzykiem.

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nierejestrowanym Pocztą Polską.

poszukiwania gwiazdeczek goniących za modą, o tyle trudno zrozumieć ostentację Janusza Palikota czy znanego profesora socjologii, eksposła PO, Pawła Śpiewaka, zawiązujących na ręku czerwoną nitkę przed publicznym występem. Objaśniając w studiach telewizyjnych niemal każdego dnia tajniki polityki, milczą o swoich poszukiwaniach z kręgu magii, reinkarnacji i kabalistycznych stanów ekstazy. A szkoda, chyba są to winni swoim słuchaczom i wyborcom", pisała Karp.

W innym artykule Karp wywodziła, że okultyzm w Polsce rozwinął się w czasach stanu wojennego, „kiedy nie można było odbywać żadnych spotkań, możliwe były kursy magii w kołach radiestetów i psychotroników". Jej zdaniem zarówno w PRL, jak i po zmianach ustrojowych okultyści znajdowali się pod parasolem ochronnym państwa. „Na rynek usług w Polsce wprowadzili magię dawni komunistyczni aparatczycy i sekretarze PZPR. Rozporządzenie o nowych zawodach podpisał w 1995 r. Leszek Miller, ówczesny minister pracy i polityki socjalnej. Rozporządzenie to wprowadziło u nas wróżby, czary i magię jako czynności przypisane oficjalnym zawodom", pisała specjalistka od duchowości.

Czas na zmiany

KRRiT to dziwny twór. Działa od 1993 r. i zgodnie z konstytucją „stoi na straży wolności słowa, prawa do informacji oraz interesu publicznego w radiofonii i telewizji". Ale ta wolność słowa koncesjonowana jest przez polityków (prezydenta, Sejm i Senat), którzy wybierają jej członków. W KRRiT zasiadali więc tacy piewcy wolności słowa jak Marek Markiewicz, Ryszard Bender, Jan Szafraniec, Marek Jurek, Witold Kołodziejski, Elżbieta Kruk, Barbara Bubula, Jarosław Sellin czy Włodzimierz Czarzasty.

We wspomnianym już art. 18 Ustawy o radiofonii i telewizji, który mówi m.in., że „audycje lub inne przekazy nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym", zapisano też (ustęp 2), że „audycje lub inne przekazy powinny szanować przekonania religijne odbiorców, a zwłaszcza chrześcijański system wartości". Zapisy te mogą być potężną bronią w rękach nawiedzonych politycznie członków KRRiT o zapędach cenzorskich. Postawa Świrskiego, który mówił o sobie, że jest „talibem, bo tak jak prawdziwi talibowie jestem przywiązany do mojej wiary i tradycji, fundamentu polskiej cywilizacji", nie dziwi zatem, ale podobnie postępowali inni przewodniczący KRRiT, uważani za liberalnych i postępowych, nakładając na nadawców kary finansowe za nieprawomyślne filmy, audycje i programy.

Danuta Waniek stała na czele KRRiT w latach 2003-2005. Pod jej przewodnictwem rada ukarała m.in. TVN za program „Big Brother", Polsat za emisję filmu „Ostry poker w małym Tokio", Radio Wawa za konkurs „Co zrobisz za 100 tys. zł?" (słuchacze deklarowali, że utną sobie palec lub zamkną się w trumnie). Na czarnej liście znalazły się ówczesne hity telewizji, m.in.: „Playboy", „Ballada o lekkim zabarwieniu erotycznym", „To ja, złodziej", „Crash", a nawet kreskówka „Futurama". Tylko w ciągu dwóch lat KRRiT nałożyła na nadawców prawie 1,5 mln zł kar.

Gdy zapytałem ówczesną przewodniczącą KRRiT, dlaczego bawi się w cenzora, usłyszałem, że „taka jest retoryka różnych ustaw i rozporządzeń", a „jaka jest większość w radzie, taka jest doktryna" i „dopóki będzie takie prawo, to jako urzędnik państwowy musi je szanować". Minister Waniek dodała, że „są sytuacje wymyślone przez ustawodawcę, które prowadzą takich ludzi jak ona do konfliktu sumienia", a ona „zjada tę żabę z takim zaduszkiem światopoglądowym".

Warto, aby Koalicja 15 Października zajęła się nie tylko Maciejem Świrskim, ale i kompleksową reformą KRRiT, bo instytucja ta mało, że nie wypełnia swoich konstytucyjnych zadań, to jeszcze stała się przytuliskiem dla różnej maści polityków i organem represji wobec nadawców.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 3729f5913c

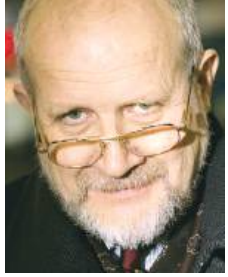

Z Galicji

Jan Widacki

A to Polska właśnie

Jacy naprawdę jesteśmy, możemy poznać w sytuacji kryzysowej. A taką wciąż mamy przy białoruskiej granicy. Na co dzień o tym się nie pamięta. Nawet ci, którzy obejrzeli film Agnieszki Holland „Zielona granica" i byli nim wstrząśnięci, zdążyli już zapomnieć i uspokoić swoje sumienie. Głosy ludzi skupionych w organizacjach niosących pomoc uchodźcom albo realizujących ją samodzielnie stały się dosłownie i w przenośni głosami wołającymi na puszczy. A przez granicę umocnioną stalowym płotem i zasiekami wciąż przenikają uchodźcy, uciekający przed wojną, śmiercią, głodem, a może nawet tylko (?) przed nędzą w swoich krajach. Oszukani przez białoruskie władze, pędzeni ku polskiej granicy przez brutalne białoruskie służby. Przenikają, tułają się po puszczy, wymęczeni, głodni, odwodnieni, zziębnięci, ukrywający się niczym dzikie zwierzęta przed polującymi na nich strażnikami granicznymi, policjantami, żołnierzami WOT. Gdy wpadną, są nadal brutalnie „pushbackowani" na białoruską stronę, tam znów bici, szczuci psami, pędzeni na polską granicę, znów tułają się po lesie, znów są zwierzyną łowną. Jedynym ratunkiem jest spotkanie wolontariuszy jakiejś organizacji humanitarnej, którzy zdążą dać im do podpisania pełnomocnictwo i prośbę o azyl. Wtedy z zasady nie pushbackuje się takiej osoby. Ale od tej zasady są wcale częste wyjątki. Wciąż jeszcze. Choć pushback jest wówczas nie tylko aktem nieludzkim, ale także ordynarnym złamaniem prawa. Ale na to łamanie prawa jest niestety przyzwolenie władz.

Jak na to reaguje miejscowa społeczność? Bardzo różnie, ale na ogół wrogo. Są jednak wyjątki. Mateusz ma 17 lat. Pomaga w lesie. Zaczął zaraz po Usnarzu. Idziemy z Mateuszem. Podmokła część puszczy, komary tną niemiłosiernie. I widzimy ich. Siedzą na ziemi, nawet nie wstają na nasz widok. Twarze pogryzione przez komary, od których nawet nie mają siły się opędzać. Patrzą na nas wzrokiem, który trudno opisać. Jest w nich strach, zobojętnienie, nadzieja, nieufność. Jeden ma zdjęte buty. Rozmoczone i rozpadłe. Stopa ze „skórą praczek" jak u topielca to tzw. stopa okopowa. Bez udzielenia pomocy często kończy się gangreną i amputacją. Mateusz od razu zdejmuje buty i skarpetki i oddaje nieszczęśnikowi. Staje koło niego boso. Robi to wszystko odruchowo. Wyobrażacie sobie taki odruch u kościelnego hierarchy albo u działacza lewicy? Jeszcze trzeba opatrzyć poprzecinane głęboko concertiną ręce i pokaleczone nogi. Trzech Somalijczyków, wśród nich jeden 16-letni, i jeden Jemeńczyk. Nie ma czasu. Muszą podpisać pełnomocnictwa i oświadczenia, że chcą w Polsce prosić o azyl. Dostają wodę. Piją łapczywie. Nie pili nic przez ostatnią dobę, nie jedli nic od dwóch dni. Ile dni tułają się po lesie? Liczą. Pięć albo sześć. Stracili rachubę czasu. Pełnomocnictwa i prośby o azyl podpisane. Teraz można już powiadomić Straż Graniczną. Przyjeżdża po dwóch godzinach. Strażnicy nawet grzeczni. Legitymują nas i spisują. Proszącym o azyl odbierają telefony, a ich samych nawet nie skuwają, tylko wiążą plastikowymi trokami. Trochę jak zwierzęta wiezione na targ. Biorą do samochodu. Wiozą najpierw do swojej placówki, a następnego dnia do ośrodków dla uchodźców. Mamy nadzieję, że tym razem ich nie pushbackują. Będą więc siedzieć w ośrodkach o standardzie kryminału i czekać na decyzję, co dalej. Nic lepszego nie mogło ich tu spotkać. Mieli szczęście.

Takich ludzi jak Mateusz jest więcej. Ale mało. Są natomiast tacy, którzy biorą od spotkanych opłatę za podwózkę do niemieckiej granicy, po czym wzywają Straż Graniczną, a ta wypycha uchodźców na białoruską stronę, do lasu, tyle że już bez pieniędzy. Są i tacy, którzy nie okradają uchodźców, tylko od razu zawiadamiają Straż Graniczną lub policję. I jest to u nich taki sam odruch jak zdejmowanie butów przez Mateusza. Po prostu nie lubią obcych, poza tym ich podłość oficjalnie racjonalizuje się „obroną polskiej granicy" i „patriotyzmem". Mateusz ma wsparcie w matce, która uważa, że ludziom będącym w potrzebie i niebezpieczeństwie trzeba pomóc. Po prostu. Trzeba, choć sąsiedzi źle na to patrzą. Siostra trochę Mateuszowi pomaga, ale nie angażuje się, bo przecież chce mieć koleżanki i kolegów, boi się środowiskowego ostracyzmu. Początkowo Mateuszowi pomagała również babcia, ale przestała, obawia się, że straci 13. czy 14. emeryturę. Nie wiem, czy sama do tego doszła, czy ktoś ją tak postraszył. Jest też w Białowieży jeden restaurator, który oficjalnie zatrudnia uchodźców z ośrodka. Ludzie źle na to patrzą, wciąż wylewa się na niego hejt, ale on ma to w nosie i uważa, że ludziom trzeba pomóc, poza tym oni starają się być dobrymi pracownikami. A jakie to ma znaczenie, że są czarni?

Są także w Białowieży duchowni. Rzymskokatoliccy i prawosławni. Bardzo jestem ciekaw, jak interpretują przypowieść o miłosiernym Samarytaninie i czy tymi przemyśleniami dzielą się z wiernymi.

Patrząc na społeczeństwo przygraniczne i jego postawy, zaczynam lepiej rozumieć okres okupacji i myślę, że historia, która zatoczyła krąg, niczego nas nie nauczyła.

PS Na drugi dzień po naszym wyjeździe do domu Mateusza przyjeżdża policja. Ktoś z sąsiadów doniósł, że przechowuje w domu uchodźców! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

Inwestorzy zza Odry znajdują u nas w miarę przyjazny klimat, dość tanią siłę roboczą, niskie podatki i niezłą infrastrukturę. Nz. otwarcie fabryki Volkswagena we Wrześni w 2016 r. Produkuje się tam dostawcze craftery.

Für Deutschland

Politycy PiS twierdzą, że Polska jest niemiecko-rosyjskim kondominium rządzonym przez Donalda Tuska. Nie wspominają, że współpraca gospodarcza z Berlinem bardzo nam się opłaca

Grzegorz Rudnik

Nad Wisłą działa ponad 9,5 tys. niemieckich przedsiębiorstw. Zatrudniają one łącznie ponad 450 tys. pracowników. Polska gospodarka jest silnie związana z gospodarką niemiecką i vice versa. Obecność naszego kraju w Unii Europejskiej sprawia, że dostęp polskich towarów i usług do rynków państw zachodnich jest względnie łatwy. Przedsiębiorcy z obu stron granicy to dostrzegają i jeśli mogą, wykorzystują. Z politykami niestety jest gorzej.

„My mamy w Polsce partię niemiecką", dowodził Jarosław Kaczyński 16 października 2022 r. na antenie Polskiego Radia 24, wyjaśniając, że nie jest nią PiS.

Dowodem patriotyzmu Zjednoczonej Prawicy było m.in. oczekiwanie wypłacenia Polsce wysokich reparacji wojennych. Ministerstwo Spraw Zagranicznych pod wodzą Zbigniewa Raua oszacowało straty naszego kraju w II wojnie światowej – poniesione z winy Niemiec – na 6 bln 220 mld 609 mln zł. Berlin nie chciał nawet o tym rozmawiać, co w Warszawie uznano za policzek.

Swoje dołożył ambasador Andrzej Przyłębski, oskarżając niemieckie media o „antypolską narrację" i przedstawianie naszego kraju jako „upadającą demokrację ze strefami wolnymi od LGBT".

Od lat w najlepszym tonie było regularne krytykowanie przez europosłów PiS niemieckich polityków. Niemcom zarzucano chęć obalenia rządu Mateusza Morawieckiego. Patryk Jaki dowodził, że Polska nie

eprasa.pl 3729f5913c

powinna być „małym, zgwałconym wagonikiem w niemieckiej lokomotywie". Różę Thun w TVP Info przedstawiano zaś nie inaczej jak „Gräfin von Thun und Hohenstein", choć jej panieńskie nazwisko to Woźniakowska i urodziła się w Krakowie. Być może dlatego w styczniu 2018 r. eurodeputowany PiS Ryszard Czarnecki porównał ją do szmalcowników. Proces, który mu potem wytoczyła, przegrał.

Nic dziwnego, że w latach 2015-2023 Berlin oceniał relacje ze swoim wschodnim sąsiadem jako „niezbyt dobre".

O dziwo, harce polityków prawicy nie przełożyły się na relacje gospodarcze. Niemcy są dla Polski od lat największym, a więc najważniejszym partnerem handlowym. My też liczymy się w Berlinie, chociaż prezes PiS dowodzi, że nasza gospodarka jest „drugorzędna" w stosunku do zachodniego sąsiada. My zaś korzystamy z niemieckich inwestycji, kapitału i swobodnego dostępu do tamtejszego rynku.

Polnische Wirtschaft

To pejoratywne określenie, za którym krył się bogaty zestaw negatywnych cech Polaków, takich jak nieporządek, chaos, anarchia, nierzetelność, brud, pijaństwo i lenistwo, na szczęście powoli odchodzi w przeszłość. 20 lat obecności naszego kraju w Unii Europejskiej dowiodło Niemcom, że nie jesteśmy narodem złodziei samochodów, zbieraczy szparagów, prostytutek, służących, hydraulików i płytkarzy.

Nasi zachodni sąsiedzi zauważyli, że kryzys roku 2008 Polska przeszła suchą stopą, a tutejsza gospodarka mogła się pochwalić nawet lekkim wzrostem w czasach, gdy im przyszło się zmagać z recesją. Władze graniczących z naszym krajem wschodnich landów odnotowały wzrost liczby Polaków osiedlających się po „ich" stronie Odry. Nikogo już nie dziwi, że niemieckie firmy poszukiwały pracowników po polskiej stronie granicznej rzeki. Za to z zaskoczeniem Niemcy przyjęli wiadomość, że na 10 tys. Polaków przypada więcej samochodów niż na 10 tys. Niemców.

Wprawdzie w Berlinie nadal można się spotkać z podejrzeniami, że z Polakami coś jest nie tak, ale realia współpracy handlowej dowodzą czegoś wręcz przeciwnego. Natomiast liderzy Prawa i Sprawiedliwości, dobrze wiedząc, że pod tym względem wszystko jest w najlepszym porządku, zachowywali się tak, jakby teoria o kondominium była prawdą. Ostro krytykowali niemieckich polityków, dowodząc, że zwąchali się z Rosjanami na naszą zgubę. Choć, gdy trzeba, umieli się zachować.

Nad Wisłą działa ponad 9,5 tys. niemieckich przedsiębiorstw. Zatrudniają one łącznie ponad 450 tys. pracowników.

14 lipca 2022 r. premier Mateusz Morawiecki przybył do Legnicy, by wraz z prezydentem miasta Tadeuszem Krzakowskim wziąć udział w uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod budowę nowej fabryki pomp ciepła, którą stawiała niemiecka spółka Viessmann. W fabryce miało znaleźć pracę 1,7 tys. Polaków, więc premier stawił się osobiście.

Stronę niemiecką reprezentował m.in. właściciel firmy Maximilian Viessmann. Zapewne premier czuł się wybornie w jego towarzystwie i być może dlatego inwestycję określił jako „odpowiedź na politykę Rosji", dodając: „Nie damy się zastraszyć". Dziś pewnie powiedziałby coś innego.

Inwestycja Viessmanna z pewnością nie była ostatnim przedsięwzięciem gospodarczym naszych zachodnich sąsiadów. Inwestorzy zza Odry znajdują u nas nie tylko w miarę przyjazny klimat, ale też tanią jak na warunki unijne siłę roboczą, niskie podatki i niezłą infrastrukturę pozwalającą na szybki transport towarów na Zachód.

W tym roku w Dobromierzu, na terenie Wałbrzyskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, ma się rozpocząć budowa (za 250 mln euro) kolejnej fabryki pomp ciepła, tym razem firmy Bosch. W roku 2027 w fabryce znajdzie pracę 500 osób. Wypadałoby się zjawić, przeciąć wstęgę i powiedzieć kilka słów.

Pochodzącego z Opola eurodeputowanego, wykładowcę akademickiego i doktora nauk o bezpieczeństwie Patryka Jakiego Niemcy mogą nie zapraszać. Jest zbyt mocno zafiksowany na kondominium.

Szkoda, że politycy Prawa i Sprawiedliwości nie zdają sobie sprawy z tego, jak bardzo swoimi wypowiedziami przyczyniają się do utrzymywania negatywnego wizerunku Polaków w społeczeństwie niemieckim. W roku 2021 podczas parady karnawałowej w Düsseldorfie ciągnięta była na lawecie kukła Jarosława Kaczyńskiego, który krzyżem wbijał kołek w serce ciężarnej Polki. W ten sposób twórca figury skrytykował poczynania polskiej prawicy w kwestiach prawa do aborcji i pigułki „dzień po" oraz traktowanie aktywistek przez policję podczas demonstracji. Nasza ambasada w Berlinie złożyła protest, który na niewiele się zdał. Zabawy karnawałowe zachodnich sąsiadów – zwłaszcza w Kolonii – bywają lepsze niż te w Rio de Janeiro. Dlatego nikt nie chciał psuć zasłużonej rozrywki jakimiś protestami.

Między innymi z tego powodu zmianę władzy w Polsce Berlin przyjął z wyraźną ulgą. Niemieccy inwestorzy odnieśli się do tego bez emocji. Dla nich niewiele się zmieni. Polskie realia znają zbyt dobrze.

Jak to robią Volkswagen i inni

Pierwszym dużym niemieckim koncernem, który po roku 1990 zainwestował w „kondominium" nad Wisłą, był Volkswagen. W maju 1992 r. gigant z Wolfsburga uruchomił w Poznaniu (niegdyś Provinz Posen) montownię swoich samochodów. Dziś koncern ma w Polsce dziewięć zakładów, w tym najnowocześniejszą w Europie fabrykę silników w Polkowicach.

Powiedzieć, że Niemcy czują się w tych zakładach jak u siebie, to nic nie powiedzieć. We Wrześni na powierzchni 220 ha Volkswagen wybudował zakład, w którym produkowane

FOT. JAKUB WALASEK/REPORTER

eprasa.pl 3729f5913c

są samochody dostawcze Crafter. Ostatnio także elektryczne – e-Crafter. Z jego linii produkcyjnych może zjechać 100 tys. pojazdów rocznie.

W Polsce koncern produkuje też fotele samochodowe i ma zamiar wybudować fabrykę baterii do pojazdów elektrycznych. Dzięki inwestycjom Volkswagena powstały i zapewne powstaną tysiące nowych miejsc pracy.

W październiku 2023 r., tuż przed wyborami parlamentarnymi, spółki Umicore (z Belgii) i PowerCo (z Niemiec) ogłosiły na specjalnej konferencji prasowej, że do końca 2030 r. zainwestują prawie 1,7 mld euro w nowy zakład produkujący aktywne materiały katodowe (CAM) do akumulatorów pojazdów elektrycznych. Obie firmy sformalizowały współpracę, powołując spółkę joint venture o nazwie IONWAY. Nowa fabryka zostanie wybudowana w Nysie na terenie Wałbrzyskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej INVEST-PARK.

W latach 2015-2023 Berlin oceniał relacje ze wschodnim sąsiadem jako „niezbyt dobre".

Występując przed kamerami, reprezentujący premiera Mateusza Morawieckiego Marcin Ociepa (PiS) oświadczył: „Potrzebujemy silnej i bezpiecznej Polski. Wierzę, że inwestycja, którą dziś inaugurujemy w Nysie, przybliża nas do tego celu". Inni obecni na tej uroczystości pisowscy oficjele prezentowali podobny entuzjazm.

Szansę na dobry interes w Polsce dostrzegł też niemiecki producent sprzętu AGD, firma Miele, przenosząc część swojej produkcji do Konstantynowa pod Łodzią. Decyzję uzasadniono niższymi kosztami produkcji oraz możliwością zatrudnienia wykwalifikowanych polskich pracowników. Kierownictwo spółki wiedziało, że nasz kraj od dawna jest poważnym producentem pralek, zmywarek, lodówek, kuchenek itp.

Inna niemiecka firma, Otto, uruchomiła w Iłowej centrum logistyczne, zatrudniając 1,9 tys. osób. Na pewno wyszło taniej niż nad Renem.

Mercedes-Benz (Daimler) w roku 2022 planował uruchomienie w Polsce produkcji elektrycznych samochodów dostawczych. Inwestycja miała wynieść ponad miliard euro. Czy zostanie zrealizowana, trudno powiedzieć, niemieckie koncerny walczą z ekspansją chińskich producentów samochodów elektrycznych i nie jest powiedziane, że sobie poradzą.

Ekonomiści zwrócili uwagę na fakt, że ze względu na wojnę i sankcje nałożone na Kreml z planów inwestycyjnych dużych koncernów zniknęła Rosja. Polska, mimo bliskości frontu, dysponuje dobrą infrastrukturą, nie ma kłopotów z energetyką i można tu znaleźć wykwalifikowanych pracowników. Z Polski do Niemiec jest bardzo blisko, więc z logistyką nie powinno być problemów. I to jest poważny atut naszego kondominium.

Pewnie dlatego w ślady Mercedesa chce (albo chciało) iść Zalando. Ten wielki sklep internetowy z modą zakładał uruchomienie w naszym kraju co najmniej dwóch dużych centrów magazynowo-dystrybucyjnych.

Harce polityków prawicy nie przełożyły się na relacje gospodarcze. Niemcy od lat są dla Polski najważniejszym partnerem handlowym. My też liczymy się w Berlinie.

Można powiedzieć, że w Polsce działają wszystkie liczące się niemieckie firmy. A co z polskimi spółkami w Niemczech?

Nasi w Berlinie

Najbardziej znaną polską inwestycją w Niemczech był zakup stacji benzynowych przez PKN Orlen. Nieźle też poradziła sobie Grupa Nowy Styl produkująca meble biurowe. To jedna z najbardziej dynamicznych polskich firm. W roku 2011 kupiła ona niemieckiego producenta krzeseł Grammer Office wraz siecią dystrybucji. Dwa lata później przejęła niemiecką firmę produkującą krzesła biurowe Rohde & Grahl, a w roku 2019 kolejną spółkę, Kusch+Co – niemiecką rodzinną markę z 80-letnią tradycją. Dziś Grupa Nowy Styl jest jednym z największych w Europie producentów mebli biurowych.

Spółka Ciech w roku 2007 przejęła zakład chemiczny w Stassfurcie w Saksonii-Anhalt, producent naczep Wielton kupił zaś firmę Langendorf, co pozwoliło mu na rozwinięcie działalności na rynku niemieckim.

Ważnym zjawiskiem jest ekspansja polskich produktów rolno-spożywczych na rynek niemiecki. Polskie spółki sprzedają tam prawie wszystko, poczynając od zbóż i pasz, przez jabłka, maliny, napoje gazowane, na mięsie kurczaków kończąc. Istotne jest to, że sprzedaż polskiej żywności w Niemczech systematycznie rośnie. Pytanie, czy mogłoby być lepiej. Pewnie tak. Niemcy wysoko cenią np. polskie wędliny.

W tym i kolejnych latach przyjdzie jednak zmierzyć się z silną konkurencją producentów ukraińskich, którzy, mając swobodny dostęp do unijnego rynku, są w stanie zaoferować znacznie niższe ceny. Trzeba się pogodzić z tym, że jakakolwiek konkurencja z Ukrainą w takich warunkach jest niemożliwa. Problem ten dotyczy nie tylko polskich rolników i producentów żywności, ale też zachodnich, więc jest szansa na wyrównanie warunków rywalizacji z naszymi wschodnimi sąsiadami.

Lansowane przez Prawo i Sprawiedliwość pojęcie Polski jako rosyjsko-niemieckiego kondominium, z Donaldem Tuskiem jako zarządzającym z woli Moskwy i Berlina, nie zniknie i będzie miało swoich wyznawców. Dla nich bez znaczenia będą fakty, a one mówią, że w roku 2023 nasz kraj miał nadwyżkę w eksporcie do Niemiec. Jak podał Główny Urząd Statystyczny, polski eksport sięgnął 98,1 mld euro, podczas gdy import z Niemiec do Polski spadł do 67,5 mld euro. I tego powinniśmy się trzymać – *Danke für alles.*

Grzegorz Rudnik

eprasa.pl 3729f5913c

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Uścisk generała

Były ostatnie dni sierpnia 2005 r., gdy po przyjeździe z urlopu otworzyłem pokaźną kopertę z nadrukiem „Biuro byłego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Wojciecha Jaruzelskiego". Nigdy bym się nie spodziewał takiej przesyłki.

W latach 80. nienawidziłem Jaruzelskiego. W miesięczniku „Znak" publikowałem eseje historyczne przedstawiające go pod maską carskich namiestników. Potem jednak przyszedł Okrągły Stół, a jeszcze później Jaruzelski został prezydentem i nad rządem Tadeusza Mazowieckiego rozpiął parasol ochronny. Na jego przemianę patrzyłem ze zdumieniem, a jego rolę polityczną zacząłem podziwiać. Gdy więc szereg lat później ciągano go po sądach, brałem go w obronę. Napisał, by mi podziękować.

Tak zaczęła się nasza korespondencja – z jego strony nacechowana zawstydzającą mnie uprzejmością i serdecznością. W ciągu niespełna pięciu lat otrzymałem od niego dziewięć listów i sześć książek z dedykacjami. Listy, wydrukowane na komputerze, zaczynały się ręcznie napisanym nagłówkiem („Szanowny Panie Profesorze") i miały odręczne, żołnierskie zakończenie („z szacunkiem Jaruzelski"). Dołączane były jego rozmaite pisma, oświadczenia i wyjaśnienia, wygłaszane na konferencjach, na sali sądowej bądź w listach do innych osób. „Będę rad, jeśli Pan Profesor zechce je przeczytać i uzna za godne uwagi" – ta formuła powtarzała się niemal zawsze. Ja moje listy zaczynałem słowami „Wielce Szanowny Panie Prezydencie", bo był on dla mnie przede wszystkim prezydentem – Pierwszym Prezydentem III Rzeczypospolitej – a nie generałem, który wprowadził stan wojenny. Dopiero dziś myślę, że wypreparowywanie z całego jego życia tej 16-miesięcznej prezydentury nie było jednak uczciwe. Że to życie rządziło się inną logiką.

Proponowałem mu napisanie „Alfabetu Jaruzelskiego". Grzecznie odmówił, wymawiając się wiekiem i brakiem czasu, natomiast dowiedziawszy się, że jestem polonistą, wspominał swe przedwojenne gimnazjum, gdzie jako polonista „zapowiadał się nieźle" i rywalizował z kolegą z klasy, Tadeuszem Gajcym. Dodawał, że polonistą jest jego szwagier, prof. Jerzy Starnawski (znałem go z naszego polonistycznego kręgu), oraz jego siostra (Teresa Starnawska telefonowała później do mnie, wspominając zesłanie rodziny na Syberię). „Polonistką – pisał generał – jest także moja córka". Przypomniałem sobie, jak kiedyś pojawił się na ćwiczeniach w moim Instytucie Filologii Polskiej UJ – właśnie z powodu warszawskich studiów polonistycznych córki. Wejście Jaruzelskiego do sali wywołało popłoch, a kolega z asystentury, Jurek Pilch, opublikował w podziemnej „Arce" szyderczą humoreskę „Gdyby odwiedził was…".

Ale to było dawno. „Wzrusza mnie Pańska dla mnie życzliwość", pisał Jaruzelski 19 grudnia 2009 r. „Wspominam serdecznie nasze spotkanie w »Kuźnicy«", dodawał, bo dwa miesiące wcześniej odbyła się jego wizyta w Krakowie. Na obiedzie siedzieliśmy obok siebie, a on przy pożegnaniu otworzył ramiona i chwilę trwaliśmy w uścisku. Tak też odbyło się w roku 2013 moje z nim pożegnanie. Stał na podium, na które przed chwilą wszedł nie bez trudu, i przywołał dawny żart: „Kierownictwo ZSRR dało pokaz siły – o własnych siłach weszło na trybunę". „Ja też dałem pokaz siły", żartował. To były jego 90., ostatnie w życiu urodziny: 6 lipca 2013 r., obchodzone w warszawskim hotelu, przy nienawistnym wyciu naszej prawicy za oknem. Gdy przyszedł czas na indywidualne składanie życzeń i gdy wdrapałem się na to podium, Jaruzelski znów otworzył ramiona, a ja, trwając z nim w objęciach, powiedziałem, że być może zawdzięczam mu życie. „No, to już…", żachnął się, ale nie pozwoliłem mu wypowiedzieć słowa „przesada".

Na przemianę gen. Jaruzelskiego patrzyłem ze zdumieniem, a jego rolę polityczną zacząłem podziwiać.

Bo przecież tak właśnie mogło być – może żyję dzięki niemu. Wszyscy, a Solidarność najbardziej, jesteśmy jego dłużnikami – tak mówiłem dawno już temu i do dziś jestem o tym przekonany. Tymczasem ze strony solidarnościowej było nas na tych urodzinach chyba tylko trzech: oprócz mnie prof. Jan Widacki oraz członek komitetu strajkowego w kopalni Wujek, Jerzy Wartak. Patrzyłem z podziwem: Wartak pojednał się z Jaruzelskim, bywał u niego w domu, zaprzyjaźnił się z nim, płacąc za to ostracyzmem środowiska. Nie mogę odżałować, że gdy potem zadzwonił, że będzie w Krakowie, nie znalazłem czasu, by z nim się spotkać.

Jerzy Wartak zmarł bowiem 11 grudnia 2018 r., cztery i pół roku po Jaruzelskim, którego rocznica śmierci minęła przedwczoraj (25 maja). I dziś oni obaj łączą mi się często we wspomnieniach.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek

MARSZ PO EURO

W którym momencie ten szczery, młodzieńczy działacz lewicowy stał się bezwzględnym pieczeniarzem, zainteresowanym wyłącznie posadami dla siebie i swoich?

Agnieszka Wołk-Łaniewska

Lista lewicy do europarlamentu została zmontowana tak, żeby z trzech możliwych mandatów dwa przypadły parze Biedroń-Śmiszek. Jak to się stało, że facet, który był szefem nieistniejącej partii, a w wyborach prezydenckich dostał 2,22% głosów, rozdaje karty i synekury, a reszta lewicowej koalicji siedzi cicho?

To długa historia.

Albo Biedroń, albo Tusk

Pamiętacie, jak Robert Biedroń był nadzieją lewicy? Kultowe „Ucho Prezesa" poświęciło mu nawet specjalny odcinek, w którym Wałęsa, Kwaśniewski i Komorowski jadą do Słupska, żeby namawiać Biedronia, podówczas prezydenta miasta, by koniecznie kandydował na prezydenta RP, a on się kryguje. „Czemu nie Donald?", pyta Wałęsę, a Lech na to: „Donald to jest dobry do żucia, ja go mogę w kieszeni schować, on maleje, a pan rośniesz". Był rok 2018.

Nie wiem, jak Państwa, ale mnie nurtuje pytanie, co poszło nie tak. W którym momencie ten szczery, (nieco zbyt) młodzieńczy działacz lewicowy, uwodzący wyborców żarliwością i urokiem osobistym, stał się bezwzględnym pieczeniarzem, zainteresowanym wyłącznie posadami dla siebie i swoich? Ja winię pensję europosła.

Dla przypomnienia: w 2013 r. Robert Biedroń był jedną z twarzy autentycznej zmiany. Jako pierwszy nieskryty gej w historii RP wszedł do Sejmu z Ruchu Palikota, wraz z pierwszą transpłciową posłanką Anną Grodzką i Wandą Nowicką, otwarcie zaangażowaną w łamanie ustawy antyaborcyjnej. W naszym ciemnogrodzie zrobiło się jakby jaśniej. Wprawdzie na wstępie zdążył się nieco zbłaźnić, kiedy obwieścił Monice Olejnik, że Konwent Seniorów to „zebranie najważniejszych, najstarszych posłów w parlamencie", ale tego typu wpadki wyborcy byli skłonni mu wybaczyć, albowiem był uroczy i ideowy.

O ile Robertowi Biedroniowi budowanie własnej partii, tworzenie programu i walka o niego szły nieszczególnie, o tyle w rozgrywkach wewnętrznych okazał się zabójczy jak Zorro.

Posłem pobył zaledwie rok, gdyż w 2014 r. wystartował na prezydenta Słupska i niespodziewanie (także dla siebie) wygrał. Dzielnie przeprowadził się na drugi koniec Polski i przystąpił do rządzenia miastem, z którym nic go nie łączyło: inwestował w mieszkania komunalne, wystawił przed ratuszem czerwoną kanapę, na której rozmawiał z mieszkańcami, obniżył własną pensję, odebrał urzędnikom dodatki na benzynę, przestał używać prezydenckiej limuzyny, po mieście jeździł rowerem. Co prawda, 206 dni ze swojej kadencji spędził w delegacjach, rower zaś był raczej na pokaz, bo mieszkał tuż obok urzędu, a limuzynę zachował na dalsze podróże – ale mieszkańcy go polubili, czego dowodem był fakt, że jego zastępczyni, którą namaścił na następczynię, wygrała w pierwszej turze.

Zaskakujący słupski sukces wywindował Biedronia na czoło lewicowego peletonu; nawet niepodatny na naiwne uniesienia Aleksander Kwaśniewski orzekł: „Myślę, że w 2020 r. prezydentem Polski będzie Robert Biedroń". Podejrzewam skądinąd, że tak naprawdę Kwaśniewski w zwycięstwo Biedronia nie wierzył – jak mało kto rozumie on elektorat, w swej masie konserwatywny i dość homofobiczny – więc był to raczej wyraz wsparcia niż diagnoza.

Jakkolwiek by było – Biedroń bezsprzecznie znajdował się na krzywej wznoszącej i każdy na lewicy chciał być jego przyjacielem. Szykując się do politycznej ofensywy, napisał książkę zatytułowaną cokolwiek megalomańsko „Nowy rozdział". Megalomaństwo tkwiło w fakcie, że autor zdawał się przewidywać nowy rozdział nie we własnym życiu, ale w życiu polskiej lewicy i Polski generalnie, za swoją sprawą. Konkretów programowych w książce raczej brakowało, za to znać było odwagę oryginalności. Kilka razy padło słowo „symetryzm" – i to nie w obowiązującym w „demokratycznych elitach" tonie potępienia, ale jako wyzwanie rzucone „starym podziałom" i „teatrowi starych partii"; sporo było też o „równości" i „wyzysku".

eprasa.pl 3729f5913c

W 2019 r. partner Roberta Biedronia, Krzysztof Śmiszek, dostał jedynkę we Wrocławiu, obiecaną skądinąd dyrektorowi Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a, Michałowi Sysce.

Biedroń, jako bodaj jedyny antypisowski polityk w tym czasie, dużo i często mówił o tym, jak wielką zmianą w życiu biednych Polaków było 500+. Nie dawał wyborcom do zrozumienia, że przedkładając możliwość wysłania dzieci na kolonie nad niezawisłość sądów, są „ludem ciemnym już bez cnoty", jak głosił krążący wówczas po sieci protest song. Zamiast tego przekonywał ich, że nie muszą wybierać, bo „zasługują na to, żeby mieć i 500+, i wolność".

Dyskretny urok Balcerowicza

Przyznaję, byłam pod urokiem. Nie ja jedna. Był taki czas, kiedy co czwarty Polak deklarował gotowość wybrania prezydenta Słupska na prezydenta Polski. W sondażach Biedroń długo zajmował trzecie miejsce, niedaleko za Tuskiem; media informowały o tych wynikach w artykułach zatytułowanych „Robert Biedroń konkurencją dla Tuska i Dudy" („Rzeczpospolita"), „Albo Biedroń, albo Tusk" (WP).

W rankingach sympatii było jeszcze lepiej: w grudniu 2018 r. Biedroń był, obok Władysława Kosiniaka-Kamysza, najbardziej lubianym politykiem w Polsce. Sondaż robiony na zlecenie Żywca pokazał, że prezydent Słupska jest w pierwszej trójce polityków, z którymi Polacy umówiliby się na piwo, za Dudą, ale przed Kukizem. Świat stał przed nim otworem. A przynajmniej jego lewa strona.

W 2023 r. Śmiszek znowu dostał jedynkę we Wrocławiu, a w ślad za nią poszło stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości – ale okazało się, że to za mało.

Dziś myślę, że nadzieja lewicy już wtedy wykazywała te skłonności, które później wywiodły ją na manowce. Robert Biedroń przejawiał niepokojący entuzjazm wobec figur publicznych chodzących do łóżka z kapitałem.

W książce z zachwytem pisał o Emmanuelu Macronie. „Na lewicy oskarżano go o liberalną zdradę, na prawicy przedstawiano jako farbowanego lewicowca – wywodził – ale on nie zamierza dać się zamknąć wewnątrz podziałów odziedziczonych z innych czasów". A było to wtedy, kiedy Macron obniżał podatki dla 1% najbogatszych Francuzów, za to podnosił je dla emerytów, „uelastyczniał" prawo pracy, planował prywatyzację lotnisk, kolei, sektora energetycznego. Idolką Biedronia okazała się też ulubienica korpo-Ameryki Hillary Clinton, a z autorytetów krajowych dobrał sobie Leszka Balcerowicza, którego mianował swoim doradcą ekonomicznym w Słupsku, i Henrykę Bochniarz, z którą promował się w necie z okazji 8 Marca.

Wielu lewaków – w tym ja – bagatelizowało wówczas te dziwaczne wybory, składając je na karb niedouczenia, czyli wady relatywnie łatwo usuwalnej. Tymczasem prawda jest taka, że politycy tacy jak Macron czy Balcerowicz – wyznawcy tezy, że „przypływ podnosi wszystkie łodzie" – są szczególnie popularni wśród właścicieli jachtów. A także osób do statusu właściciela jachtu aspirujących.

W 2018 r. sondaże pokazywały, że zbudowana pod auspicjami Roberta Biedronia szeroka lewicowa koalicja, sięgająca od SLD po Razem, ma szansę na kilkanaście procent poparcia. Biedroń, w duchu uświęconego tradycją lewackiego sekciarstwa, postanowił jednak założyć własną partyjkę, pierwotnie pod afektowaną nazwą Kocham Polskę. Miłość nie trwała za długo – na początku 2019 r. przeszła w Wiosnę Roberta Biedronia.

Pod tym sztandarem biedroniowcy ruszyli samodzielnie do wyborów do Parlamentu Europejskiego. Posiadacz Wiosny, jak wszyscy pamiętamy, stanął na czele listy warszawskiej, ale robił to tylko dla partii. „Oczywiście, że kandyduję, bo jestem liderem tego projektu i muszę doprowadzić do tego, że drużyna, która w końcu zmieni oblicze polskiej reprezentacji do PE, tam się znajdzie", przemawiał wówczas w TVN 24. „Nie przyjmę mandatu albo zrezygnuję z mandatu", obiecał, bo przecież miał walczyć o Polskę z prawicowym duopolem tu, na miejscu. Obiecał to wyborcom oraz prof. Monice Płatek, która miała drugi wynik.

Stało się to, co się stało: pokusa zostania w ciągu pięciu lat zamożnym człowiekiem okazała się za

eprasa.pl 3729f5913c

silna. Co pewnie sporo ludzi mogłoby zrozumieć, gdyby Biedroń nie próbował robić z wyborców idiotów i nie przekonywał, że nigdy niczego takiego nie mówił. A potem było już z górki.

Pół przewodniczącego

Wiosna skończyła się po sześciu miesiącach – partia zainaugurowana 3 lutego w lipcu przystąpiła do koalicji z SLD i Razem. W październiku tegoż 2019 r. wespół w zespół weszli do Sejmu, a w grudniu ogłoszono, że Wiosna z Sojuszem łączą się w nową formację. Przy okazji Robert Biedroń zademonstrował talent, o który wcześniej go nie podejrzewaliśmy: o ile budowanie własnej partii, tworzenie programu i walka o niego szły mu nieszczególnie – o tyle w rozgrywkach wewnętrznych okazał się zabójczy jak Zorro. Jego nieistniejąca partia wygenerowała 100 kandydatów na wspólne listy. Dla kilkunastu Biedroń wywalczył jedynki, w tym dla swojego partnera życiowego Krzysztofa Śmiszka. Z 49 mandatów zdobytych w 2019 r. przez lewicę biedroniowcy wzięli 19 – całkiem nieźle jak na partię, która tak naprawdę nie zaczęła działalności. Przypadł jej również jeden z dwóch mandatów senackich.

Jeszcze lepiej poszło Biedroniowi w tandemie z Czarzastym. Wiosna połączyła się z Sojuszem Lewicy Demokratycznej jak równy z równym; dostała tyle samo delegatów na kongres zjednoczeniowy, tyle samo miejsc w zarządzie, pół przewodniczącego. W SLD – najstarszej działającej partii III RP, 30-tysięcznej formacji, która wydała z siebie prezydenta i czterech premierów – zapanowało niejakie niezadowolenie. To niezadowolenie eseldowców z ich szefa okazało się siłą Biedronia.

Widząc nastroje we własnych szeregach, Czarzasty tak skonstruował alians z Wiosną, żeby jej głosami zostać wybranym na szefa frakcji SLD, czyli „współprzewodniczącego" Nowej Lewicy. Okazało się, że władze zjednoczonej partii mają być wybierane wspólnie, głosami obu frakcji, dysponujących taką samą liczbą delegatów – więc Czarzastemu wystarczy poparcie Wiosny plus kilka głosów z SLD. Dla ludzi Sojuszu dodaniem krzywdy do zniewagi były doniesienia z kraju, że Wiosna prowadzi gorączkowy nabór, bo nie ma dość działaczy, żeby wypełnić 500 mandatów, które przysługiwały jej na kongresie zjednoczeniowym. W desperacji posłowie Wiosny z terenu próbowali kaperować swoich znajomych, najczęściej z Nowoczesnej, będącej wszak przystawką PO – toteż lokalni liderzy Platformy krzyczeli, że lewica kradnie im radnych. A ponieważ Czarzasty równocześnie dokonał czystki we własnych szeregach, zawieszając i wykluczając z obrad zarządu wszystkich, którzy głosowali nie po jego myśli – nie został już nikt, kto miałby odwagę protestować.

Świetnie poszło Biedroniowi w tandemie z Włodzimierzem Czarzastym. Wiosna połączyła się z SLD jak równy z równym.

Wisienką na torcie „współprzewodniczenia" Nowej Lewicy okazały się wybory prezydenckie, w których Robert Biedroń zdobył 2,22% poparcia – mniej niż Magdalena Ogórek pięć lat wcześniej. W normalnej partii przewodniczący, który doprowadził do takiego blamażu, podałby się do dymisji i odszedł w niepamięć – ale ponieważ Biedroń z Czarzastym są politycznie zrośnięci biodrami i odejście jednego podkopałoby pozycję drugiego – nic takiego się nie stało.

Biedroń zrozumiał, że jest Czarzastemu niezbędny do utrzymania władzy w partii, więc może stawiać warunki. I stawia, oj, stawia.

O czym marzy Robert

W 2019 r. facet Biedronia, kompletnie anonimowy wówczas Krzysztof Śmiszek, dostał jedynkę we Wrocławiu, obiecaną skądinąd dyrektorowi Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a, Michałowi Sysce. Pytany o to Śmiszek odparł pogodnie: „Decyzja była podjęta kolektywnie i przeważyła pragmatyka polityczna". Dlaczego kandydował akurat we Wrocławiu? Bo mieszka tam „duża część rodziny jego taty". Zapytany, czy jego miejsce na liście jest efektem jego prywatnej sytuacji, orzekł twardo: „To plotki. Moja kandydatura była naturalna". I jeszcze, że zarzuty nepotyzmu to „odgrzewany kotlet", bo przecież we Wrocławiu „małżeństwo Zdrojewskich kandyduje do Senatu".

W poprzednim Sejmie Śmiszek został wiceszefem klubu parlamentarnego. Przypadła mu też rola Wielkiego Inkwizytora: stanął na czele zespołu do przygotowania prac „Komisji Sprawiedliwości i Prawa, która ma rozliczyć rządy Prawa i Sprawiedliwości".

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PIOTR GUZIK/FORUM

eprasa.pl 3729f5913c

„To będzie komisja wzorowana na tych, które były powoływane w krajach, które przechodziły autokratyczne reżimy, oczywiście zachowując wszelkie proporcje tego, co się wydarzyło w Chile, Argentynie czy w Polsce”, perorował Śmiszek. Nie da się „zachować proporcji” między wojskowymi juntami, które zamordowały dziesiątki tysięcy obywateli, a wybranym demokratycznie rządem, który nadużywał władzy – ale dzięki temu porównaniu rola Krzysia nabrała wagi. Stał się on także czołowym ekspertem od konstytucji: w opracowanym przez lewicę „Raporcie o stanie państwa” był jedynym autorem rozdziału poświęconego problemom sądownictwa. Zalecał – odkrywczo – „przyjęcie przepisów, które powinny doprowadzić do stanu zgodności z konstytucją RP statusu sędziów sądów powszechnych i Sądu Najwyższego oraz uregulować status wydanych przez takich sędziów wyroków dla gwarancji pewności obrotu prawnego i bezpieczeństwa obywateli”. Jak powinny brzmieć te przepisy, nie nadmienił.

Biedroń zrozumiał, że jest Czarzastemu niezbędny do utrzymania władzy w partii, więc może stawiać warunki. I stawia, oj, stawia.

W 2023 r. Śmiszek znowu dostał jedynkę we Wrocławiu, a w ślad za nią poszło stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości – ale okazało się, że to za mało. Obecnie pan Biedroniowy kandyduje do PE, z jedynki, a jakże, w okręgu obejmującym województwa dolnośląskie i opolskie. Nie wszyscy uważają, że ta kandydatura jest „naturalna”.

Śląski senator lewicy Maciej Kopiec wyraźnie nie wytrzymał i ogłosił na platformie X, że celem Biedronia jest „sprowadzenie Lewicy w PE do trio: Biedroń, Śmiszek, Scheuring-Wielgus”. Biedroń nie poczuł się speszony. Pytany w TVP, czy nie jest to nepotyzm, odparł zaczepnie: „Takich par w polityce jest bardzo wiele i wtedy pan nie zadaje tego pytania, zastanawiam się, dlaczego akurat w tym przypadku pan zadaje”. Po tym subtelnym przyłożeniu dziennikarzowi pałą homofobii Biedroń ogłosił, że „pan Krzysztof Śmiszek, pan doktor, pan minister, wykładowca, jest świetnym politykiem i marzę o tym, żeby także na szczeblu europejskim robił dobrą politykę”.

Polityka polityką, ale co dwie pensje europosła, to nie jedna. Dziś Robert do spółki z Krzysztofem mają cztery mieszkania – w tym hawirę za dwie bańki – i 400 tys. zł na czarną godzinę. Ale – jak mawiała bohaterka filmu „Czarna wdowa” – „z bogactwem jest trudno; nigdy tak naprawdę nie wiesz, że to już”. Dodatkowe pięć lat eurodiet razy dwa nie zaszkodzi.

Agnieszka Wołk-Łaniewska

Filharmonia Narodowa

ZAKOŃCZENIE SEZONU ARTYSTYCZNEGO 2023/2024

7/8.06

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej

Andrzej Boreyko – dyrygent, Bartosz Michałowski – dyrektor chóru

Schönberg, Mahler

filharmonia.pl

Organizator MKiDN

Strategiczny Mecenas Bank Polski

Mecenas PGE Polska Grupa Energetyczna

Sponsor TAVEX

eprasa.pl 3729f5913c

Festiwal Medicalia w Collegium Medicum UMK w Bydgoszczy popularyzuje nauki medyczne.

Upadek uczelni medycznych?

Nowe kierunki lekarskie zaniżają standard kształcenia. Ministerstwa, zamiast działać, opowiadają o analizach

Kornel Wawrzyniak

Kierunków lekarskich na uczelniach, które nie mają nic wspólnego z medycyną, przybywa. Rodzi to liczne paradoksy, sprawiające, że na pacjentów i środowisko medyczne padł blady strach. Nowe kierunki mają braki w każdym możliwym aspekcie, a działania resortów nauki i zdrowia przypominają grę w Twistera z zawiązanymi oczami. Minister nauki Dariusz Wieczorek niby chce robić porządki, ale przez ostatnie pół roku w sprawie podejrzanych kierunków lekarskich nie działo się tak naprawdę nic.

Czarnek przeciera szlak

Dariusz Wieczorek analizuje cofnięcie zgód na utworzenie trzech kierunków lekarskich. Wydaje się jednak, że przede wszystkim stara się sprawiać wrażenie, że coś robi. Na łamach portalu Rynek Zdrowia minister zapowiedział: „Jeżeli jakiś kierunek lekarski będzie miał negatywną opinię Polskiej Komisji Akredytacyjnej, to nie powstanie. Nigdy nie podpiszę na to zgody. Dotyczy to wszystkich kierunków studiów". Problem w tym, że część nowo powstałych kierunków lekarskich, które pojawiły się jeszcze za poprzedniego rządu, już działa i naucza mimo negatywnej opinii PKA.

Poprzednik Wieczorka, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek, pokazał bowiem swoim następcom, że ustawodawca stworzył „niechcący" furtkę, dzięki której szef resortu nie musi zwracać uwagi na to, co twierdzi Polska Komisja Akredytacyjna. Czarnek okazał się spryciarzem, który wiedział, że minister korzysta z opinii PKA raczej jak z sugestii co do podjęcia dalszych działań, do których jednak nie jest zobowiązany. Może więc, opierając się na negatywnej opinii PKA, nie dopuścić do otwarcia kierunku, ale nie jest do tego zobligowany. Tak też się stało z 14 kierunkami lekarskimi, które powołano do życia jeszcze za Czarnka i Niedzielskiego. Sęk w tym, że dziewięć miało negatywną ocenę Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Czarnek dał im więc szansę na poprawę, pod warunkiem że działać zaczną zaraz. Minister Wieczorek również daje tę szansę podejrzanym kierunkom.

Tymczasem w środowisku medycznym słychać coraz częściej głosy niepokoju w związku z kompletnym nieprzygotowaniem nowych uczelni do nauczania przyszłych lekarzy. Minister Wieczorek po sześciu miesiącach od objęcia władzy opowiada o analizowaniu sytuacji, zasłaniając się tym, że taki stan rzeczy zastał. Ostatnio postraszył jednak, że nie pozwoli uruchomić studiów medycznych na trzech kolejnych uczelniach, którym pozwolił na to jego poprzednik. Chodzi m.in. o Politechnikę Bydgoską, na której już w czerwcu

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl 3729f5913c

ma się rozpocząć nabór na kierunku medycznym, a planowane jest przyjęcie 60 osób. Na czarnej liście Wieczorka znalazły się jeszcze: filia Olsztyńskiej Szkoły Wyższej w Cieszynie oraz Akademia Tarnowska.

Trzyma się na ślinę

Przyjrzyjmy się Politechnice Bydgoskiej. Uczelnia nie ma prosektorium, miejsca najbardziej potrzebnego adeptom medycyny do nauki anatomii. Prorektor zasłania się tym, że odbywa się właśnie remont prosektorium na terenie szpitala miejskiego, który ma oddać je uczelni. Ta zaś, po przejęciu prosektorium, ma „niezwłocznie" przystąpić do wybudowania centrum dydaktycznego, w którym, uwaga, znajdzie się jeszcze jedno, nowe prosektorium. Słowem, plany cechuje rozmach, który ma, jak się zdaje, przykryć ewentualne przesunięcia terminów oddania tych wszystkich budynków do użytku. Wspomnijmy tylko, że w sąsiednim Toruniu przebudowa Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Ludwika Rydygiera trwała pięć lat i kosztowała 654 mln zł.

– W takich uczelniach ujawniają się przeróżne braki infrastrukturalne, takie jak brak prosektorium, brak umów ze szpitalami, brak kadry dydaktycznej, mikroskopów i koniecznych pomocy naukowych. W rezultacie uczelnie w kształceniu studentów uciekają się w coraz większym zakresie do półśrodków. Weźmy brak prosektoriów, który oznacza brak koniecznych do nauki anatomii zwłok. W zamian studenci dostają albo plastikowe modele, albo płaskie wirtualne stoły. To nie do zaakceptowania – tłumaczy szef Porozumienia Rezydentów OZZL Sebastian Goncerz.

O takich półśrodkach wspominaliśmy już na łamach PRZEGLĄDU w zeszłym roku, kiedy to pisowscy ministrowie nauki i zdrowia zaczęli się prześcigać w otwieraniu coraz większej liczby kierunków medycznych na niemedycznych uczelniach. To wtedy poznaliśmy przypadek placówki akademickiej, która swoim studentom załatwiała turnusy w prosektorium zaprzyjaźnionej uczelni. Adepci medycyny podróżowali prawie 200 km, by przez kilka dni pouczyć się chociaż parę godzin na zwłokach zamiast przy wirtualnych stołach, którymi dysponowała ich macierzysta placówka. Dziś sytuacja się powtarza.

Ale wróćmy do Bydgoszczy. Prorektor politechniki tłumaczył w mediach, że niewielka część zajęć klinicznych (m.in. z pediatrii i psychiatrii) będzie realizowana w Świeciu i Grudziądzu. Z Bydgoszczy do tego pierwszego miasta jest 40 minut jazdy samochodem. Do Grudziądza studenci dojadą w godzinę, bo to „zaledwie" 72 km. Można więc złośliwie powiedzieć, że widać poprawę, przynajmniej jeśli chodzi o odległości. Niestety, takich absurdów jest znacznie więcej.

– Półśrodki powodują kolejne paradoksy. Niektóre uczelnie chwalą się teraz, że w ogóle mają zwłoki do nauki. Problem w tym, że są to dwie sztuki dla, powiedzmy, wszystkich 60 osób studiujących na roku. Chcąc poznać skalę problemu, trzeba sobie uświadomić, że w normalnych warunkach dwie sztuki zwłok są na sali, gdzie uczy się jedna grupa studentów, co jest suplementowane preparatami izolowanymi konkretnych narządów, a dodatkowo jest możliwość zobaczenia zwłok na pozostałych salach – podkreśla Goncerz.

Ba, okazuje się, że w ciągu niecałego roku standard nauczania tak drastycznie się obniżył, że cieszą jakiekolwiek pomoce naukowe. Łatwo jednak śmiać się z, jak to określa część lekarzy, półkolonii w prosektorium. – Drugim, chyba najbardziej widocznym uchybieniem, jest problem braków kadrowych. Z danych Polskiej Komisji Akredytacyjnej wynika, że na jednej z uczelni 46 nauczycielom akademickim przyporządkowano prowadzenie zajęć niezgodnie z ich kompetencjami, na innej 42, na jeszcze innej 20 itd. – wylicza Sebastian Goncerz. – To oznacza, że zajęcia prowadzą osoby bez wykształcenia kierunkowego czy doświadczenia zawodowego, np. zajęcia z ortopedii prowadzi lekarz kardiolog. Czasem nie jest to nawet lekarz.

Wieczorek na ratunek. Tylko komu?

– Innym problemem jest to, że deleguje się nauczycieli do prowadzenia kilku różnych przedmiotów. Do prowadzenia jednego przedmiotu na medycynie trzeba się bardzo dobrze przygotować, a więc prowadzenie kilku jednocześnie wymaga nie tylko ogromnej ilości czasu, ale też bycia omnibusem. Przykładu wyjątkowego absurdu dostarcza filia Olsztyńskiej Szkoły Wyższej w Cieszynie, gdzie jedna osoba ma prowadzić pięć różnych przedmiotów. Podejrzewam, że to głównie dzięki tej jednej osobie cały kierunek, znajdujący się 650 km od Alma Mater, w ogóle może działać – mówi szef Porozumienia Rezydentów OZZL.

W środowisku medycznym słychać coraz częściej głosy niepokoju w związku z kompletnym nieprzygotowaniem nowych uczelni do nauczania przyszłych lekarzy.

Obecny minister nauki Dariusz Wieczorek poprosił w styczniu br., aby PKA ponownie poddała kontroli wszystkie uczelnie zaakceptowane przez byłego ministra Czarnka. Z jednej strony, minister Wieczorek zapowiada, że kierunki, które nie przejdą weryfikacji, nie zaczną działać. Z drugiej strony, stwierdził na swojej konferencji prasowej, która odbyła się w marcu br. w Płocku, że rolą jego resortu nie jest likwidowanie nowo powstałych kierunków lekarskich i medycznych.

Co więcej, minister Wieczorek stwierdził, że, na wypadek gdyby któraś uczelnia nie przeszła pozytywnie starcia z PKA, wymógł na rektorach innych uczelni, że przyjmą do swoich placówek studentów z rzeczonych uczelni krzaków. Według Wieczorka dzięki takiemu zabiegowi nie ucierpią studenci. Zatrzymajmy się na chwilę przy tym stwierdzeniu. Tylko w zeszłym roku otwarto aż dziewięć placówek, które nie mają

eprasa.pl 3729f5913c

odpowiednich warunków do kształcenia przyszłych lekarzy, ale ktoś już tam się uczy na manekinach zamiast na zwłokach.

Na dodatek uprzytomnijmy sobie, że kandydat na studia na uczelni krzak to nie jest osoba, która nie idzie na Warszawski Uniwersytet Medyczny, bo nie chce się wyprowadzać z ukochanego Cieszyna, lecz ktoś, kto prawdopodobnie nie zdał dostatecznie dobrze matury, aby dostać się na jakikolwiek uniwersytet medyczny. Oznacza to, mówiąc brutalnie, że odpad z list rezerwowych otrzyma przepustkę na renomowane uczelnie. W konsekwencji pacjenci dostaną za parę lat wyjątkowo marną opiekę medyczną. Warto zapytać ministra nauki, komu ten jego ratunek ma służyć, bo raczej nie społeczeństwu.

Na jednej z uczelni 46 nauczycielom akademickim przyporządkowano prowadzenie zajęć niezgodnie z ich kompetencjami, na innej 42, na jeszcze innej 20.

Bezsensowna organizacja nauki na uczelniach krzakach to jeden z palących problemów, o których chcą dziś dyskutować medycy. Dopatrzyli się oni, że brak regulacji dotyczących liczby osób na zajęciach praktycznych doprowadzi do kompletnego chaosu, z którego studenci żadnej wiedzy nie wyniosą, a przy okazji ucierpią na tym pacjenci.

– Kolejna obawa całego środowiska medycznego wiąże się z nieuregulowaniem kwestii związanej z dozwoloną liczbą osób uczestniczących w zajęciach klinicznych, czyli będących w bezpośrednim kontakcie z pacjentem. Jedyne regulacje dotyczą szóstego roku, na którym zajęcia powinny być prowadzone w grupach pięcioosobowych, w specjalnych przypadkach zaś – w grupach składających się z maksymalnie ośmiu osób. Z drugiej strony okazuje się, że wielkość grup ćwiczeniowych może dochodzić do 15 osób. W takiej sytuacji studenci nic z tych zajęć nie wyniosą. Problemem jest również dyskomfort pacjentów biorących udział w takim badaniu. Dlatego postulujemy wprowadzenie limitu sześciu osób w grupie klinicznej, niezależnie od roku studiów. Tę inicjatywę poparły 62 organizacje, w tym Rada Organizacji Pacjentów przy Ministrze Zdrowia – wyjaśnia Sebastian Goncerz.

Dariusz Wieczorek zdaje się w odniesieniu do uczelni krzaków dążyć do kompromisu, na który wcale nie ma ochoty środowisko medyków. – Chcemy wyjść z tego absurdu, a to wymaga zdecydowanych działań obydwu ministerstw, a nie dziwacznych kompromisów. Nie wyobrażam sobie, że akceptujemy jakiekolwiek półśrodki typu zmniejszenie z 46 do 10 liczby wykładowców uczących niezgodnie z kompetencjami albo że krakowskim targiem zwiększymy liczbę godzin nauki w prosektoriach z 10 do 20, skoro całe zajęcia praktyczne powinny się odbywać właśnie tam, a nie przy wirtualnych stołach. Wszystko można załatwić jednym rozporządzeniem ministra nauki i szkolnictwa wyższego o standardach kształcenia na kierunku lekarskim – tłumaczy Sebastian Goncerz.

Ilość czy jakość?

Sam minister Wieczorek zdaje się najbardziej przejmować tym, że niebawem ma nam podobno zabraknąć lekarzy. W rozmowie z portalem Termedia twierdzi, że „patrząc na liczbę łóżek szpitalnych – mamy za mało lekarzy". Po czym dodaje: „Musimy jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, czy tylu łóżek potrzebujemy". Słowem, minister nie wie, jakiej wersji ma się trzymać. Szczególnie że w tej samej rozmowie wspomina o tym, że lekarz wykonuje za dużo czynności okołomedycznych, które mógłby robić ktoś inny. Na koniec przyznaje: „Dziś bazujemy na tej wiedzy, jaka jest, i na podstawie posiadanych założeń dopuszczamy do kształcenia kolejne uczelnie. Zakładamy, że jeżeli przybędzie nawet kilka szkół spośród kilkunastu, które uzyskały uprawnienia, będzie to dobre dla systemu". Zauważmy, że dążenie ministra do utrzymania kierunków krzaków tylko po to, aby kształcić więcej lekarzy, zdaje się nie mieć żadnego zaczepienia w rzeczywistości, poza liczbą łóżek szpitalnych. Jednakże ten argument także jest słaby. Wiele szpitali było budowanych dziesiątki lat temu, a medycyna poszła od tamtego czasu do przodu. Rozwinęła się m.in. tzw. chirurgia jednego dnia. Inne zabiegi stały się mniej inwazyjne i nie wymagają tak długiej hospitalizacji jak kiedyś. W wielu placówkach nawet wyrostek wycina się dziś laparoskopowo. To wszystko zaś oznacza, że skrócił się czas przebywania pacjenta w szpitalu, nie potrzeba zatem tylu łóżek, co dawniej.

Zgoła inne niż minister nauki dane dotyczące liczby potrzebnych lekarzy mają sami medycy. – Dużo się o tym mówi, ale chciałbym zobaczyć jakąś prognozę, analizę tego, ilu lekarzy musimy obecnie kształcić i czy jesteśmy w stanie zapewnić im pracę po ukończeniu studiów. Lekarzy pracujących z pacjentem w Polsce mamy 3,6 na 1 tys. mieszkańców, a średnia europejska wynosi 4,1 na 1 tys. mieszkańców. Są braki, ale nie tak duże, by usprawiedliwić takie tempo otwierania kierunków lekarskich i taką degradację jakości kształcenia. Dziś działania wokół kształcenia lekarzy wydają się kompletnie nieprzemyślane i nieuregulowane. Według raportu Najwyższej Izby Kontroli z 17 sierpnia 2023 r. Ministerstwo Zdrowia dokonało zwiększenia liczebności studentów, nie posiadając żadnych analiz ani prognoz, które byłyby uzasadnieniem dla podjętych działań – mówi szef Porozumienia Rezydentów OZZL Sebastian Goncerz.

Ministrowie Czarnek z Niedzielskim wymyślili coś wyjątkowo głupiego. Minister Wieczorek, zamiast zakończyć ten proceder, zaczął sam w niego brnąć. Trzymając się słów Alberta Einsteina, „szaleństwem jest robić wciąż to samo i oczekiwać różnych rezultatów". Pozostaje nam więc trzymać kciuki za lekarzy i czekać na czasy, w których za sterami nauki, medycyny czy edukacji pojawią się wreszcie kompetentni ministrowie, a nie zasłużeni politycznie działacze.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Krzyże poległy, balony Barbary, rowy tarczą

Pędzi nasza rzeczywistość zawrotnie, nie wiadomo, gdzie oczy zwrócić. Czy ku problemom cywilizacyjno-wyznaniowym, czy deklaracjom wokółwojennym. Na pierwszy ogień weźmy zarządzenie prezydenta Warszawy (być może powinienem pisać Prezydenta Warszawy zgodnie z nowymi regułami polskiej ortografii, ale mam jeszcze czas na wdrożenie), które zakazuje eksponowania krzyży w urzędach, a urzędnikom eksponowania symboli religijnych na biurkach. Rozległ się lament, że to niemalże prześladowania religijne katolików, wiadomo, bez krzyża wszędzie i zawsze katolik polski nie jest w stanie funkcjonować. Trzaskowski mówi jasno i prosto: mamy świeckie państwo, urzędy zatem powinny być pozbawione ekspozycji symboli religijnych. Z odsieczą rusza natychmiast Ordo Iuris, które zgłasza decyzję prezydenta stolicy do prokuratury jako „nadużycie uprawnień przez funkcjonariusza publicznego". W oparach tego konfliktu pojawia się w „Gazecie Wyborczej" kuriozalny tekst specjalisty od wszystkiego, profesora prawa Marcina Matczaka, o wyższości wychowania religijnego, czytaj katolickiego, nad ateistycznym (takim, jak je Matczak sobie wyobraża), przedstawionym de facto jako prolegomena do występków, zbrodni, pustki wewnętrznej i etycznego wyjałowienia.

Po latach nadobecności katolickich księży w tzw. komentariacie medialnym pałeczkę (lub pałkę jak to u Matczaka seniora) przejęli świeccy, czyli tacy księża bez sutann. W tym samym czasie „Wyborcza" drukuje analizę polityczną, wedle której decyzja Trzaskowskiego będzie skutkować jego klęską w przyszłorocznych staraniach wyborczych o fotel prezydenta kraju. Od dawna wiadomo, że zarówno świadomość świata polityki, jak i komentatorów nie nadąża za zmianami postrzegania zagadnień wyznawczych i postaw samego społeczeństwa. Robert Biedroń przytomnie przypomniał, że kiedy był prezydentem Słupska, zdjął krzyże ze ścian urzędów, „zanim to było modne". Słupsk się nie zawalił, a Ordo Iuris dopiero rosło w siłę. Ciekawe, że w tym sporze nie podniesiono walorów obronnych krzyży w urzędach publicznych. W świetle zasług przypisywanych Matce Boskiej choćby w kwestii rozstrzygnięcia tzw. Bitwy Warszawskiej, nazwanej Cudem nad Wisłą, jednak to dziwi.

W sprawach obronności jednakowoż wydarzało się w ostatnim czasie sporo. Najpierw premier Donald Tusk zapowiedział szumnie powstanie Tarczy Wschód, systemu obronnego rowów, zasieków i fortyfikacji na wschodniej granicy, co ma kosztować wstępnie 10 mld zł. Zamiast wsparcia budownictwa mieszkaniowego w kolejnych przestrzelonych programach rządowych (korzystnych wyłącznie dla deweloperów) będziemy zatem mieli formacje fortyfikacyjne ciągnące się nawet 100 km w głąb kraju. Może poolimpijskim zwyczajem, gdy histeria wojenna ucichnie, zostaną zaadaptowane na potrzeby mieszkalne. Losy opuszczonych stadionów, basenów i innych instalacji budowanych na jedną wielką imprezę nie nastrajają optymistycznie.

Nie wiem, czy Tuskowe „wara od Polski" zapisze się jak „nie oddamy ani guzika" Rydza Śmigłego, mam nadzieję, że podobne weryfikacyjne okoliczności nie wystąpią, ale pompatyczność narzuca podobieństwo. Wszystko to w ramach Narodowego Programu Odstraszania. Hu! A kysz!

Tymczasem do premiera dołączył minister obrony Narodowej, wicepremier Kosiniak-Kamysz, który ogłosił podpisanie umowy z Amerykanami na zakup czterech aerostatów (balonów) Barbara za prawie miliard dolarów. Wedle wicepremiera „to systemy radiolokacyjne, które zmienią pozycję bezpieczeństwa Polski, podniosą ją na wyższy poziom. Rozpoznanie, radiolokacja, wszelkie działania związane z obrazowaniem, z namierzaniem celów". Oczywiście nie wiemy jeszcze, czy ogromne balony, które mają wykrywać ewentualne nadlatujące „pociski rakietowe, samoloty, drony i jednostki nawodne, na odległość ponad 300 km", są w stanie wystarczająco szybko zlokalizować np. rakiety czy drony, które Barbary wezmą na cel. Pamiętając o rakiecie swobodnie przelatującej 500 km przez całą Polskę – jest w co wątpić.

Nie życzę premierowi ludowcowi, żeby ten miliard dolarów zilustrował popularną tezę o zrobieniu w balona. Ale zeppeliny nie latają od dawna nie bez powodu.

W tym samym momencie, kiedy mielibyśmy się czuć coraz bezpieczniej, dociera informacja o planach Ministerstwa Pracy podwyższenia płacy minimalnej do 60% średniej płacy. Natychmiast jeremiadują tzw. eksperci organizacji pracodawców (rytualnie), którzy wieszczą armagedon dla „przedsiębiorców", jak to robili choćby przy wprowadzaniu świadczenia 500+, a potem 800+. Po zbadaniu efektów i opisaniu pozytywnych skutków tych projektów żaden z nich nie wycofał się ze swoich fałszywych proroctw. Tak będzie i teraz, tacy to „eksperci".

Nie znam odpowiedzi na pytanie, czy możemy czuć się bezpieczniej, co nam się w konsekwencji przysłuży, a co pozostanie jako zapis przedwyborczych licytacji.

Producenci balonów Barbara mogą być usatysfakcjonowani, szybko poszło. Na rynku nieruchomości w Polsce pojawiają się schrony, ale o tym kiedy indziej. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

troje na jednego

JEDEN:
ANDRZEJ WERBLAN
TROJE:
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI
MARIAN SZULC

POSTANOWIŁEM SIĘ PRZYSTOSOWAĆ

Fragmenty obszernego wywiadu, który w całości można przeczytać w jubileuszowym 200. numerze „Zdania" (1/2024) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

DOMINIKA RAFALSKA: Wracając do pańskiego zesłania na Syberię...

ANDRZEJ WERBLAN: – (...) To było 8 kwietnia 1940 r. Wywieźli całą rodzinę, tzn. matkę z sześciorgiem dzieci. Za wyjątkiem najmłodszej jej córeczki, która miała wtedy sześć miesięcy. Ponieważ my mieszkaliśmy w tym jednym dużym domu, to gdy pakowaliśmy się, zbiegła się cała rodzina i pomagała matce. Babcia zaoferowała się, żeby mama zostawiła tę najmłodszą córkę, bo mówiła, że mała może podróży nie przeżyć. I funkcjonariusz NKWD kierujący ekipą, która nas zabrała, zgodził się na to. Ja byłem najstarszy z dzieci, miałem 15 lat. Mieliśmy w tym nieszczęściu trochę szczęścia. Ci, co nas zabierali, widzieli, w jakiej sytuacji jest matka – że samotna i z małymi dziećmi, więc zachowywali się wobec nas dość, powiedziałbym, po ludzku. Udzielali matce rad, co ma zabierać ze sobą. To były rady bardzo przydatne, co się okazało dopiero na miejscu, na Syberii. Matka chciała zapakować sobie takie rzeczy, które byłyby jej najbardziej przydatne, np. ubrania robocze, a odkładała na bok eleganckie suknie. To wtedy ten człowiek z NKWD nam kiwał palcem i mówił: nie, nie, to zabierajcie ze sobą. A my potem z tego przez rok żyliśmy. On takich rad udzielił nam więcej. Mama chciała zostawić jakiś zegar, budzik, a on wtedy mówił: nie, nie, wszystko to bierzcie. Matka się dziwiła, ale była przerażona i zabierała wszystko, co on kazał.

Z Tarnopola wywieźli wtedy dwa transporty, w każdym 1,2 tys. osób. Wywieźli rodziny wszystkich aresztowanych – już to był spory dorobek, bo od wejścia Armii Czerwonej minęło przecież pół roku. Wywieźli też rodziny internowanych, czyli wojskowych i policjantów, a zatem rodziny katyńskie, które wtedy traciły swoich najbliższych.

Trafiliśmy do południowej Syberii, na pogranicze Syberii i Kazachstanu, między Omskiem a Semipałatyńskiem. My byliśmy w połowie drogi, w rejonie Pawłodaru. Zawieźli nas wszystkich na tereny wiejskie, nad Irtyszem, do kazachskiego sowchozu hodowlanego. Tylko kierownictwo było tam rosyjskie. Osiedlono w tym miejscu w pięciu farmach chyba z 50 rodzin z Tarnopola. Spędziliśmy tam półtora roku. To był niezwykle trudny okres. Jedyna rzecz, którą mogliśmy robić, to najniżej kwalifikowane prace fizyczne. Nawet dwojgu wykwalifikowanych weterynarzy nie zezwolono na pracę w zawodzie. Matka otrzymała pracę przy hodowli cieląt. Bo doić nie umiała, ale pielęgnować cielęta, skoro pielęgnowała dzieci, to się nauczyła. Ja byłem pastuchem, pasłem owce, a potem zaczęli nam troszkę lepsze prace dawać. Zorientowali się, że matka trochę zna się na ogrodnictwie. Bo sama dość przyzwoity ogród prowadziła, więc zatrudnili ją do przygotowywania sadzonek. Ja też zacząłem pracować w rolnictwie ogrodowym i robiłem za stróża na dużej plantacji arbuzów i melonów. Szczerze mówiąc, mimo że coś zarabiałem, to tam żadnych sklepów nie było, niczego nie można było kupić. Do najbliższego miasta trzeba było iść piechotą 20 km. Dlatego przymieraliśmy głodem i żyliśmy głównie ze sprzedaży

eprasa.pl 3729f5913c

Od lewej: Paweł Sękowski, Marian Szulc, Dominika Rafalska i Andrzej Werblan.

tego, co ten Rosjanin enkawudzista nam poradził, żebyśmy wzięli. I tak dożyliśmy sierpnia 1941 r., czyli układu Sikorski-Majski. (…)

W maju 1942 r. zostałem powołany do armii Andersa. Pożegnałem się z rodziną, dostałem bilet i pojechałem. Jechaliśmy z Pawłodaru do Uzbekistanu, gdzie znajdowało się wojsko. Przed Ałma Atą weszły do wagonu sanitariuszki. Świeciły każdemu w oczy i sprawdzały w ten sposób, kto ma gorączkę. I dwie osoby, w tym mnie, wyjęto z pociągu. Okazało się, że miałem 38,5 st., a kolega miał 39 st. Obejrzały nam plecy – pojawiły się już plamy. Mieliśmy tyfus plamisty. Tak to zamiast do armii Andersa trafiłem do wojskowego szpitala zakaźnego pod Ałma Atą. Wypisano mnie ze szpitala dopiero po dwóch miesiącach, w dość kiepskim stanie fizycznym. Dostałem skierowanie do najbliższego wojenkomatu, tam obejrzeli wszystkie moje papiery i odesłali mnie do domu z poleceniem zdemobilizowania w miejscowym wojenkomacie. Armii Andersa już tam nie było. W ten sposób dwa i pół miesiąca później wróciłem do domu. W Pawłodarze byłem miesiąc, bo wkrótce pogorszyły się stosunki z polskim rządem emigracyjnym i postanowiono wszystkich lub prawie wszystkich zesłańców polskich przebywających w miastach wysłać na wieś. Na miejscowym cmentarzu zostawiliśmy grób najmłodszego braciszka Józia, zmarł na dyzenterię.

DOMINIKA RAFALSKA: Czy uważa pan, że gdyby nie ten tyfus, przeszedłby pan szlak bojowy z armią Andersa i całe pańskie życie zupełnie inaczej by się potoczyło?

ANDRZEJ WERBLAN: – Cały mój los by inaczej wyglądał. Może bym przyjeżdżał do Polski z Anglii czy z Ameryki…

8 kwietnia 1940 r. wywieźli całą rodzinę, tzn. matkę z sześciorgiem dzieci. Trafiliśmy na pogranicze Syberii i Kazachstanu.

PAWEŁ SĘKOWSKI: A może by pan walczył po wojnie w lesie, w podziemiu antykomunistycznym?

ANDRZEJ WERBLAN: – Nie, to na pewno nie. Ja nie miałem do tego nastroju. Ostatecznie dostaliśmy całą rodziną bilety i wyjechaliśmy do powiatu Szczerbakty, odległego o 150 km. Tam nas i pięć innych rodzin polskich skierowano do kołchozu im. Róży Luksemburg. Wtedy postanowiłem bardziej się przystosować. Z miejsca zapisałem się na kurs traktorzysty. Chętnie mnie przyjęli, bo wszyscy dawniejsi traktorzyści już walczyli na froncie. Kurs trwał wszystkiego trzy tygodnie, po czym trafiłem do brygady traktorowej. Ale okazało się, że w brygadzie jestem bardziej potrzebny do rachunków niż na traktorze. Jako że miałem ukończone gimnazjum, co oni uznawali za ukończoną ośmioklasówkę, to umiałem dobrze liczyć. Tymczasem do wojska poszedł ostatni, który umiał dobrze liczyć i pisać, a brygada musi przecież prowadzić pewne rachunki, ktoś musi magazyn paliwa prowadzić itd. I zatrudnili mnie jako pomocnika brygadzisty traktorowego do ewidencji. I tak pracowałem przez sześć miesięcy. Potem z tej brygady zaagitował mnie kołchoz na księgowego kołchozowego. Bo im przepadli wszyscy „gramotni", czyli piszący i liczący. Ja oczywiście nie miałem zielonego pojęcia o księgowości. Wpadłem więc na pomysł, że przejrzę całą dokumentację kołchozu z ostatnich sześciu czy siedmiu lat, która stała w szafie. W trzy dni nauczyłem się księgowości, tym bardziej że to była prosta księgowość i mały kołchoz: 40 rodzin. Przeczytałem dwa czy trzy roczniki i już wiedziałem, jak to się robi. Ponieważ ja od dzieciństwa znałem ukraiński równie dobrze jak polski, w piśmie i w mowie, to szybko z gazet rosyjskich nauczyłem się

FOT. MIKOŁAJ STARZYŃSKI

eprasa.pl 3729f5913c

mówić po rosyjsku i poprawnie pisać. Ostatnie 10 miesięcy w tym kołchozie przepracowałem w kierownictwie. Buchalter kołchozowy to była druga osoba w kołchozie, zaraz po przewodniczącym.

MARIAN SZULC: A jak pan trafił do armii Berlinga?

ANDRZEJ WERBLAN: – Powołali mnie Rosjanie, nie Polacy. Dostałem normalne powołanie na komisję wojskową. I omal nie odpadłem, bo lekarka – znana mi tarnopolska Żydówka – jak mnie badała, dosłuchała się wady serca. I to oczywiście zgłosiła. Przewodniczący komisji zmartwił się bardzo, bo miał tylko mnie jednego z jako takim wykształceniem do ewentualnej szkoły oficerskiej. Zapytał mnie, jak się czuję. Domyśliłem się od razu, o co idzie, i powiedziałem wprost, że chcę iść do wojska. On się wtedy ucieszył jak dziecko i powiedział, że zostanę skierowany do szkoły oficerskiej. Od tego momentu traktował mnie z odpowiednimi honorami. Po 10 dniach skierowano mnie i jeszcze jednego kolegę pociągiem z Pawłodaru do Riazania. Po drodze nazbierało się nas więcej. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że jechałem razem z Wojciechem Jaruzelskim, który wyruszył z Barnaułu i do nas dołączył na linii transsyberyjskiej. Dwa tygodnie jechaliśmy, po czym odbyliśmy kwarantannę, a następnie zaczęła się nasza służba. U mnie trwała tylko 21 dni. Służyłem z Jaruzelskim w tej samej kompanii cekaemów.

DOMINIKA RAFALSKA: Poznaliście się wtedy?

ANDRZEJ WERBLAN: – Tak, spotkaliśmy się, nawet rozmawialiśmy. Po dwóch tygodniach zachorowałem, okazało się, że mam zapalenie płuc. Trafiłem do szpitala wojskowego. Jak już wyszedłem i odbyłem rekonwalescencję, mój kurs oficerski, obliczony na trzy miesiące, trwał od dwóch miesięcy i już mnie włączyć nie było można. Mogli mnie gdzieś zatrzymać, do następnego kursu, który będzie nie wiadomo kiedy, lub skierować do jednostki. Wybrałem skierowanie do jednostki i znalazłem się w obozie, gdzie wcześniej stacjonowała 1. dywizja piechoty, która już wtedy była na froncie. Nie miałem przydziału, więc kiedy przyjechał starszy sierżant i rozglądał się, kto jest na miejscu, powiedział do mnie: „Słuchaj, ja jestem z 1. brygady pancernej, chętnie cię zabiorę". Ja trochę się wahałem, bo wydawało mi się, że to ciężka służba. Ten sierżant powiedział wtedy: „Nie martw się, czy ty wiesz, ile stąd jest kilometrów do Warszawy?". „No wiem, 1,2 tys.", odpowiadam. Na to on: „I co, chcesz piechotą iść? A tu pojedziesz na pewniaka". Zgodziłem się i tak trafiłem do brygady, w której przewojowałem całą wojnę. Po sześciu miesiącach miałem stanowisko oficerskie, byłem już dowódcą plutonu. Wprawdzie nie czołgów, ale zaopatrzenia technicznego, tzn. paliwo, amunicja itp. (...)

Dominika Rafalska, Paweł Sękowski, Marian Schulz

KSIĄŻKA ROKU
TYGODNIKA PRZEGLĄD

Warto poznać historię Polski Ludowej autorstwa prof. Andrzeja Werblana.

„Prawda i realizm" to dwa tomy pozwalające lepiej zrozumieć te ciekawe czasy. I wiele ważnych argumentów w obronie Polski Ludowej.

Tom I 78 zł
Tom II 79 zł
PAKIET ~~157 zł~~ 140 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

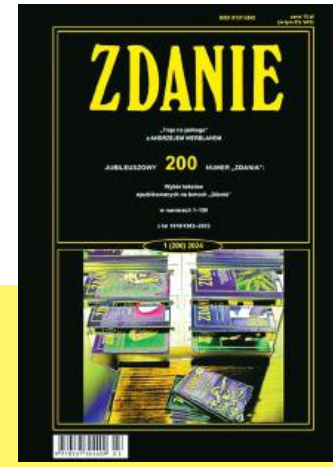

Jubileusz „Zdania"

Redakcja „Zdania" i Stowarzyszenie „Kuźnica" zapraszają na promocje jubileuszowego, 200. numeru „Zdania" (1/2024), które odbędą się w najbliższym czasie w Warszawie i w Krakowie. Bohaterem zamieszczonej w tym numerze rozmowy „Troje na jednego", przeprowadzonej w styczniu, był prof. Andrzej Werblan.

• **W poniedziałek, 27 maja, o godz. 18.00 w lokalu „Kuźnicy" przy al. Słowackiego 44** odbędzie się krakowska promocja „Zdania". W spotkaniu udział wezmą obecny redaktor naczelny dr Paweł Sękowski oraz wszyscy żyjący byli redaktorzy naczelni pisma: prof. Józef Lipiec, Adam Komorowski i dr Edward Chudziński.

• **We wtorek, 28 maja, o godz. 18.00 w Klubie Księgarza przy Rynku Starego Miasta 22/24 w Warszawie** odbędzie się promocja stołeczna. W spotkaniu udział wezmą obecny redaktor naczelny (od 2020 r.) dr Paweł Sękowski oraz jego poprzednik (w latach 2000-2020) i aktualny przewodniczący rady redakcyjnej pisma dr Edward Chudziński.

eprasa.pl 3729f5913c

ŁGARSTWA I POLITYKA

Radosław S. Czarnecki

Ogłoszenie przez wszystkie plemiona polskiej polityki list kandydatów w wyborach do Parlamentu Europejskiego okazuje się kolejnym skandalem, obnażającym beznadzieję kasty zwanej politykami. W świetle tego, co się obserwuje w nadwiślańskiej przestrzeni publicznej, te koterie trudno nazwać partiami politycznymi, bo o żaden interes społeczny w tej grze nie chodzi. Są to głównie ugrupowania wodzowskie, w których o wszystkim decydują albo szefowie zarządzający nimi autorytarnie niczym feudalni władcy, albo jakieś areopagi totumfackich, zgromadzone wokół takich „generalissimusów".

Popatrzmy tylko na niektóre jedynki, wybierając losowo nazwiska z list partyjnych:

Nowa Lewica: Śmiszek, Żukowska, Szejna, Konieczny, Scheuring-Wielgus;

KO: Kierwiński, Sienkiewicz, Joński, Budka, Arłukowicz;

Trzecia Droga: Kobosko.

Uprzedzając krytyków i obrońców (afektywnych niczym „Babcia Kasia"), nie wspominam tu dobrego imienia Koalicji 15 Października i wszystkiego, co z nią związane. O PiS swoje zdanie wyraziłem wielokrotnie, jeszcze zanim ta formacja objęła rządy w 2015 r. Nie o jakości ewentualnych (i dotychczasowych) europarlamentarzystów z tej partii tu mowa. W ogóle nie jest to tekst o „jakości" ani merytorycznym przygotowaniu kandydujących. Rzecz jest o czymś zupełnie innym.

Koalicja 15 Października szła po władzę, aby naprawiać nasze państwo, jego struktury oraz podnosić jakość polityki – by stała się cywilizowana, wolna od kłamstwa i krętactwa, od gierek i zakulisowych machinacji. Państwo i przestrzeń polityczna zostały bowiem całkowicie zdegradowane przez rządy minionych ośmiu lat, szczególnie w kwestii przestrzegania prawa. Chodzi o to, że idąc do Sejmu i Senatu, a potem obejmując najwyższe stanowiska państwowe, obiecywaliście, drodzy koalicjanci, inną jakość polityki w Polsce, sanację stosunków, a zwłaszcza jurysprudencji (w najszerszym tego słowa znaczeniu), oraz normalizowanie przestrzeni publicznej. To są procesy długotrwałe, systematyczne i przez to powolne, nad którymi trzeba pracować i dawać swoją osobą przykład. Zwłaszcza kiedy etyka, moralność i wzniosłe hasła jawnie skrzeczą.

Szanowni nasi reprezentanci, których wybraliśmy pół roku temu do polskiego parlamentu, okazujecie się dziś według mnie przekręciarzami albo pospolitymi kłamcami, ewentualnie jednym i drugim. Po pół roku uważacie, że swoje zrobiliście, że obiecanki i solenne zapewnienia zrealizowaliście? I w związku z tym możecie uciec do Parlamentu Europejskiego? To pospolite oszustwo wobec wyborców, to nieuczciwość i etyczne dno, deprecjacja jakiejkolwiek – poza zapewnieniem sobie dolce vita – publicznej działalności. Politycznej przede wszystkim. Nic dziwnego, że wiele osób chcących traktować taką działalność poważnie, a nie jako komercyjny i prywatnie utylitarny biznes opakowany w puste słówka, odżegnuje się od wszelkiego udziału w tej farsie.

Moim zdaniem podwójnie naganna, godna napiętnowania jest taka postawa w przypadku osób wybranych do polskiego parlamentu, które podjęły obowiązki związane z posadami w centralnej administracji państwowej. To jest megaoszustwo, megakłamstwo, powielane wielokrotnie. To absolutny brak etyki, nieszanowanie własnego słowa, własnego wizerunku jako polityka i osoby publicznej. To przykłady szczególnie godne napiętnowania. Takie postawy powodują, że polityka jawi się jako przedsięwzięcie do cna niemoralne. Dotyczy to en bloc wszystkich ugrupowań politycznych w naszym kraju. Stąd wnioski, że taka działalność jest przepełniona ludźmi na wskroś wsobnymi, czyli interesownymi. I niech nikt nie mówi, że jedynki ciągną całą listę. To jest chore, głęboko niemoralne, świadczące o degeneracji systemu, bo w jaki sposób osoby postępujące nieetycznie, politycy, którzy oszukali de facto wyborców, mogą być poważnymi, wiarygodnymi reprezentantami idei głoszonych przez ich partie?

Jeszcze jeden fakt związany z ogłoszeniem list. Nepotyzm rozumiany jest jako korupcyjne nadużycie stanowiska, posiadanej władzy i pozycji zajmowanej w hierarchii społecznej w celu załatwiania awansów dla członków rodziny i znajomych w firmie, instytucji, faworyzowanie ich przy obsadzaniu eksponowanych miejsc w przestrzeni publicznej itd. Jak więc traktować lobbing Roberta Biedronia, europosła ponownie kandydującego z Warszawy, jednego z „trzech tenorów" Nowej Lewicy, za wyborem jego partnera życiowego, zajmującego pierwsze miejsce na liście Lewicy na Dolnym Śląsku? Nie podważam tu merytorycznego, prawnego przygotowania Krzysztofa Śmiszka, a jedynie zwracam uwagę na aspekt etyczny i nepotyczny tej sytuacji. ■

Koalicja 15 Października szła po władzę, aby naprawiać nasze państwo i politykę – by stała się cywilizowana, wolna od kłamstwa, krętactwa, gierek i zakulisowych machinacji.

Jak traktować lobbing Roberta Biedronia za wyborem jego partnera życiowego, zajmującego pierwsze miejsce na liście Lewicy na Dolnym Śląsku?

eprasa.pl 3729f5913c

Dziś Haiti, jutro USA?

Prawdziwa rzeź nastąpi, jeśli Trump wygra wybory. Zapowiedział już przemoc jako zasadę organizującą jego drugą kadencję

John Feffer

Prezentowane fragmenty artykułu pochodzą z witryny internetowej TomDispatch.com, gdzie John Feffer regularnie publikuje. Jest on jednym z dyrektorów w waszyngtońskim, progresywnym think tanku Institute for Policy Studies. Ma na koncie kilka niespolszczonych, interesujących książek politycznych. To m.in. opublikowana w 2017 r. „Aftershock: A Journey Into Eastern Europe's Broken Dreams" (Wstrząs wtórny. Wyprawa do niespełnionych marzeń Europy Wschodniej) oraz praca o globalnej sieci skrajnej prawicy i lewicowej reakcji na jej istnienie. Ta ostatnia ukazała się w 2021 r. pod tytułem „Right Across the World: The Global Networking of the Far-Right and the Left Response". Feffer może także się pochwalić autorstwem dystopijnej trylogii Splinterlands (Odłamki). Jego polityczne zapatrywania wyraża przynależność do Demokratycznych Socjalistów Ameryki.

W poniższych rozważaniach Feffer roztacza pesymistyczną wizję przyszłości Ameryki, jeśli do władzy ponownie dojdzie Donald Trump. Lekceważenie dla rządów prawa niejednokrotnie demonstrowane przez byłego prezydenta oraz naturę jego przywództwa porównuje z podejściem do prawa i sposobem sprawowania władzy w gangach. To bardzo mocne porównanie. Na ile zasadne, można ocenić, zagłębiając się w argumentację Feffera. Całość obszernego artykułu, który ukazał się 18 kwietnia br., dostępna jest pod adresem tomdispatch.com/haiti-today-america-tomorrow/.

Haiti jest pogrążone w chaosie. Od ośmiu długich lat nie ma prezydenta, parlamentu ani wyborów. Niedawno wybrany premier Ariel Henry ogłosił ostatnio rezygnację ze stanowiska, gdy po podróży do Gujany nie mógł wrócić do kraju na skutek przemocy gangów na lotnisku w Port-au-Prince. Haiti jest najbiedniejszym krajem w regionie. Jego bogactwa zostały złupione przez kolonialnych zarządców, amerykańskie siły okupacyjne, korporacyjnych drapieżców i rodzimych autokratów. Jakby tego było mało, w ostatnich latach kraj ten nawiedziła niemal biblijna seria plag. Dwukrotnie, w 1991 i w 2004 r., w wyniku zamachu stanu obalony został pierwszy demokratycznie wybrany przywódca Jean-Bertrand Aristide. Trzęsienie ziemi w 2010 r. zabiło setki tysięcy ludzi, pozbawiając dachu nad głową 1,5 mln Haitańczyków (całość populacji to mniej niż 10 mln). Na skutek tego trzęsienia ziemi prawie milion ludzi zaraziło się cholerą, co było największym wybuchem tej choroby w historii (…). Dopełnieniem owych katastrof był huragan Matthew, który uderzył w Haiti w 2016 r. (…) Obecnie zaś kraj został przejęty przez gangi, które jako jedyne zdolne są do świadczenia skromnych usług od dawna cierpiącej ludności Haiti. Największym dobrem eksportowym kraju stali się ludzie. Każdy, kto ma pieniądze, znajomości i wystarczającą dozę odwagi, uciekł, choć ci, którzy jakimś cudem dotarli do USA, zbyt często są deportowani (…).

Na Haiti brakuje trzech rzeczy, które mogłyby wypełnić próżnię, w którą tak chętnie wchodzą gangi: solidnych rządów demokratycznych, silnego społeczeństwa obywatelskiego i wystarczająco nieskorumpowanej policji. W rezultacie kraj pogrążył się w tym, co teoretyk polityki Thomas Hobbes nazwał kiedyś wojną wszystkich ze wszystkimi (…). Politolodzy określają często miejsca takie jak Haiti mianem państw upadłych. (…)

Gangokracja zorganizowana jest wedle klasycznych wzorców wyznaczonych przez gangi, które rządziły Nowym Jorkiem w połowie XIX w. (zostały uwiecznione w filmie „Gangi Nowego Jorku"), czy chińskie tongi, które toczyły wojny na terenach San Francisco w okresie po wojnie secesyjnej (uwiecznione w serialu „Wojownik"). Dwa główne haitańskie gangi w Port-au-Prince, GPep i Rodzina G9, są zakorzenione w określonych dzielnicach, mają hierarchiczną strukturę i ekstrawaganckich przywódców, takich jak były funkcjonariusz policji i obecny szef G9 Jimmy „Barbecue" Chérizier. Gangi nie są jednak tylko przestępczymi syndykatami. Na Haiti mają ścisłe związki z partiami politycznymi i sferami biznesu (albo prowadzą własne biznesy). Czasami nawet zaczynają jako antygangi – sąsiedzkie grupy samoobrony, których celem jest niesienie pomocy mieszkańcom w czasach bezprawia. (…)

Nie popełniajcie błędu utożsamiania haitańskich gangów z „prymitywnym" etapem rozwoju politycznego lub z krajami sytuującymi się na geopolitycznym marginesie. To, co tam się dzieje, może stanowić zapowiedź tego, do czego dojdzie w USA. Zamiast biblijnej serii plag, które przetoczyły się przez Haiti, Ameryka – aby stanąć w podobnych płomieniach – może potrzebować jedynie podpałki w postaci zmian klimatycznych i krzemienia w postaci Donalda Trumpa. Współcześnie gangi kojarzą się Amerykanom z Crips i Bloods, które w latach 70. minionego wieku stoczyły morderczą rywalizację w rejonie Los Angeles lub, ostatnio, z organizacją przestępczą Mara Salvatrucha, znaną lepiej jako MS-13, gangiem młodych Salwadorczyków z Los Angeles, który początkowo

eprasa.pl 3729f5913c

skupiał się na ochronie swoich członków przed innymi gangami. Ale czy nie powinniśmy być ściślejsi w naszych definicjach? W końcu czym, jeśli nie gangami, są prawicowe siły paramilitarne, począwszy od Three Percenters (skrajnie prawicowa bojówka działająca w USA i Kanadzie, głosząca prawo do posiadania broni i opór wobec rządu federalnego; sześciu mężczyzn związanych z grupą zostało skazanych za spiskowanie przeciwko USA po ataku na Kapitol – przyp. P.K.), skończywszy na Proud Boys (skupiająca wyłącznie mężczyzn neofaszystowska organizacja popierająca Donalda Trumpa i zwalczająca grupy lewicowe oraz progresywne, w Kanadzie i Nowej Zelandii uznana za terrorystyczną; wielu członków grupy, w tym liderzy, brało udział w ataku na Kapitol – przyp. P.K.). Mają swoje rytuały, światopogląd, łączy je obojętność wobec rządów prawa (…). Gangi łączone dziś ze skrajnie prawicową ideologią i supremacją białych mogą wywodzić swój rodowód od europejskich osadników, którzy podczas ekspansji na zachód brali udział w pozasądowych morderstwach rdzennej ludności, lub tłumów, które przed wojną secesyjną samozwańczo wymierzały „surową sprawiedliwość" „nieposłusznym" niewolnikom, a nawet od członków Ku Klux Klanu. Jeśli jednak chodzi o wpływ na rzeczywistość polityczną, to Crips czy MS-13 nigdy nie miały tyle śmiałości, aby utorować sobie drogę na amerykański Kapitol i zdemolować to miejsce, tak jak zrobił to nieformalny gang Donalda Trumpa 6 stycznia 2021 r. (…)

Najwyższy Don Ameryki (Donald Trump – przyp. P.K.) nie ukrywa wcale tego, co nastąpi w listopadzie, jeśli przegra wybory. „Jeśli nie zostanę wybrany, będzie rzeź", oświadczył na jednym ze swoich wieców. Zgodnie z tym scenariuszem lojalni wobec Trumpa – prawicowe bojówki, zwolennicy teorii spiskowych i entuzjaści prawa do posiadania broni – powstaną niczym gang w obliczu kolejnych „skradzionych wyborów". Jest to jednakowoż przykład myślenia magicznego Trumpa. „Powstanie" 6 stycznia ukazało granice jego wpływu. To, co tego dnia wydarzyło się w Waszyngtonie, nie otarło się o zamach stanu dzięki działaniom policji i Gwardii Narodowej. Nie znalazło także naśladowców nawet w najczerwieńszych stanach (tych, w których tradycyjnie zwyciężają republikanie – przyp. P.K.). Prawdziwa rzeź nastąpi, jeśli Trump wygra wybory. Zapowiedział on już przemoc jako zasadę organizującą jego drugą kadencję. Jak to ujął David Remnick w „New Yorkerze", „Trump nie stara się ukrywać swojej bigoterii, swojego bezprawia, swojego dążenia do władzy autorytarnej. Przeciwnie, zachwala to wszystko i, co najbardziej niepokojące, potęguje to jego atrakcyjność. Co więcej, nie ulega wątpliwości, że do tego stopnia oswoił on wezwania do przemocy jako instrument polityki, że zachęcił tym rzesze ludzi do podejmowania destrukcyjnych działań" („Trump's Bloody Campaign Promises", www.newyorker.com/news/daily-comment/trumps-bloody-campaign-promises – przyp. P.K.). Trump obiecał gruntowną czystkę jego wrogów w rządzie i poza nim, a także uzbrojenie Departamentu Sprawiedliwości w celu prowadzenia wojny ze wszystkimi przeciwnikami MAGA (Make America Great Again, hasło Trumpa z pierwszej kampanii prezydenckiej – przyp. P.K.). Podobnie jak podczas pierwszej kadencji zniszczy tak wiele agencji federalnych, jak to możliwe. (…)

Propozycje Trumpa różnią się diametralnie od przebrzmiałej już republikańskiej strategii zmniejszenia rządu federalnego do rozmiarów czegoś, co można „utopić w wannie" (słynne sformułowanie działacza antypodatkowego Grovera Norquista), na rzecz uprawnień stanów. Pogardza on polityką propagującą taki program. Jak przywódca gangu wolałby skupić władzę federalną w swoich rękach i uczynić z niej instrument osobistej zemsty, gloryfikując nade wszystko cnotę lojalności. Od wzmacniania legislatur stanowych Trump woli chaos, gdyż w czasach niepokoju ludzie zwracają się ku przywódcom autokratycznym. Podziwia liderów, którzy mordują ludzi (Rodrigo Duterte na Filipinach), wiele razy zmieniają konstytucję, aby obejść opozycję parlamentarną i sądową (Viktor Orbán), zabijają oponentów politycznych, gdziekolwiek ci przebywają (Władimir Putin). Lubi złych chłopców, którzy przekształcili swoje partie w gangi, a państwa w lenna. Krótko mówiąc, jest najwspanialszym przywódcą gangu. Oczywiście nie dokona tego wszystkiego sam. Istnieje rzesza wyznawców i oportunistów gotowa zasilić jego administrację i wprowadzać w życie jego zachcianki. (…)

Donald Trump ma prawie 78 lat. Nie rysuje się przed nim długa polityczna przyszłość. Jeśli wygra listopadowe wybory, z pewnością zrobi wszystko, co w jego mocy, aby zniszczyć demokrację. Jednak prawdziwie przerażający scenariusz prawdopodobnie zacznie się realizować później, gdy zmiany klimatyczne spowodują jeszcze większy napływ migrantów do USA, wywołają więcej pożarów ogarniających cały kraj, a samą politykę podgrzeją do temperatury wrzenia. To wówczas przyszłe wersje gangów, które Trump zachęcał do „cofnięcia się i bycia w gotowości" (*stand back and stand by* – to zdanie wypowiedział w odniesieniu do Proud Boys w pierwszej kampanii prezydenckiej, co przysporzyło im popularności i nowych członków – przyp. P.K.), insurekcjonistów, którym obiecał amnestię, oraz lojalistów, którzy udostępniali zdjęcie związanego Joego Bidena umieszczone na tylnej burcie pick-upa, mogą zaatakować ośrodki władzy, próbując raz na zawsze zniszczyć rządy prawa, które Trump przez całe życie podważał. (…)

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Na Haiti brakuje trzech rzeczy: solidnych rządów demokratycznych, silnego społeczeństwa obywatelskiego i wystarczająco nieskorumpowanej policji.

eprasa.pl 3729f5913c

Polska niewierząca

Ksiądz i pisowiec na jednym jadą wozie

Maciej Mikołajczyk

Po raz pierwszy od 1989 r. więcej Polaków ocenia Kościół rzymskokatolicki negatywnie niż pozytywnie, jak wynika z badań CBOS („Oceny działalności instytucji publicznych", marzec 2024).

Ta doniosła informacja przez media katolickie została albo pominięta, albo obrobiona propagandowo. Metodę manipulacji zastosował „Gość Niedzielny", który z badań CBOS wyciągnął argument pasujący pod wygodną dla przykościelnej redakcji tezę i napisał, że 44% dorosłych Polaków wypowiada się o Kościele pozytywnie, co jest zgodne z prawdą, a na dodatek brzmi kusząco. Tyle że w istocie stanowi zagrywkę retoryczną polegającą na pominięciu odniesienia do wypowiedzi negatywnych. A tych jest więcej o 1 pkt proc. Nie ma też w „GN" słowa o tym, że ocen negatywnych od września ub.r. przybyło (o 2 pkt proc.), a pozytywnych ubyło (o 3 pkt), co może oznaczać, że mamy do czynienia z początkiem trwałej tendencji i w kolejnych badaniach ubytek zadowolonych z działalności Kościoła będzie większy.

Jak nietrudno się domyślić, badanie CBOS pokazało, że Kościół dobrze ocenia 85% osób deklarujących głosowanie na PiS w kwietniowych wyborach parlamentarnych, a tylko 12% zwolenników tej partii nie ma o nim dobrego zdania. Dla porównania: dobre oceny wyborców Polski 2050 Szymona Hołowni to 23%, a złe 67%, Koalicji Obywatelskiej – odpowiednio 16% i 78%, Lewicy 9% i 91%, a Konfederacji 34% i 50%.

Wyznawców ubywa

Opoką Kościoła jest zatem elektorat partii Jarosława Kaczyńskiego, co staje się w pełni jasne po porównaniu profilu przeciętnego zwolennika tego ugrupowania z cechami reprezentatywnego uczestnika aktów religijnych. W obu przypadkach są to osoby starsze (55+), z wykształceniem podstawowym lub zasadniczym zawodowym, mieszkańcy wsi, emeryci i renciści, a także respondenci uzyskujący niskie dochody na głowę (poniżej 2 tys. zł). To dlatego Wielki Strateg Kaczyński mówi o Kościele jako fundamencie polskości, a jego biało-czerwona drużyna, jak tylko dorwała się do władzy, zaczęła obdarowywać publicznymi pieniędzmi o. Tadeusza Rydzyka i jemu podobnych.

Zjednoczona Prawica bez poparcia Kościoła byłaby trudna do wyobrażenia, ale też Kościół bez szczodrego sojusznika i sponsora miałby jeszcze bardziej pod górkę. Księża z pisowcami na jednym jadą wozie i wspierają się. Lecz o ile sojusz tronu z ołtarzem politykom raczej nie szkodzi, o tyle Kościołowi może wychodzić bokiem. Niegdyś mówiono, że nikt nie przyczynił się tak walnie do dechrystianizacji Polski jak politycy ZChN, teraz dzieje się to „dzięki" politykom PiS. I nie jest to powód do płaczu – im słabszy Kościół, tym mniejsze szanse na powrót do władzy hipokrytów z gębami pełnymi bogoojczyźnianych zaklęć.

Sztuczna modulacja

Hierarchia kościelna zagrożenie związane z laicyzacją dostrzega, ale niewiele jest w stanie zrobić. Żeby ewangelizować, trzeba bowiem sprawnie komunikować się z otoczeniem, a księża mają z tym problem. Z raportu „Kościół 2023" wydanego przez Katolicką Agencję Informacyjną i Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego wynika, że wręcz kolosalny, zwłaszcza jeśli chodzi o komunikację z młodzieżą. Ponad 51% Polaków do 20. roku życia twierdzi, że w ogóle nie słucha tego, co głoszą księża, przy czym 80% właśnie z powodu nieodpowiedniego języka przekazu. Według nich „przeciętny ksiądz mówi w taki sposób, jakby chciał odklepać swoje i iść do domu, bez żadnej refleksji", treść przekazywana jest monotonnie i powtarzalnie, wypowiedzi są długie, nudne, a katechezy i homilie wtórne i stanowią wierne odwzorowanie gotowców. Młodzież zarzuca księżom, że używają specjalistycznego słownictwa, niezrozumiałej terminologii, nienaturalnej modulacji głosu, zbyt zawiłej konstrukcji wypowiedzi i przestarzałego, sztucznego języka. Poza językowymi formułowane są także zarzuty o charakterze ogólnym. Według młodych ludzi kapłani nie nadążają za współczesnością, a część z nich nie ma talentu do pracy z młodzieżą.

Puste skarbony

Rezultaty słabej komunikacji pomiędzy duchowieństwem a młodzieżą, a właściwie braku komunikacji, nie ograniczają się do świecących pustkami świątyń (i kościelnych skarbon!). Spada w tej grupie odsetek osób głęboko wierzących i wierzących, a wzrasta niezdecydowanych i niewierzących. Różnica pomiędzy rokiem 1996 a 2021 wynosi aż 26 pkt proc. – o tyle zmalała w tym czasie populacja młodych Polaków uznających się za głęboko wierzących i wierzących.

Do tego postępuje zjawisko uniezależniania się moralności od religii. „Kluczowym wyzwaniem stojącym przed Kościołem jest kwestia komunikacji z młodzieżą", czytamy w raporcie.

Żeby nawiązać kontakt z młodzieżą i odrobić straty wizerunkowe spowodowane archaicznym sposobem głoszenia Dobrej Nowiny przez księży, Konferencja Episkopatu Polski próbuje sięgnąć po nowoczesne technologie. W tym celu zorganizowała debatę „Czy sztuczna inteligencja może pomóc w głoszeniu Słowa Bożego?". Zdania prelegentów były podzielone, ale wszyscy się zgodzili, że należy powołać zespół mający „edukować ludzi Kościoła w kontekście korzystania ze sztucznej inteligencji". „Im szybciej taki zespół powstanie, tym lepiej", skonstatowali uczestnicy debaty. Nie wyjaśniając, dla kogo lepiej. Ale czy musieli? ■

eprasa.pl 3729f5913c

I miejsce w kategorii Ludzie i nagroda internautów – Anna Hernik, freelancerka
Chorujący na guza mózgu Janek odpoczywa w domu po kolejnej operacji, obok siedzi jego siedmioletni syn.

GRAND PRESS PHOTO

II miejsce w kategorii Wydarzenia – Małgorzata Smieszek, freelancerka, Pix.house
Wysoko w górach mieszka Anna. Jej synowie i krewni pojechali na front. W małych huculskich wioskach tuż przy granicy Ukrainy z Rumunią mężczyźni zostawili w domu rodziny i walczą na wojnie. Jurij składa matce i siostrze życzenia wielkanocne; dzwoni z Bachmutu i opowiada o skutkach kolejnego ataku rakietowego.

I miejsce w kategorii Ludzie, reportaż – Kasia Strek, „The Guardian"
Nigeria ma jeden z najwyższych współczynników dzietności na świecie, a liczba ludności ma wzrosnąć z 200 mln do 400 mln do 2050 r. To również jeden z krajów o najwyższym wskaźniku umieralności okołoporodowej matek. Większości zgonów można zapobiec i są one związane z brakiem placówek opieki zdrowotnej, wystarczającej edukacji i wyszkolonego personelu.

II miejsce w kategorii Projekt dokumentalny – Amadeusz Świerk, freelancer
Witamy w Dzielnicy Cudów. Zakaczawie to część Legnicy, 100-tysięcznego miasta na Dolnym Śląsku, w którym po II wojnie stacjonowało ok. 60 tys. żołnierzy radzieckich. Wśród biedy zniszczonych, trudnych dzielnic są ludzie – rodziny, przyjaciele, kochankowie – starający się żyć najlepiej, jak potrafią.

eprasa.pl 3729f5913c

Radykalna prawica zwiera szyki

Włosi nadal traktują UE jak złą macochę, a do Parlamentu Europejskiego może trafić z tego kraju wiele kontrowersyjnych postaci

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

„Drodzy homoseksualiści, nie jesteście normalni", „feministki to współczesne wiedźmy", „nawet jeśli mamy drugie pokolenie Włochów o migdałowych oczach, kantoński ryż i sajgonki nie są częścią tradycyjnej kuchni włoskiej" – to tylko niektóre perełki z książki „Il mondo al contrario" (Świat do góry nogami) autorstwa gen. Roberta Vannacciego, najbardziej kontrowersyjnego włoskiego kandydata do europarlamentu. Wojskowy napisał i opublikował ją sam na Amazonie, a jego dzieło stało się bestsellerem, sprzedając się w 200 tys. egzemplarzy. Toskańczyk, lat 56, z których 37 poświęcił służbie wojskowej, dochodząc do stopnia generalskiego w 186. Dywizji Spadochroniarzy „Folgore" (Błyskawica), jednej z trzech brygad lekkiej piechoty włoskiej armii, brał udział w misjach wysokiego ryzyka w Somalii, Afganistanie oraz Iraku i wie, co to rzemiosło wojenne.

Po opublikowaniu książki 28 lutego br., został zawieszony w służbie przez ministra obrony Guida Crosetta. Według włoskiego MON Vannacci wykazał „niedobór poczucia odpowiedzialności" i zagroził „prestiżowi i reputacji wojska". Dla Mattea Salviniego, lidera Ligi, wicepremiera oraz ministra infrastruktury i transportu, gen. Vannacci to jednak najlepsze nazwisko, w które warto zainwestować w wyborach europejskich w czerwcu. Salvini obsadził go jako jedynkę we wszystkich pięciu włoskich okręgach wyborczych, pomimo niezadowolenia części swojej partii. Tym samym z generałem macho, homofobem i rasistą związał swoją przyszłość polityczną, widząc, iż jego własna popularność mocno spada.

Radykalizując się, Salvini próbuje odebrać głosy Giorgii Meloni, która stała się bardziej umiarkowana i proeuropejska. Tezy, które do tej pory według kryteriów europejskich uznawano za ekstremizm, ksenofobię, rasizm, homofobię i maczyzm, teraz w ramach wyborów do PE są oswajane i normalizowane we Włoszech. „Gej, masochista, weganin, zjadacz psów i kotów jest ekscentrykiem, lecz w imię równości muszą być przed nim otwarte wszystkie drzwi, ale przynajmniej nie powinien on afiszować się ze swoją ekscentrycznością w odniesieniu do powszechnych zachowań i wartości. A powszechne oznacza także normalne w tym sensie, że należą one do zdecydowanej większości i są przez nią podzielane", napisał gen. Roberto Vannacci w swoim wiekopomnym dziele.

Włoska Liga szokuje kontrowersyjnym eurokandydatem (choć my przerobiliśmy już Janusza Korwin-Mikkego), ale także inne włoskie kandydatury są zaskakujące. W opozycji do Vannacciego włoski Sojusz Zielonej Lewicy postawił na Ilarię Salis – antyfaszystowską aktywistkę przetrzymywaną przez ponad 15 miesięcy w węgierskim więzieniu. 39-letnia nauczycielka z Mediolanu została zatrzymana w ubiegłym roku w stolicy Węgier w przeddzień rocznicy wyzwolenia Budapesztu, gdzie świętowany jest „Dzień Honoru", na który zjeżdżają się ugrupowania skrajnej prawicy. Wraz z innymi aktywistami antyfaszystowskimi Salis została oskarżona o napaść i pobicie dwóch prawicowych ekstremistów. Zrobiło się o niej głośno, gdy włoskie media obiegły ujęcia z rozprawy przed węgierskim sądem, na którą mediolańska nauczycielka została przyprowadzona w kajdanach na rękach i nogach. Sąd odmówił jej aresztu domowego, o który wystąpili adwokaci. Od tego momentu Ilaria Salis stała się we Włoszech symbolem łamania praw człowieka przez rząd Viktora Orbána. Kiedy pomimo zabiegów dyplomatycznych włoskiego prawicowego rządu oraz osobistych starań Giorgii Meloni Salis pozostawała w więzieniu, Sojusz Zielonej Lewicy ogłosił jej kandydaturę do Parlamentu Europejskiego. 15 maja podczas ponownej rozprawy węgierski sąd zezwolił obywatelce Włoch na areszt domowy w Budapeszcie w systemie dozoru elektronicznego. Salis grozi do 24 lat więzienia. Gdyby Włoszka zdobyła mandat eurodeputowanej (co jest bardzo prawdopodobne), otrzymałaby immunitet parlamentarny.

W dniach od 6 do 9 czerwca 2024 r. ponad 350 mln obywateli 27 krajów członkowskich UE będzie mogło wybrać swoich przedstawicieli do Parlamentu Europejskiego. To najważniejsze wybory w historii UE, decydujące o jej przyszłości. Transformacja ekologiczna i cyfrowa, wspólna polityka migracyjna, obronność europejska, wzrost gospodarczy i konkurencyjność są głównymi wyzwaniami, którym musi sprostać wspólna Europa. W tym historycznym momencie, naznaczonym radykalnymi zmianami, rosnącą niepewnością co do przyszłości i zagrożeniem wojną nie wszyscy jednak zdali sobie sprawę z wagi nadchodzących wyborów, traktując je jedynie jako przedłużenie rywalizacji na krajowym podwórku. Tak właśnie jest we Włoszech.

eprasa.pl 3729f5913c

Ilaria Salis – kandydatka do Parlamentu Europejskiego z ramienia Sojuszu Zielonej Lewicy, doprowadzona w kajdankach na ławę oskarżonych węgierskiego sądu.

Pacyfiści

W wyborach do PE bierze też udział lista Pokój, Ziemia, Godność, którą zarejestrował były dziennikarz telewizyjny Michele Santoro. Jest to formacja pacyfistyczna, domagająca się natychmiastowego zaprzestania pomocy militarnej Ukrainie. „Jeśli chodzi o pokój w Europie, nie należy mylić solidarności okazanej zaatakowanym z dostarczaniem im broni i nawoływaniem do konfliktu, obiecując im niemożliwe zwycięstwa, podsycając w nieskończoność konflikt, który może się przerodzić w III wojnę światową, aż do użycia broni nuklearnej i zniszczenia gatunku ludzkiego oraz natury", można przeczytać w programie PZG. Rząd izraelski z kolei według PZG i jej zwolenników dopuszcza się ludobójstwa w Strefie Gazy. W szeregach tej formacji nie brakuje przeciwników NATO obwiniających Sojusz Atlantycki o wojnę w Ukrainie.

Ponieważ nastroje pacyfistyczne są we Włoszech równie popularne jak poglądy gen. Vannacciego, aby nie oddać całego pola walki liście Pokój, Ziemia, Godność i Ruchowi Pięciu Gwiazd, także Partia Demokratyczna wystawiła swoich pacyfistycznych kandydatów. Pierwszy to Marco Tarquinio, były redaktor naczelny katolickiego dziennika „Avvenire". Na wojnę w Ukrainie Tarquinio miał zawsze jeden punkt widzenia: należy bez wahania rozpocząć negocjacje z Putinem, aby osiągnąć zawieszenie broni. Powiedział kiedyś w telewizji: „Gdyby Zełenski spakował walizkę, wojna już by się skończyła". Ultrasowski pacyfizm byłego redaktora gazety włoskich biskupów od zawsze podobał się liderowi Ruchu Pięciu Gwiazd – Giuseppe Conte wielokrotnie puszczał do Tarquinia oko. Zbłąkaną owieczkę przygarnęła jednak Elly Schlein i wystawiła na listach PD we wszystkich okręgach, co podzieliło zarówno partię, jak i jej wyborców, zwłaszcza że ten kandydat jest też przeciwko aborcji.

Pacyfistyczną outsiderką, która wskakuje na partyjną listę PD jako jedynka w okręgu południowym, jest dziennikarka Lucia Annunziata, która niedawno straciła pracę w RAI. Schlein postawiła również na Cecilię Stradę, córkę Gina Strady, zmarłego założyciela organizacji pozarządowej Emergency. Ta kolejna outsiderka partyjna będzie jedynką w okręgu północno-zachodnim. Cecilia Strada pełniła funkcję prezeski Emergency, śledziła działalność poszczególnych szpitali tej organizacji w różnych miejscach świata. W 2017 r. opublikowała książkę „La guerra tra noi" (Wojna między nami). Od roku 2018 zajmuje się głównie ratowaniem migrantów na Morzu Śródziemnym, a od 2021 r. odpowiada za komunikację włoskiej organizacji non profit ResQ – People Saving People. Strada nie tylko zajmuje jasną pozycję w sprawie ratowania migrantów na morzu (jeden z plakatów wyborczych PD ma hasło: „Morze to nie cmentarz"), domaga się także nałożenia podatku majątkowego na osoby fizyczne posiadające więcej niż 5 mln euro. Uzyskane pieniądze powinny pójść na złagodzenie nierówności społecznych i na transformację ekologiczną. Taką samą propozycję wysuwa Sojusz Zielonej Lewicy.

Innym ciekawym włoskim kandydatem jest „kapitan Ultimo". To Sergio De Caprio, który przez większość

FOT. REUTERS/ FORUM

eprasa.pl 3729f5913c

życia nosił kominiarkę, aby ukryć swoją tożsamość. Zasłynął głównie z tego, że 15 stycznia 1993 r., będąc szefem oddziału CrimOr Carabinieri ROS, przeprowadził aresztowanie przywódcy Cosa Nostra Totò Riiny. Został oskarżony o powiązania z mafią, ponieważ miejsce, w którym ukrywał się Riina, przeszukano z opóźnieniem, gdy przestępcy zdążyli je już wyczyścić. W toku procesu oczyszczono go z wszelkich zarzutów i powrócił do służby. Musiał ukrywać twarz, gdyż mafia wielokrotnie planowała go zabić. Otrzymał stopień generała karabinierów. Poświęcił się pisaniu, działalności społecznej i politycznej, a jego biografia stała się inspiracją dla serii telewizyjnej. 6 kwietnia 2024 r. De Caprio ogłosił swoją kandydaturę w wyborach europejskich i wtedy to, po 31 latach, po raz pierwszy pokazał twarz. Lista Wolność burmistrza Taorminy Catena De Luki, z której startuje „kapitan Ultimo", jest mieszanką wybuchową 19 partii, ruchów politycznych i ugrupowań (zarówno z południa, jak i północy kraju), a jej hasło to: „Mniej Europy, więcej Włoch". Pierwszy punkt programu gwarantuje „Wolność wyznawania pacyfizmu" i stwierdza, że Włochy powinny uznać się za kraj neutralny, który nigdy nie będzie wysyłał nigdzie broni.

Tezy, które do tej pory uznawano za ekstremizm, ksenofobię i rasizm, teraz w ramach wyborów do PE są oswajane i normalizowane.

Do PE jak na zesłanie

W tej całej menażerii politycznej nie dziwi już, że wśród kandydatów do Parlamentu Europejskiego znalazł się także Vittorio Sgarbi, znany krytyk sztuki i polemista. Jeszcze do niedawna pełnił funkcję podsekretarza we włoskim ministerstwie kultury, ale musiał zrezygnować z tej funkcji na skutek oskarżenia m.in. o zakupienie na aukcji obrazu wielkiej wartości i zapisanie go na partnerkę, by uniknąć opodatkowania. Sgarbi startuje z listy Bracia Włosi.

Zarówno w jego przypadku, jak i w przypadku gen. Vannacciego mówi się o tym, że wysłanie do Brukseli jest jak zsyłka, aby pozbyć się kłopotliwych osób z własnego politycznego podwórka. Pojedzie, posiedzi na obradach, zniknie z pola widzenia, media o nim zapomną i spadnie jego popularność.

Potwierdzeniem tej tezy może być fakt, że na pierwszym miejscu na wszystkich listach (nie we wszystkich okręgach) widnieją liderzy partii politycznych, choć wiadomo, że oni do Brukseli nie pojadą, ale są lepem na głosy. Wyjątek od tej reguły stanowią Giuseppe Conte z Ruchu Pięciu Gwiazd, który jedynki obsadził prawdziwymi kandydatami na europosłów, oraz Matteo Renzi z Italia Viva, który oświadczył, że opuści swoją formację i fotel parlamentarny, aby zostać eurodeputowanym. Dla większości włoskich partii i ich liderów wybory europejskie są tylko miernikiem ich popularności wewnątrz kraju.

Wybory europejskie i administracyjne

Włosi pójdą do urn 8 i 9 czerwca, a wybory europejskie zbiegną się w tym kraju z wyborami administracyjnymi. Z tego powodu kampania wyborcza trwa tu już od trzech miesięcy i nie obywa się bez ciosów poniżej pasa. Wszyscy przeciwko wszystkim, nawet wewnątrz własnej koalicji i własnej partii – na co wpływa fakt, że głosowanie w wyborach do PE odbywa się według systemu proporcjonalnego, w którym głosy oddane na poszczególne listy przeliczane są na mandaty w skali całego kraju. Włochom przypada 76 mandatów.

We Włoszech istnieje pięć europejskich okręgów wyborczych, którym przydzielana jest liczba mandatów zależna od liczby mieszkańców: Włochy północno-zachodnie (Dolina Aosty, Piemont, Liguria, Lombardia) – 20 mandatów, Włochy północno-wschodnie (Trydent-Górna Adyga, Wenecja, Friuli-Wenecja Julijska, Emilia-Romania) – 15 mandatów, Włochy środkowe (Toskania, Umbria, Marche, Lacjum) – 15 mandatów, Włochy południowe (Abruzja, Molise, Kampania, Apulia, Bazylikata, Kalabria) – 18 mandatów, Włochy wyspiarskie (Sycylia, Sardynia) – 8 mandatów. Każdy okręg wyborczy ma karty do głosowania w innym kolorze i nie wszystkie partie lub ugrupowania polityczne zostały zarejestrowane we wszystkich okręgach. Wyborcy mogą wybierać spośród kandydatów znajdujących się na listach okręgu wyborczego, w którym są zameldowani. Mogą głosować na następujące listy kandydatów: Bracia Włosi (Fratelli d'Italia), Liga na rzecz premiera Salviniego (Lega per Salvini Premier), Akcja (Azione), Partia Demokratyczna (Partito Democratico), Forza Italia, Ruch Pięciu Gwiazd (Movimento 5 Stelle), Sojusz Zielonej Lewicy (Alleanza Verdi e Sinistra), Stany Zjednoczone Europy (Stati Uniti d'Europa), Pokój, Ziemia, Godność (Pace Terra Dignità), APEU (Partito Animalista), Alternatywa Ludowa (Alternativa Popolare), Wolność (Libertà), Zgromadzenie Doliny Aosty (Rassemblement Valdôtain), Południowotyrolska Partia Ludowa (Südtiroler Volkspartei), Suwerenna i Ludowa Demokracja (Democrazia Sovrana e Popolare). Do podziału foteli eurodeputowanych mogą przystąpić listy, które przekroczyły 4%.

Wybory administracyjne połączone z europejskimi będą dotyczyć 47% wszystkich gmin włoskich. Nowe władze lokalne będzie wybierać 3715 z 7896 włoskich gmin oraz 27 stolic prowincji i 6 stolic regionów.

Według włoskiego Instytutu Studiów Polityki Międzynarodowej nadchodzące wybory europejskie mogą mieć najniższą frekwencję w dziejach UE, zwłaszcza we Włoszech. Podczas gdy radykalna prawica zwiera szyki, a jej elektorat nie ma wątpliwości, demokraci i liberałowie czują się rozczarowani, bo nie mają na kogo głosować. Absencja wyborcza coraz większej liczby obywateli nie jest brakiem świadomości demokratycznej, ale staje się świadomym wyborem.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 3729f5913c

Oko w oko

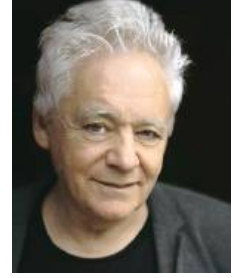

Tomasz Jastrun

Świniobicie

Dwa dni w Krakowie. Od razu do malarki Kasi Karpowicz, obejrzeć jej nowe prace i nacieszyć się jej urodą i wdziękiem. Przed laty, bardzo młodą, pchnąłem ją na drogę wielkiej malarskiej kariery. Na dworcu taksówkarze oszuści, żądają niebotycznych sum. Zarazem okazało się, że w ogóle trudno o taksówkę w Krakowie; dzwoniłem do trzech firm, nie ma wolnych wozów. Co na to nowy prezydent miasta?

Potem w pięknym miejscu, w dawnej synagodze na Kazimierzu, spotkanie wokół mojego tomiku wierszy „Epoka wymierania". Garstka ludzi, w dużych miastach zawsze kłopot z publicznością, ale jakiś mój czytelnik przyjechał specjalnie z Tarnowa.

Śpię u przyjaciół. Widzieliśmy się rok temu, więc teraz sporo rozmów o wygranych wyborach. Ale też o kłopotach z dziećmi. Potwierdza się reguła, że teraz z dziewczętami jest o wiele więcej biedy niż z chłopcami. Posypał się model grzecznej dziewczynki, zostały odrzucone gorsety, a nowa forma jeszcze nie powstała. Wyzwolenie czasami przekształca się w destrukcję. Nagle problemy z moimi urwisami wydały mi się małe.

W spotkaniu autorskim uczestniczyła moja 88-letnia kuzynka z Jerozolimy. Znakomita forma. Była akurat w Krakowie z częścią swojej licznej rodziny. Gdy siedzieliśmy w restauracji, jej syn Dan dostał wiadomość, że w Gazie zginął syn jego znajomego. Córka Karoliny zaniepokojona, syn skończył 18 lat, więc idzie na co najmniej trzy lata do wojska, a pamiętam go, jak nagi bobas, mały żółwik, pełzał do morza. Podobnie przerażona Natalia, z którą wcześniej się spotkałem. Jej synowi grozi wojsko i okopy pod Charkowem. Świat zwariował, ale czy kiedyś był inny? Dławiący bezsens tych wszystkich wojen. Natalia przetłumaczyła wiersze mojego ojca i ukazały się w formie książki w Ukrainie. Na zapleczu wojny życie toczy się niemal normalnie.

Nazajutrz spotkanie z przyjaciółmi z mojej sztokholmskiej epoki: ona jest malarką, on chirurgiem laryngologiem. Marcel w świetnej formie. Mówi: „Mam 88 lat i pół". I w niemowlęctwie, i w później starości taka połówka ma duże znaczenie. Z nimi z kolei rozmowy o tym, co porobiło się w Szwecji. Mieszkają od 13 lat w Polsce, ale często jeżdżą do Sztokholmu. Ludzie tam zaczynają się bać, a był to kraj słynny z bezpieczeństwa. Sam Szwecję pamiętam jako arkadię. To jasne, że przesadzili z przyjmowaniem imigrantów. Jakiż to paradoks, że Polska w kontraście ze Szwecją wydaje się krajem bezpiecznym, a takim nie była jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku.

Chciałem pójść do Muzeum Czartoryskich. Zamknięte. Dlaczego? Bo dzisiaj Noc Muzeów. Podobnie galeria w Sukiennicach, a tak się cieszyłem na spotkanie z moim ulubionym malarzem Piotrem Michałowskim. Inna sprawa, że Galeria Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach ma doskonały kamuflaż, trzeba się nieźle nabiedzić, by znaleźć wejście. Dlatego przez pomyłkę trafiłem do otwartego o dziwo muzeum w podziemiach Sukiennic, gdzie pokazują, co zostało odkopane z resztek dawnego miasta. Efektowna ekspozycja, gra mrokiem i światłem, ale wydało mi się to zupełnie nieciekawe. Kraków bardzo drogi, każde byle co kosztuje już 50 zł. Tak się jednak porobiło wszędzie. Topnieją oszczędności, jeśli ktoś je ma, a ci, co nie mają, siedzą w dybach kredytów.

•

Prezydent Warszawy podpisał zarządzenie, które mówi, że w państwowych urzędach krzyże nie będą mogły być wywieszane na ścianach. Błąd. Powinien podjąć taką decyzję, z którą w pełni się zgadzam, po wyborach europejskich. Kaczyński już woła, że Unia chce zrobić z nas „bezduszne zwierzęta". A właśnie, to ciekawe, czy zwierzęta mają duszę, więc czy będą zbawione? Czytam świetną książkę Rezy Aslana „Zelota. Życie i czasy Jezusa z Nazaretu". Historyczne śledztwo. Chrystus na tle swoich czasów, kiedy rodziło się chrześcijaństwo. Groźna lektura dla wierzących. Uderza, jak bardzo żydowscy byli Chrystus i jego sekta. Chrystus był żydowskim rebeliantem, zelotą. Co na to nasi antysemici? Ich nie przekonasz, są pewni, że Chrystus był Polakiem, podobnie jak jego matka. Żydówka królową Polski, coś okropnego. Jestem pewien, że religia powinna być uczona poza szkołą, za to należy wprowadzić przedmiot religioznawstwo.

Chciałem pójść do Muzeum Czartoryskich. Zamknięte. Dlaczego? Bo dzisiaj Noc Muzeów. Podobnie galeria w Sukiennicach.

•

Tusk z trybuny sejmowej woła do ław pisowskich, że są agenturą rosyjską. PiS na to, z naznaczonym wściekłością obliczem, że Tusk jest agentem Niemiec i Moskwy. Geniusz Tusk – łączy jedno z drugim. Te dwa światy coraz bardziej się rozjeżdżają, a już zdawało się, że bardziej nie mogą. Zostaje tylko świniobicie.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

Żałobniczki z portretami prezydenta w dniu jego pogrzebu. Teheran, 22 maja 2024 r.

Co czeka teraz Iran?

Po śmierci Ebrahima Raisiego zmiana politycznego kursu jest mało prawdopodobna

Jakub Katulski

Kiedy 19 maja prezydenci Azerbejdżanu i Iranu brali udział w ceremonii otwarcia tamy Giz Galasi, która ma produkować energię elektryczną dla obu państw, raczej nikt nie podejrzewał, że będzie to ich ostatnie spotkanie. Teheran i Baku od kilku lat uwikłane były w serię kryzysów dyplomatycznych, ale pomimo licznych sporów relacje udało się poprowadzić tak, by sfinalizować projekt, z którego skorzystać mogą obie strony. Nic więc dziwnego, że uroczystość i oświadczenia wydane zarówno przez Ilhama Alijewa, jak i Ebrahima Raisiego wypełnione były deklaracjami przyjaźni między narodami i przyszłych spotkań.

Z ceremonii w irańskiej prowincji Azerbejdżan Wschodni Raisi odlatywał helikopterem w kierunku Tebrizu w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Hosejna Amira Abdollahijana. Krótko po tym świat obiegła informacja, że ze względu na złe warunki pogodowe, w tym bardzo gęstą mgłę, helikopter Bell 212 miał „twarde lądowanie" w górach. Ze względu na te właśnie warunki misja poszukiwawcza okazała się bardzo trudna. Dopiero gdy w poniedziałek rano Turcja przekazała Iranowi obrazy z dronów, udało się ustalić dokładną lokalizację wraku i przekazać do wiadomości publicznej, że nikt z siedmiu osób na pokładzie śmigłowca nie przeżył.

Zaczęły się dyskusje na temat przyszłości Iranu bez Raisiego na czele rządu (prezydent odgrywa rolę szefa rady ministrów, odpowiadającego przed rahbarem – najwyższym przywódcą), a także przyszłości Republiki Islamskiej. Najwyższy przywódca Ali Chamenei ogłosił żałobę narodową, ulicami Tebrizu przeszła wielka procesja pogrzebowa, lecz jednocześnie media donosiły o tańcach na ulicach Teheranu, a nawet o fajerwerkach, którymi dysydenci mieli świętować śmierć „Rzeźnika z Teheranu".

Prokurator i sędzia

Taki przydomek przyklejono za życia Raisiemu, nie tylko w związku z krwawym tłumieniem ogromnych demonstracji, które wybuchły po śmierci Mahsy Amini we wrześniu 2022 r. Dzisiaj mówi się, że z rąk policji i paramilitarnych formacji Basidż zginąć miało ponad 500 demonstrujących, a dziesiątki tysięcy trafiły do aresztu.

Ponure przezwisko ma jednak korzenie jeszcze w początkach kariery Raisiego, który w latach 80. jako młody prokurator (zastępcą prokuratora generalnego Teheranu został w wieku zaledwie 25 lat) został mianowany przez ówczesnego najwyższego przywódcę Ruhollaha Chomeiniego członkiem czteroosobowej komisji (jednej z kilkudziesięciu działających wówczas w Iranie), która nadzorowała procesy więźniów politycznych. Szacuje się, że w całym kraju w 1988 r. wykonano 4-5 tys. wyroków śmierci, często bez sprawiedliwych procesów, w których skazani mogliby się obronić. Władze Iranu przekonują, że takie liczby są przesadzone, a zginąć mogło wówczas jedynie około tysiąca osób.

Zmysł polityczny Raisi wykorzystał, gdy kierował nadzorującą rząd Organizacją Inspektoratu Państwowego, skąd po dekadzie awansował na zastępcę Głównego Sędziego kraju. Jednocześnie wypełniał obowiązki w hierarchii szyickiego duchowieństwa i Ali Chamenei

eprasa.pl 3729f5913c

powierzył mu m.in. opiekę nad sanktuarium Imama Rezy w Meszhedzie, jednym z ważniejszych kompleksów świątynnych, który co roku ściąga pielgrzymki muzułmanów, przede wszystkim szyitów. Został też wybrany do Zgromadzenia Ekspertów – specjalnego ciała odpowiedzialnego za wybór najwyższego przywódcy, w razie śmierci lub rezygnacji aktualnie piastującego ten urząd.

Wyborcze manipulacje

Kariera ta zdawać się może imponująca, ale nie była wolna od krytyki, nawet w kręgach polityków związanych z Republiką Islamską. Gdy Raisi w roku 2017 mierzył się w wyborach prezydenckich z urzędującym Hasanem Rouhanim, ten próbował dyskredytować rywala, mówiąc, że jego główne osiągnięcia sprowadzają się do ferowania wyroków śmierci. Być może była to strategia skuteczna, gdyż Raisi na swoją kolej na fotelu prezydenta musiał poczekać do 2021 r. Wcześniej został Głównym Sędzią i w tej roli nadzorował tłumienie protestów.

Śmierć Raisiego nie jest więc kwestią, która pogodzi choćby na chwilę spolaryzowane irańskie społeczeństwo. Wręcz przeciwnie, może odsłonić linie podziału i zaognić wciąż świeże rany, tym bardziej że w najbliższych dniach toczyć się będą gorące dyskusje o tym, kto zostanie prezydentem po wyborach zaplanowanych na 28 czerwca, które nadzorować będzie obecny wiceprezydent Mohammad Mochber.

Nie należy jednak się spodziewać rewolucji. Iran czeka raczej kontynuacja kursu rządu Raisiego, przede wszystkim dlatego, że system polityczny skonstruowany jest tak, by ograniczyć ryzyko zbyt daleko idących reform. Dlatego właśnie kandydaci rywalizujący o fotel prezydenta muszą zostać zatwierdzeni przez Radę Strażników, 12-osobowe ciało złożone z wybieranych przez rahbara i parlament prawników, specjalizujących się w prawie islamskim. Ich zadaniem, przynajmniej formalnie, jest upewnienie się, że kandydat to wierzący szyita, wierny konstytucji, Republice Islamskiej i doktrynie wilajat al-fakih, podporządkowującej całą władzę najwyższemu przywódcy.

W wyborach prezydenckich w 2021 r. na Radę Strażników spadła seria oskarżeń o manipulowanie wynikiem, po tym jak jej członkowie odrzucili większość kandydatów ubiegających się o fotel prezydenta, pozostawiając w wyścigu jedynie siedmiu. Żaden z nich nie był jednak na tyle rozpoznawalnym reformistą, by stanowić zagrożenie dla reprezentowanych przez Raisiego pryncypialistów (w zachodniej publicystyce chętniej nazywanych twardogłowymi). Przebieg ostatnich wyborów pozwala przypuszczać, że i tym razem będzie podobnie, choć przecież wielu Irańczyków chciałoby zmian i liberalizacji przepisów obyczajowych.

> Śmierć Raisiego nie jest kwestią, która pogodzi choćby na chwilę spolaryzowane irańskie społeczeństwo.

Umarł Raisi, niech żyje Chamenei?

Innym problemem jest sukcesja na stanowisku najwyższego przywódcy. Ali Chamenei, obecny rahbar, ma już 85 lat i zarówno on, jak i Zgromadzenie Ekspertów zdają sobie sprawę z tego, że aby kontynuować obecną politykę, konieczne jest znalezienie następcy. Wiele wskazywało na to, że właśnie Raisi miał największe szanse nim zostać. Dzisiaj mówi się, że kolejnym kandydatem może być Modżtaba Chamenei, syn obecnego przywódcy.

Ale taki ruch może być niepopularny nawet wśród pryncypialistów. 55-letni duchowny ma ugruntowaną pozycję polityczną. W końcówce wojny iracko-irańskiej walczył w szeregach Basidż, formacji wspierającej Korpus Strażników Rewolucji. Dekadę później podjął nauki teologiczne w mającym reputację konserwatywnego seminarium w Kom. Politycznie był bliski Mahmudowi Ahmadineżadowi, a podczas wyborów w 2009 r., w których Ahmadineżad starał się o reelekcję na fotel prezydenta, miał dowodzić basidżami w celu tłumienia protestów. Choć nie zajmuje oficjalnie żadnego stanowiska, to jemu przypisuje się kontrolę nad pracą biura najwyższego przywódcy i główną, choć zakulisową rolę w represjonowaniu opozycji i tłumieniu rewolt.

Pryncypialiści na te „zasługi" raczej się nie skrzywią, ale mogą już kręcić nosem na braki w teologicznym wykształceniu Modżtaby, który nie jest ajatollahem i dopiero od niedawna może się posługiwać tytułem duchownego średniej rangi. Zgodnie z obowiązującą doktryną wilajat al-fakih najwyższy przywódca musi mieć ostateczne słowo w kwestiach wykładni islamu. Braki w edukacji można jeszcze uzupełnić i irańska prasa czasami używa w stosunku do Modżtaby tytułu ajatollaha, co odczytywane bywa jako sygnał, że rozpoczął on kolejny etap kształcenia w seminarium w Kom.

Co jednak zrobić z kwestią więzi rodzinnych? Wielu pryncypialistom, a już szczególnie reformistom i tej części opozycji, która wciąż liczy na demokratyzację kraju, nie spodoba się przekazanie funkcji rahbara bezpośredniemu potomkowi poprzednika na tym stanowisku. W końcu rewolucja z 1979 r. była m.in. wymierzona w dziedziczność władzy rodu Pahlawich. Ale Modżtaba Chamenei od lat stara się o to, by Zgromadzenie Ekspertów wypełnić młodszymi duchownymi, którzy są mu bliscy politycznie, i to może zadecydować o nominacji po śmierci lub rezygnacji jego ojca. Irańczykom demonstracje nie są jednak obce i wystarczy iskra, by świat ponownie obiegły informacje o gwałtownych protestach. Hipokryzja najwyższych władz, które nadal usta mają pełne rewolucyjnych ideałów, może być kolejnym takim zapalnikiem. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3729f5913c

BEZ POCHOPNYCH OCEN

PSUJĄ NAS CI, KTÓRZY, CHCĄC ZDOBYĆ WŁADZĘ, PRZEKŁAMUJĄ HISTORIĘ

Rozmawia Wojciech Tutaj

Spotykamy się na festiwalu Mastercard Off Camera, w przededniu specjalnego pokazu „Dyrygenta" Andrzeja Wajdy, za rolę w którym otrzymał pan na festiwalu w Berlinie Srebrnego Niedźwiedzia dla najlepszego aktora. Czym był dla pana ten film na przełomie lat 70. i 80., a czym jest dziś?

– Kiedy odebrałem Srebrnego Niedźwiedzia w lutym 1980 r., mieszkałem i pracowałem już we Francji. Nagle tamtejsza opinia publiczna i środowisko kulturalne dowiedziały się, że kolega, z którym współpracują i który wystąpił w „Ziemi obiecanej", został doceniony na festiwalu w Berlinie. Stałem się jeszcze mniej anonimową postacią we francuskich kręgach filmowych i teatralnych. Ingmar Bergman uznał wręcz „Dyrygenta" za jeden z dziesięciu najlepszych filmów, jakie kiedykolwiek widział. Dzisiaj wspominam go przez pryzmat wspaniałej pracy z Andrzejem Wajdą i w kontekście osobistych dramatów.

ANDRZEJ SEWERYN
– aktor teatralny i filmowy, reżyser teatralny. Od 2011 r. dyrektor naczelny Teatru Polskiego im. Arnolda Szyfmana w Warszawie

Ten film nadal jednak pozostaje w cieniu „Bez znieczulenia" lub „Człowieka z marmuru".

– Z „Bez znieczulenia" sprawa jest prostsza. Kilka lat temu, już za rządów PiS, odbyła się wielka uroczystość w Waszyngtonie, na której Fundacja Kościuszkowska przyznała nagrodę Agnieszce Holland. Poproszono mnie, żebym wygłosił przemówienie, ale nie mogłem przyjechać i nagrałem pozdrowienia dla Agnieszki. Mówiłem o jej dorobku i pytałem, czy pamięta postać Rościszewskiego, którą mi napisała w „Bez znieczulenia". Myśleliśmy, że nasz film jest historyczny w tym sensie, że epoka PRL już odeszła i żyjemy w innym świecie, a tu proszę, obserwujemy powrót takich ludzi jak mój bohater. Odnosiłem się do braci Karnowskich, Tomasza Sakiewicza czy wielu redaktorów z ówczesnej TVP.

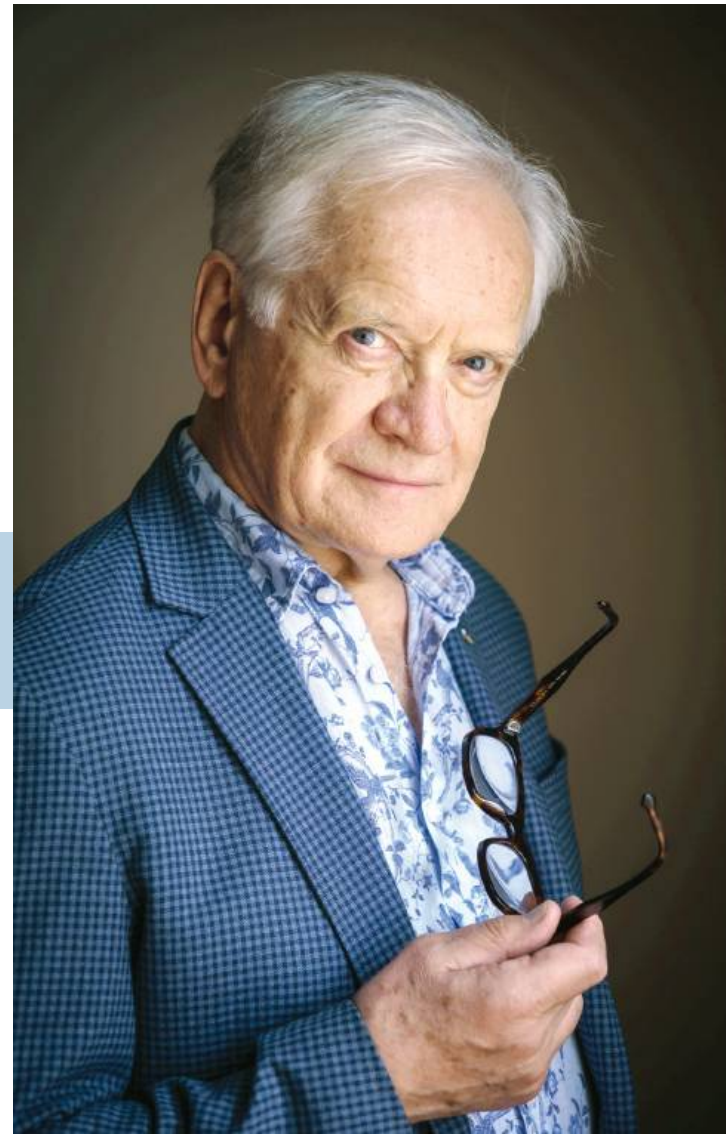

Andrzej Seweryn – (ur. w 1946 r.) występował w Comédie-Française jako trzeci obcokrajowiec w historii. Współpracował z Andrzejem Wajdą, Krzysztofem Kieślowskim, Agnieszką Holland czy Krzysztofem Zanussim. Jest laureatem wielu prestiżowych nagród, w tym Srebrnego Niedźwiedzia, Srebrnego Lamparta, Złotej Kaczki, dwóch Orłów i nagrody aktorskiej w Gdyni. Odznaczony m.in. Legią Honorową, Orderem Sztuki i Literatury, Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3729f5913c

Wydaje się, że „Dyrygent" jest dziś bardziej aktualny niż wtedy, bo dużo rozmawiamy o przemocy i władzy w światku muzycznym.

– Dzisiaj obnażamy toksyczne relacje we wszystkich środowiskach. Skądinąd słusznie. Obawiam się jednak, że świat łatwo się nie zmieni i zawsze będzie tak wyglądał, a kobiety i mężczyźni będą się posługiwać seksem do osiągania własnych korzyści. Trudno zmienić ludzką naturę. Seks jest narzędziem, siłą. A kiedy stosunki intymne odbywają się za obopólną zgodą, w czym problem? Wyłączam oczywiście z tej dyskusji gwałt, molestowanie czy napastliwość, które są nieakceptowalne, muszą być karane i rozliczone.

Nawiążę jeszcze do afer w szkołach teatralnych, bo każdy przypadek studenta i studentki jest indywidualny i delikatny. Przez lata jako wykładowca PWST robiłem z aktorami tzw. *hard scenes*, czyli trudne dla nich sceny. Oni definiowali ich trudność, wybierali, co chcą zagrać. Mógł to być pocałunek, gwałt, negliż albo wyznawanie swoich słabości i wspominanie rodziców. Nigdy niczego nie narzucałem i nie komentowałem, bo zależało mi, żeby sami stanęli wobec wewnętrznego aktorskiego problemu przed widzem. Podkreślam, to były ich decyzje. Po przeciwnej stronie mamy rzucanie krzesłami w ścianę i publiczne obrażanie studentów. Profesor, który dopuszcza się podobnych zachowań, obnaża tylko swoją słabość. Jeśli nie potrafi ciepłym głosem skłonić aktorki lub aktora do scenicznej przemiany, to źle wykonuje swój zawód. Nie zapominajmy też, że w tej pracy mogą cierpieć nie tylko kobiety, mężczyźni wcale nie są ze stali.

Jak pan ocenia obecny stan polskiego kina historycznego? Gra pan bowiem w tak różnych filmach jak „Kos" i „Przysięga Ireny". Świadkował pan także zmianie podejścia Wajdy do pokazywania przeszłości. Czy nie wahamy się między szkolnymi patriotycznymi czytankami a rewizjonistycznym podejściem do historii?

– Wydaje mi się, że mam za małą wiedzę, żeby to oceniać. Przykładowo uważam, że „Prymas. Trzy lata z tysiąca" nie był fałszywym filmem, bo każda opowieść znajduje swój czas. W tamtym okresie prawda o Wyszyńskim, którą przekazaliśmy na ekranie, była ważniejsza niż sportretowanie go jako antyinteligenckiego przywódcy polskiego Kościoła. Nie mam też poczucia, że w „Ziei" współuczestniczyłem w procesie fabrykowania rzeczywistości czy przesadzania w którąś z ideologicznych stron. W „Raporcie Pileckiego" nie brałem udziału i go nie widziałem. Wystąpiłem za to w „Ogniem i mieczem" i niezmiennie twierdzę, że powieść Sienkiewicza odegrała ważną historycznie rolę, „ku pokrzepieniu serc". Zacytuję jednak Gombrowicza, który pisał: „Sienkiewicz swoją naiwnością zaraził całą polską inteligencję do dziesiątego pokolenia. W powstaniu warszawskim same Kmicice ginęły".

Wróćmy do świata filmów. „Ogniem i mieczem" też trafiło na swój moment, stało się jedną z pierwszych superprodukcji po 1989 r. Trzeba było ją zrealizować, a że niektórzy, w tym ja, stawiają pod znakiem zapytania wartość literatury Sienkiewicza, mają do tego prawo. Nie znaczy to przecież, że ktoś ma ochotę palić kanoniczne lektury. Proszę nikogo nie oskarżać o próbę niszczenia historii polskiej literatury, jeśli bardziej przekonuje go Gombrowicz niż Sienkiewicz. Są jednostki i środowiska, które nie potrafią podjąć w tej kwestii sensownej debaty.

A jeśli zderzymy „Wałęsę. Człowieka z nadziei" z poprzednimi częściami trylogii Wajdy?

– Uważam, że „Człowiek z marmuru" i „Człowiek z żelaza" niosły w sobie prawdę na temat swojej epoki. W przeciwieństwie do Sienkiewicza. Oglądając „Wałęsę", również miałem poczucie obcowania z prawdą. Trzeba było oddać cześć jednemu z najwspanialszych bohaterów naszej najnowszej historii. Przypominam sobie „Żeglarza" Jerzego Szaniawskiego, w którego adaptacji grałem. Sensem tego dramatu jest pytanie, czy społeczeństwo potrzebuje mitów, czy prawdy. Pisarz opowiada o tytułowym żeglarzu – kapitanie, który pochodził z pewnego miasta i uchodził tam za wielkiego bohatera. Inna postać, Jan, dowiaduje się, że żeglarz wcale nie był żadnym herosem ani autorytetem. W ostatniej scenie Jan spotyka kapitana i staje przed dylematem, czy wyjawić sekret, kiedy za ich plecami odbywa się huczna uroczystość, ludzie odsłaniają pomnik żeglarza. Jan ma możliwość obalenia mitu, ale zdejmuje czapkę przed kapitanem i milczy. Nie mam, podobnie jak Szaniawski, odpowiedzi na pytanie, czy jego postawa jest słuszna. Przy czym, żebym został dobrze zrozumiany, nie porównuję żeglarza do prezydenta Lecha Wałęsy, którego uznaję za bohatera. Są takie momenty w historii, gdy mity są po prostu potrzebne i twórcze. Proszę też zwrócić uwagę, że film Wajdy powstał w 2013 r., dwa lata przed brutalnymi atakami na prezydenta. Im dłużej żyję, tym jestem ostrożniejszy w sądach. Są oczywiście fakty niepodważalne, np. barbarzyński atak Rosji na Ukrainę. Reszta może podlegać dyskusjom.

Są takie momenty w historii, gdy mity są po prostu potrzebne i twórcze.

A jak podchodziło się do historii w kinie Polski Ludowej?

– Wspomnę o „Albumie polskim" Jana Rybkowskiego, którego pewnie pan nie widział. Reżyser był sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Zespołach Filmowych, a ponadto uczciwym człowiekiem i twórcą. Zrealizował ten film na podstawie scenariusza podpisanego przez członka Komitetu Centralnego. Po wyjściu z więzienia zacząłem grać w teatrze i któregoś wieczoru odebrałem telefon od Edwarda Zajička, jednego z najważniejszych polskich producentów. Zaproponował mi rolę w „Albumie polskim". Trzeba było natychmiast jechać na zdjęcia, a ja zaakceptowałem tę szansę z radością. Później przeczytałem scenariusz i nie byłem zachwycony.

eprasa.pl 3729f5913c

Ten film został puszczony w telewizji po wyborze Edwarda Gierka na I sekretarza PZPR w 1970 r. i w 1976 r., po protestach w Ursusie i Radomiu. Nie nazwałbym go wprawdzie propagandowym, bo mówi o trosce o ojczyznę, ale pamiętam treść rozmowy mojego bohatera z ojcem. Debatują o Polsce i mówią, że są w naszym kraju problemy. Jakie? Choćby niesprawna produkcja motocykli... Śmiać mi się chciało. To było fałszowanie rzeczywistości. Zdecydowanie nie warto kłamać, na co wskazują dzisiejsi psychologowie i terapeuci. Głęboko skrywane problemy z dzieciństwa i przemilczane małżeńskie spory działają na nas destrukcyjnie. Mówię w planie indywidualnym i rodzinnym, a co dopiero narodowym. Psują nas ci, którzy, chcąc zdobyć władzę, często przekłamują historię i jednoczą swoich zwolenników w nienawiści.

Polska się podzieliła, ale świat polaryzuje się jeszcze bardziej. Co pan sądzi o internetowych zarzutach stawianych „Przysiędze Ireny" w kontekście konfliktu izraelsko-palestyńskiego? Ciekawe, że niektórzy pochopnie oskarżali „Ziemię obiecaną" o antysemityzm.

– Umiejscawianie „Przysięgi Ireny", której premiera zbiegła się z rocznicą wybuchu powstania w getcie warszawskim, na tle konfliktu w Strefie Gazy, jest nieuczciwością intelektualną i moralną. Proszę krytykować sam film, oceniać, czy został dobrze wykonany, napisany i zagrany. W mojej opinii ten obraz jest niezmiernie ważny z powodów historycznych. Wszyscy słyszeliśmy o Irenie Sendlerowej, wydarzeniach w Jedwabnem czy walkach w getcie. Nikt natomiast nie wie o Irenie Gut, która jako katoliczka z małego miasta oddała swoje ciało, żeby ratować ludzi. Wcześniej ryzykowała życie, ukrywając grupę Żydów. Fakt, że podejmujemy ten temat, powinien wywołać falę zachwytów. Cała Polska powinna trąbić, że pokazujemy bohaterstwo i zwycięstwo dobra nad złem. Rzadkie zwycięstwo. Zła opinia dotycząca zachowań Polaków wobec Żydów jest niestety uzasadniona. Uogólnienia zawsze mnie drażnią, ale wszystkie zbrodnie przeciwko Żydom zasługują na najwyższe potępienie. Dodam jeszcze, że ludzie wojny, tacy jak Gut, niechętnie opowiadali o jej kulisach. A osoby z doświadczeniem obozowym zaczęły o nim mówić dopiero kilkadziesiąt lat później. Nie mam prawa domyślać się dlaczego, ale jestem przekonany, że obóz mógł łatwiej wyzwalać w ludziach ciemną niż jasną stronę. Węgierski noblista Imre Kertész napisał kiedyś wstrząsający fragment o współwięźniu, który wyrwał mu z ręki kawałek chleba.

Schulz, którego gra pan w „Przysiędze Ireny", kieruje się dość radykalną filozofią przetrwania. Czy w jego logice i postawie można dostrzec głębszy sens?

– Schulz ma rację, mówiąc do Ireny: chcesz przeżyć, patrz w ziemię. Mężczyzna bynajmniej nie sugeruje bohaterce, żeby została kapo, mordowała niewinnych i tak zapewniła sobie przetrwanie. Schulz nie chce niczego widzieć ani słyszeć, aby nie mieć całkowitej pewności, że Irena daje Żydom bezpieczne schronienie. Radzi jej jednocześnie, by zapomniała o widoku dziecka zabijanego przez hitlerowca, inaczej wyda się ze swoim oburzeniem przed okupantami. Celem jest przeżycie i uratowanie cudzego życia. Nie chcę oczywiście bronić Schulza, ale on ratuje Irenę i ukrywanych przez nią Żydów. Zdobywa się na heroizm, dużo ryzykuje. Gdyby wzięto Irenę na tortury, mogłaby wyznać, że Schulz wiedział o wszystkim. W żadnym razie nie powiem jednak, że moja postać jest pozytywna i należy ją naśladować. Do czasu wydarzeń przedstawionych w filmie Schulz zrobił niestety parę złych rzeczy jako jeden z trybików nazistowskiej machiny.

Trudno oceniać jednoznacznie takie osoby, zwłaszcza w kontekście wojennym.

– Zło jest wieczne, stanowi element naszej egzystencji. Ci, co łatwo i szybko oceniają, że na miejscu ówczesnych obywateli postąpiliby inaczej, mylą się. Pomyślmy o relacjach polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej. Potępiam donosy, ale nie wiem, co bym zrobił jako mąż, ojciec i brat, gdyby nocą zapukał do mnie Żyd z prośbą o azyl. Co bym wybrał, wiedząc, że ryzykuję życie rodziny? W Teatrze Polskim graliśmy spektakl na kanwie książki Magdaleny Rigamonti „Niewygodni". To zbiór rozmów z osobami, które przeżyły wojnę, m.in. z polską Żydówką mieszkającą obecnie w Izraelu. Ona zwierzała się z podobnej myśli, co ja. Twierdziła, że nawet nie otworzyłaby drzwi przed nieznajomymi. Dostrzeżmy jednak różnicę między tą postawą a donosem. Ks. Zieja mówił do żołnierzy: nie zabijaj, rozumiejąc, że i tak będą mordować. Chciał im uświadomić, że popełniają zło, bez względu na okoliczności.

Angażuje się pan w ważne społecznie seriale, takie jak „Królowa", i zawsze głośno mówi o sprawach publicznych. Wierzy pan, że artysta może być neutralny i apolityczny, czy to tylko maska i wygodna poza?

– Oczywiście, że może. Poglądy na świat wyrabiają sobie, mam nadzieję, wszyscy, a interweniowanie w zastaną rzeczywistość jest czymś zupełnie innym. Nie każdy chce po prostu manifestować swoje zdanie w newralgicznych kwestiach. I ma do tego święte prawo. Niezręcznie mi o tym mówić, bo chodzi o indywidualne decyzje związane z najróżniejszymi motywacjami. Ich pierwsze źródło stanowi niechęć i nieufność do polityki oraz do bycia traktowanym jako zwolennik danej partii. Sam nie proszę publicznie, żeby ludzie poparli jednego czy drugiego kandydata. Nie kryję się zaś specjalnie, gdy ktoś mnie pyta prywatnie, na kogo oddałem głos w wyborach. Brałem oczywiście udział w manifestacji zorganizowanej 1 października i słuchałem przemówienia Donalda Tuska. Dla niektórych znaczy to automatycznie, że wsparłem Koalicję

Zdecydowanie nie warto kłamać. Głęboko skrywane problemy z dzieciństwa i przemilczane spory małżeńskie działają na nas destrukcyjnie.

eprasa.pl 3729f5913c

Obywatelską, a inni pewnie sądzą, że wybrałem Lewicę. Mogę natomiast publicznie oświadczyć, że nie głosowałem na Zjednoczoną Prawicę ani Konfederację, bo uważam je za szkodliwe dla mojej ojczyzny. Jestem jednak daleki od pochopnej i negatywnej oceny innych artystów, którzy nie zabierają głosu w publicznych dyskusjach.

Dzisiaj obnażamy toksyczne relacje we wszystkich środowiskach. Skądinąd słusznie. Obawiam się jednak, że świat łatwo się nie zmieni.

Zapytam też o pański stosunek do rosyjskiej kultury w kolejnym roku wojny. Jedni mówią: czytajmy i oglądajmy, żeby lepiej zrozumieć Rosję, a drudzy są temu przeciwni.

– W repertuarze Teatru Polskiego mieliśmy dwie sztuki Czechowa: „Wujaszka Wanię" i „Wiśniowy sad". Nie mogłem podjąć żadnej dyskusji na temat „Wujaszka…", bo mój teatr nie był właścicielem przedstawienia. A w rozmowach z aktorami nigdy nie usłyszałem sugestii, żeby przerwać wystawianie tego spektaklu. W sprawie „Wiśniowego sadu" nie chciałem podejmować decyzji sam i zorganizowałem anonimowe głosowanie wśród pracowników teatru. Większość głosów była za kontynuowaniem grania Czechowa. Pamiętam ówczesne wypowiedzi wicepremiera Glińskiego, który twierdził, że nie należy prezentować kultury rosyjskiej, słyszeliśmy też podobne stanowiska naszych ukraińskich przyjaciół. Dyskutowałem wtedy we Francji z moimi kolegami, z którymi również graliśmy „Wujaszka…", i oni przypomnieli mi, że w trakcie I wojny światowej słuchano niemieckiej muzyki na paryskich salonach. Różne społeczeństwa odpowiadały więc na te same pytania, co my.

Zamierza pan niebawem zagrać coś rosyjskiego w swoim teatrze?

– Nie planuję przedstawień, których autorami lub realizatorami są artyści rosyjscy. Wydaje mi się, że trzeba zachować przyzwoitość wobec naszych braci Ukraińców. Ci ludzie cierpią, mają poczucie straszliwej krzywdy i zbrodni dokonywanej na ich ojczyźnie od dziesięcioleci. Ukraińska kultura ulega systematycznemu niszczeniu przez barbarzyństwo rosyjskie. Jeśli ktoś ma w planie grać rosyjski utwór, niech wybierze sztukę ukraińską, co nabierze stokrotnie większego znaczenia dla niego, Ukrainy, a nawet Rosji. Czy jednak osobiście uważam, że twórczość Czechowa jest niegodna wystawiania w polskim teatrze? Nie, musiałbym być szalony. Nie mam zaś wystarczających kompetencji, żeby analizować rosyjską kulturę jako całość. Wiem natomiast, że dyrektor petersburskiego Ermitażu, jednego z największych muzeów sztuki na świecie, otwarcie nazywa ojczystą kulturę bronią w walce Rosji o panowanie nad światem. Nie tylko sytuacja Ukrainy mogłaby więc być bodźcem do podejmowania konkretnych decyzji. Minister Gliński uzupełniał później swoją opinię, mówiąc, że powinniśmy bojkotować rosyjskich artystów na czas wojny.

Powinniśmy się dzielić naszą wiedzą ze światem, ale czy będzie się to wyrażało akurat w kulturze? Nie wiem.

Zgodziłby się pan z tezą Karoliny Wigury, że nadchodzi czas polskiej kultury na świecie? Socjolożka podparła ją refleksją o Zachodzie, któremu możemy dziś objaśnić część zagrożeń płynących z Rosji. Łatwo znaleźć analogię ze swoistą modą na Polskę w okresie karnawału Solidarności.

– We Francji lat 80. trockiści odnajdywali w ruchu Solidarności bunt klasy robotniczej i potwierdzenie ich tezy o odwiecznej rewolucji, a liberałowie i prawica widzieli w nim sprzeciw wobec komunizmu. Dzisiaj opinia o Rosji bardzo się zmieniła we Francji. Mieszkałem i pracowałem tam w zeszłym roku i widziałem, że media, inaczej niż przed laty, oceniają posunięcia państwa rosyjskiego i relacjonują wydarzenia z frontu. Emerytowani generałowie, dyrektorzy instytutów narodowych i wybitni dziennikarze z rozmaitych stron zmieniają swoją narrację. Prezydent Macron zaskoczył świat deklaracją, że wojska francuskie mogą wkroczyć do Ukrainy, ale mnie to specjalnie nie zdziwiło.

Redaktorka Kultury Liberalnej wspominała jeszcze o naszych wielkich sukcesach międzynarodowych, takich jak Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk i nominacja do Bookera dla Urszuli Honek.

– Prestiżowe wyróżnienia, nawet Nagrody Nobla, nie są dowodem na to, że kultura całego kraju stoi na najwyższym poziomie. Oznaczają raczej, że mamy fantastycznych artystów i pasjonującą historię. Powinniśmy się dzielić naszą wiedzą ze światem, ale czy będzie się to wyrażało akurat w kulturze? Nie wiem. Myślę, że obecne uwarunkowania geopolityczne mogą stworzyć przestrzeń do zainteresowania naszą historią i, szerzej, losami Europy Wschodniej. W końcu co przeciętny obywatel francuski może wiedzieć o dziejach Lwowa i Wilna albo Estonii i Litwy? To mogą być obszary niezwykłego wzbogacenia się dla społeczeństw Europy Zachodniej. Wspomnianemu procesowi powinno jednocześnie towarzyszyć zainteresowanie naszych rodaków krajami Unii Europejskiej. Od lat powtarzam, że chcąc stworzyć rodzinę, warto się trochę poznać nawzajem. Zainteresujmy się więc portugalskim teatrem i malarstwem, a nie tylko muzyką fado. Równocześnie Portugalczycy mogą poczytać „Dziady", ale i polskie sztuki współczesne, mamy przecież znakomitych reżyserów i aktorów. „(A)pollonia" Krzysztofa Warlikowskiego była czymś, co uświadamiało za granicą sens polskich tragedii. Obowiązkiem polskiego inteligenta winna być natomiast znajomość Moliera. A dla ludzi kultury z Europy Zachodniej znajomość Mickiewicza.

Wojciech Tutaj

eprasa.pl 3729f5913c

KURTYNA W GÓRĘ

Autoterapia

Katarzyna Minkowska z Janem Czaplińskim wystawili w Opolu „Burzę" Szekspira. Monumentalne widowisko, choć niepozbawione efektownych scen i nieźle grane, jest dość wtórne. Szekspir staje się bowiem przyczynkiem do rozważań o środowisku teatralnym. W opolskim spektaklu Prospero (Bartosz Dziedzic) jest okrutnym i toksycznym reżyserem, dość nachalnie wystylizowanym na Lupę, Miranda (Monika Stanek) aktorką, nie do końca odnajdującą się w tym zawodzie, Ariel (Judyta Paradzińska) zaś prawą ręką Mistrza. Przyglądamy się specyfice pracy pod kierunkiem natchnionego demiurga manipulatora, który żeruje na ambicjach swojego otoczenia i wykorzystuje naiwny idealizm młodych. Ma to rzecz jasna walor terapeutyczny, obnaża też patologie drążące instytucje kultury. Problem w tym, że całość jest niezbyt odkrywczym opisem zjawiska ostatnio nader mocno na scenie eksploatowanego.

Dramaturgicznie ta sceniczna autoterapia ma średni potencjał. Co zresztą twórcy przyznają w finale, dając sobie prawo do rezygnacji z „konfliktu dramatycznego", będącego osią każdej opowieści, na rzecz wspólnotowej, oczyszczającej nudy na scenie. To miłe, ważne i pewnie bardzo wyzwalające dla artystów i artystek. Pytanie, co z publicznością.

Michał Centkowski

Jan Czapliński na motywach Szekspira, „Burza. Regulamin wyspy", reżyseria Katarzyna Minkowska, Teatr im. Kochanowskiego w Opolu, premiera 26 kwietnia 2024

Romeo i Julia po francusku

Balet o legendarnych kochankach można zobaczyć na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi. Wspiera go wspaniała, mało znana u nas muzyka Hectora Berlioza. Bohaterowie są z Szekspira, ale tancerze opowiadają historię bardzo nowocześnie. Akcja rozwija się powoli, niektóre sceny dramatu, np. egzekwie po rzekomo zmarłej Julii, są zaskakująco długie. Przedstawienie kończy rozbudowany, patetyczny finał prowadzący do pojednania zwaśnionych klanów.

Bronisław Tumiłowicz

„Romeo i Julia", muzyka Hector Berlioz, dyrygent Rafał Janiak, choreografia i reżyseria Sasha Waltz, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 11 maja 2024

ZASŁUCHAJ SIĘ

Olga Bończyk
Wracam
ARTMUSIC Olga Bończyk

Całą tę fenomenalną przestrzeń dźwiękową zbudowała jedna osoba. Nie ma tu również żadnego instrumentu – poza tym najdoskonalszym, najbardziej elastycznym, jakim jest ludzki głos. Olga Bończyk w latach 90. śpiewała w formacji gospelowej i jazzowej Spirituals Singers Band, której repertuar opierał się na wielogłosowych pieśniach a cappella. To bardzo wymagający, mistrzowski poziom wykonania, a że, jak mówi sama wokalistka, nie zdołałaby „zebrać tylu szaleńców, aby stworzyć zespół" na potrzeby jej projektu będącego odwołaniem do tamtego okresu, nagrała płytę sama, posługując się sześcioma głosami. Ciekawostka techniczna: „kręgosłupem" utworów jest głos basowy. Nagrywany był w zakresie dostępnym głosowi kobiecemu, a potem ścieżka została obniżona na stole mikserskim o oktawę. Malkontent zaraz burknie, że to kuglarskie sztuczki. I że z tym materiałem nie da się przecież koncertować na żywo. Na to mam jedną odpowiedź: trzeba posłuchać, ile tu radości. Jej nie stworzy się na stole mikserskim.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

Furiosa: Saga Mad Max

reż. George Miller, prod. Australia/USA, już w kinach

Ogniste kino, które twórcy cały czas podlewają benzyną. Efekt? Buzuje, ale nie parzy. Strona wizualna oszałamia. Z obłędnymi makijażami idą pod rękę odjechane scenografie i kostiumy. W ekranowym świecie po apokalipsie ziemię pokrył piasek, po którym bohaterowie ścigają się motocyklami i ciężarówkami transportującymi paliwo. Pościgi to najlepsze części filmu – gigantyczne koła samochodu, które mielą wszystko, co pod nie trafi, biją na głowę niejedną grę komputerową. Problem w tym, że to kino niskiego napięcia. Trudno się zaangażować w akcję i przejąć losami Furiosy, rozdzielonej z matką dziewczynki, którą przejmują kolejne świry. Nie mamy czasu jej poznać, bo reżyserowi śpieszy się do podpalenia lontu do kolejnych destrukcji. Miłośnicy postmodernizmu będą mieli frajdę z rozpoznawania cytatów (od mitologicznego konia trojańskiego po „Pojedynek na szosie" Spielberga), a zmęczeni komputeryzacją kina na pewno docenią, jak wiele popisowych numerów robią tu kaskaderzy, a nie sztuczna inteligencja. Chcecie ucieszyć oczy, to idźcie po bilety, ale nie liczcie na wiele więcej.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. EDGAR DE PORAY, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 3729f5913c

Rafał Pikuła

Czerwone męki

Polskie kino historyczne nie zawodzi. Wciąż trzyma ten sam słaby poziom

Jedna z bardziej znanych recenzji w najnowszej historii polskiej krytyki filmowej zaczyna się tak: „Nie wiem, od czego zacząć. Jeśli od realizacyjnych pryncypiów, czyli aktorstwa, reżyserii, zdjęć i montażu, to nie starczy czasu. Jeśli od scenariuszowych i konstrukcyjnych detali, logiki wydarzeń i zachowań bohaterów, zabraknie miejsca. Jeśli od pisanych wielką literą abstrakcji (...), to sami najlepiej ocenicie szerokość horyzontów reżyserki". W ten sposób o filmie „Big Love" pisał ponad dekadę temu Michał Walkiewicz na łamach branżowego portalu Filmweb.

Kiedy usiadłem do pisania recenzji „Czerwonych maków" w reżyserii Krzysztofa Łukaszewicza, uznałem, że te zdania kolegi po piórze jak ulał pasowałyby i tutaj. Oba filmy są skrajnie różne. „Big Love" to dramat miłosny, który miał być młodzieżową wersją „Ostatniego tanga w Paryżu", hitem i mocnym debiutem. „Czerwone maki" to z kolei dramat wojenny, który miał być Wielkim Polskim Kinem Historycznym, towarem eksportowym, produktem premium i poręcznym narzędziem soft power. Oba filmy to rzeczywiście dramaty, tak, dramaty dla widza, który je obejrzał. Barbara Białowąs po „Big Love" już się nie podniosła i zaczęła kręcić erotyczne ulepki z serii „365 dni". Krzysztof Łukaszewicz okopał się na pozycji reżysera tandetnego kina historycznego. Wszystkie grzechy filmów „Orlęta. Grodno '39" i „Raport Pileckiego", czyli nieznośny patos, brak dramaturgii, fatalna fabuła oraz niewiarygodnie zła batalistyka, są i w „Czerwonych makach". Tylko że bardziej.

Powtórzę więc za Walkiewiczem: nie wiem, od czego zacząć. A jak nie wiadomo, jak zacząć, to trzeba od pieniędzy. „Czerwone maki" kosztowały 33 mln zł, co czyni tę produkcję jedną z najdroższych w historii. Pracą nad filmem już w 2018 r. szczyciło się Ministerstwo Kultury, bo to miało być pisowskie opus magnum w dziedzinie kultury pod kierownictwem prof. Glińskiego. Dowód, że polska kultura wstaje z kolan, wybija się na niezależność, potrafi oczarować świat swoją wersją patriotyzmu. Miały być „Czerwone maki" polskim „Szeregowcem Ryanem" (1998), tudzież odpowiedzią na „Dunkierkę" (2017), ale wyszło bardziej połączenie „M jak miłość" z „Bitwą Warszawską".

„Czerwone maki" wyszły jak każdy polski film spod politycznej sztancy. A szkoda tematu i szkoda pracy.

Pal licho budżet, ale jak z gotowej opowieści, filmowej w sensie ścisłym – walki pod Monte Cassino są pełne dramatyzmu i symboliki – można było zrobić film zupełnie miałki? Patosu i kiczu się spodziewałem, ale łudziłem się, że marsz armii Andersa przez Włochy ukazany będzie w sposób wciągający. A tu na pierwszy plan wysuwa się love story: Jędrek, żołnierz o wątpliwym morale, zakochuje się w sanitariuszce Poli, ale ta woli dzielnego oficera. Z Jędrkiem wiąże się, dopiero gdy ten mimochodem zostaje bohaterem. Banalna historia Jędrka i Poli zabiera czas wątkom ważniejszym, które w opowieści o bitwie pod Monte Cassino powinny się znaleźć: wątpliwościom gen. Andersa, komplikacjom na froncie zachodnim.

Scenariuszowo w filmie nie działa kompletnie nic. Rządzi chaos, przypadkowość, przetykane martyrologicznymi monologami czy scenami symbolami, np. z chłopcem, który woli naszywkę z orzełkiem niż czekoladę. Zabrakło tylko „Katechizmu polskiego dziecka". Wyszła patriotyczna pulpa. Gorzej, że niestrawna. Przyjąłbym tę przymusową lekcję historii, gdyby nie była lekcją reżyserskiej histerii, wzruszyłbym się, jak zdarzało mi się podczas seansu „Ogniem i mieczem" czy „Pianisty", ale tym razem zamiast łez częściej pojawiały się ciarki żenady.

Sceny batalistyczne zostały nakręcone nie tylko bez rozmachu, ale i bez pomysłu, raz mocno roztrzęsioną kamerą, raz z poziomu aktora (jak w grach komputerowych), raz obiektywem szerokokątnym. Rozumiem, że można wybrać oryginalną dynamikę, nieoczywisty montaż, odważne cięcia, ale w drybling trzeba umieć.

A jeśli już mowa o umiejętnościach, to ogromny budżet pozwolił na zatrudnienie topowych aktorów, takich jak Bartłomiej Topa, Michał

FOT. KINO ŚWIAT

eprasa.pl 3729f5913c

Żurawski czy Leszek Lichota. Co z tego, gdy postacie napisane pod tych niewątpliwie utalentowanych aktorów są papierowe i mają właściwość Yeti: pojawiają się na ekranie nagle i równie nagle znikają. Miś Wojtek, w całości zrealizowany komputerowo, dorzucony jest tutaj jako kolejna atrakcja. Subtelności w tym misiowym wątku jak na lekarstwo.

„Czerwone maki" wyszły jak każdy polski film spod politycznej sztancy. A szkoda tematu (wystarczyło zasugerować się bardziej „reportażem" Melchiora Wańkowicza) i szkoda pracy. Łukaszewicz to solidny rzemieślnik, jednak w tym filmie chciał zmieścić wszystko: i komizm, i tragizm, klasyczną przemianę bohatera oraz wzorcową miłość z frontu. Czy ekipę skrępował zbyt wielki budżet? A może dosięgła ją typowa polska klęska: rzeczy wielkie nie mogą nam się udać?

Wszystkie grzechy filmów „Orlęta. Grodno '39" i „Raport Pileckiego" są także w „Czerwonych makach". Tylko że bardziej.

Wiemy, że polska prawica nie umie w kulturę, nadyma się i puszy, wypuszczając dzieła mało udane jak „Czerwone maki" bądź istne koszmarki jak „Smoleńsk". Ale dlaczego lewa strona nie próbuje podjąć tematów z tzw. półki patriotycznej? Dlaczego tak rzadko próbuje opowiadać historię na swój sposób, z właściwą wrażliwością? Przecież to ogromna szansa na odzyskanie narracji patriotycznej. Zamiast robić kolejny film o podzielonych Polakach, patologiach rodzinnych, rasizmie i klasizmie, warto pokazać losy, dziś zapomniane, żołnierzy, którzy do wzorca „wyklętych" nie pasują. Bo walczyli, jak umieli, o Polskę, jaką mogli mieć. Naprawdę wolałbym coś świeżego niż kolejne męki w kinie. Jeden „Kos" wiosny nie czyni, ale pewne przykłady już są. Polecam obejrzeć film Pawła Maślony. Widzom, a także szacownym reżyserom.

Rafał Pikuła

Niepokój albo pytania o korzenie zła

Spektakl Krzysztofa Warlikowskiego jednych zachwyca, drugich rozczarowuje

Tomasz Miłkowski

Jedni zarzucają Nowemu Teatrowi, że się zestarzał, a choć stary jeszcze nie jest, to nowy też już nie. Skarżą się, że w tym spektaklu wciąż się gada, gada, gada. Jak cesarz austriacki w „Amadeuszu" Petera Shaffera, powtarzający opinię Salieriego, że w utworach Mozarta jest „za dużo nut", powiadają, że u Warlikowskiego jest za dużo słów. A więc do tego już doszło: intelektualiści wybrzydzają na literaturę i słowa. Nudzą się niemiłosiernie, słów im się nie chce słuchać. Drudzy dostrzegają duchowe rozdarcie ludzkości, szukającej swojej drogi, zmęczonej dezorientacją w podzielonym, niszczejącym świecie, w którym człowiek stał się katem zwierząt i natury. Nie podzielają zastrzeżeń tych, którzy wyrzekają, że Warlikowski elegancko przypomina o tym, o czym wszyscy przecież wiedzą. Bo to jednak pozór, tylko im się wydaje, że wiedzą, ale to wiedza nieprzyswojona.

Skoro przedstawienie budzi sprzeczne odczucia, to znaczy, że jest kontrowersyjne, a skoro tak, daleko mu do sklerozy.

Nie pierwszy raz sięga Warlikowski po sojusznicze słowa Johna Maxwella Coetzeego. Nie pierwszy raz pojawia się w jego teatrze wykreowana przez noblistę Elizabeth Costello. To fikcyjna postać sławnej australijskiej pisarki, autorki dziewięciu powieści, nagradzanej i zapraszanej przez prestiżowe uniwersytety na wykłady gościnne, które bywają zaczątkiem sporów i skandali.

Elizabeth Costello pojawiła się już w spektaklu „(A)pollonia" (2009), inaugurującym Nowy Teatr Warlikowskiego. Wygłosiła wówczas wykład, w którym rzezie dokonywane na zwierzętach hodowlanych przyrównywała do Holokaustu. Już w tamtej założycielskiej (pierwszej) premierze Nowego pojawiała się charakterystyczna scenografia Małgorzaty Szczęśniak z ruchomym mansjonem-akwarium, w którym rozgrywały się niektóre sceny, z toaletą-świątynią zwierzeń i zamykającym scenę ekranem, na którym wyświetlano obrazy wideo. Ten zarys przestrzeni uniwersalnej, bo możliwej do wyobrażenia pod każdą szerokością geograficzną, obowiązuje w spektaklach Warlikowskiego do dziś.

Wykład w „(A)pollonii" pochodził ze zbioru Coetzeego „Żywoty zwierząt" – co więcej, został naprawdę wygłoszony, ale nie przez nieistniejącą Costello, lecz przez jej kreatora na Uniwersytecie Princeton. W wykładzie tym pisarz posłużył się pewną mistyfikacją, mianowicie przywołał inny fikcyjny wykład fikcyjnej pisarki Costello, prezentując ją jako osobę istniejącą. Pod tym podwójnym przebraniem, jakby stosował znany chwyt teatru w teatrze, przedstawił ryzykowną tezę, przyrównując eksterminację zwierząt rzeźnych do eksterminacji Żydów. Ten realnie wygłoszony (a zarazem fikcyjny) wykład wywołał żywe reakcje. Pisarz spotkał się z krytyką i został uznany za głosiciela nader kontrowersyjnych tez. Na niewiele zdała się mistyfikacja.

Po co Coetzeemu ta cała przebieranka, skoro i tak nikt nie dał sobie wmówić, że tę tezę głosi Costello? A jednak jest mu ona potrzebna. Dzięki wprowadzeniu na salony, a ściślej sale wykładowe, fikcyjnej postaci, która zaczęła się poruszać

eprasa.pl 3729f5913c

swoimi drogami po prozie pisarza, zyskuje on swego rodzaju dystans do własnych tez czy idei, których nie jest do końca pewien. Wystawia je na widok publiczny i czeka, jak zostaną przyjęte, również przez niego samego. Poddaje pod rozwagę, unikając wrażenia, że to stwierdzenia niepodlegające dyskusji, „ostateczne". Innymi słowy, Costello jest potrzebna Coetzeemu, aby budzić niepokój, wątpliwości, stawiać trudne pytania.

Podobnie wykorzystuje figurę Costello Warlikowski w spektaklu o barokowym tytule „Elizabeth Costello. Siedem wykładów i pięć bajek z morałem" (nz.), który niepokoje i niepewności powierza sprawstwu scenicznemu postaci starszej pani z książek Coetzeego. Ten ambiwalentny stosunek do tez głoszonych przez Costello wyraża także za pośrednictwem prostego zabiegu – figura Costello występuje w wielu wcieleniach, mistrzowsko grana przez kilka aktorek (Jadwigę Jankowską-Cieślak, Małgorzatę Hajewską-Krzysztofik, Maję Ostaszewską, Ewę Dałkowską, Maję Komorowską), a nawet aktora (Andrzeja Chyrę). Dzięki temu namnożeniu postaci Costello staje się ona bardziej znakiem czy nosicielką pytań, wątpliwości albo gwałtownych zarzutów formułowanych przez wiele osób, których wspólna tożsamość nie jest najważniejsza, choć uchodzą za tę samą postać.

Ważne jest zadawanie pytań i budzenie uśpionej wrażliwości. Kiedy syn pyta pisarkę, czy ta chce wyleczyć ludzkość, bezradna Costello odpowie: „John, ja nie wiem, co chcę zrobić. Ja po prostu nie mogę siedzieć i milczeć". Na tym polega jej udręka i wielkość – nie boi się przyznać do zagubienia. Część pytań zadawanych przez Costello poznaliśmy w poprzednich spektaklach Warlikowskiego. Powtórzone nie stają się jednak matrycą, są przypomnieniem, że odpowiedzi nadal nie znamy albo że nie ma jednej odpowiedzi. Ale część pytań pojawia się po raz pierwszy, i to z dużą intensywnością.

Kiedy Costello – tym razem postaciowana sugestywnie przez Maję Ostaszewską – zadaje najpierw pytania, a potem oskarża innego pisarza, Paula Westa, autora powieści „Godzinki hrabiego von Stauffenberga", o przekraczanie dopuszczalnych granic ukazywania przemocy, w pewnym sensie nawet o rozkoszowanie się mściwością okazywaną zamachowcom na Hitlera, brzmi to zasadniczo. I wcale nie o tę książkę chodzi, ale o prawo artysty do tak otwartego brutalizmu, ingerencji w najbardziej intymne strefy ludzkiego cierpienia, do tak dalece posuniętych przekroczeń etycznych.

Czasem pozwala sobie Warlikowski na żart, choć na ogół trzyma się pewnej powagi w eseju o pogubionym artyście i jego równie zdezorientowanym odbiorcy. Znakomicie to demonstruje Ewa Dałkowska jako starzejąca się pisarka z pretensjami, chcąca zatrzymać czas i nadal podobać się jako kobieta, stroić jak na zabawę w remizie.

Na koniec pojawia się pytanie, co jest za drzwiami. W obrazie nawiązującym do noweli Franza Kafki „Przed prawem" (a Kafka jest u boku Costello dodatkowym strażnikiem tajemnic człowieka) Costello Komorowska pyta o to, co jest za drzwiami. Tym razem drzwi do prawa wyglądają na drzwi do nieznanego, może do wieczności, może do nieskończoności albo może do nicości. Costello tego nie wie, ale wybiera coś w rodzaju zakładu Pascala, pozwalając Bogu na istnienie, nawet jeśli go nie ma. W tej scenie, ukazując nieszczelną granicę między paniką a ukojeniem, Maja Komorowska osiąga szczyt aktorskiej empatii – jej nastroje, wibracje, najdrobniejsze gesty oddziałują z ogromną siłą na widza.

Te dwie sceny: polemika z prawem pisarza do poniżania bohatera i oczekiwanie na przekroczenie drzwi do nieznanego, nie lekceważąc wagi całości, zapowiadają być może zwrot w teatrze Warlikowskiego, który dotyka boleśnie sfery mroku, metafizycznej trwogi. Kto wie, jaka Costello objawi się w jego kolejnym przedstawieniu.

Na razie żegnamy się z nią z niepokojem, tak jak ona niepewni przyszłości. Syn próbuje ukoić cierpienie matki – role najwyraźniej się odwróciły, to dziecko kołysze, a nie jest kołysane do snu, kiedy mówi: „No, już, już. Niedługo wszystko się skończy". To dziwne słowa. Nie wiadomo, czy to pociecha, czy świadomość nieuchronnego kresu.

■

Niektórzy zarzucają Nowemu Teatrowi, że się zestarzał, a choć stary jeszcze nie jest, to nowy też już nie.

FOT. MAGDA HUECKEL

eprasa.pl 3729f5913c

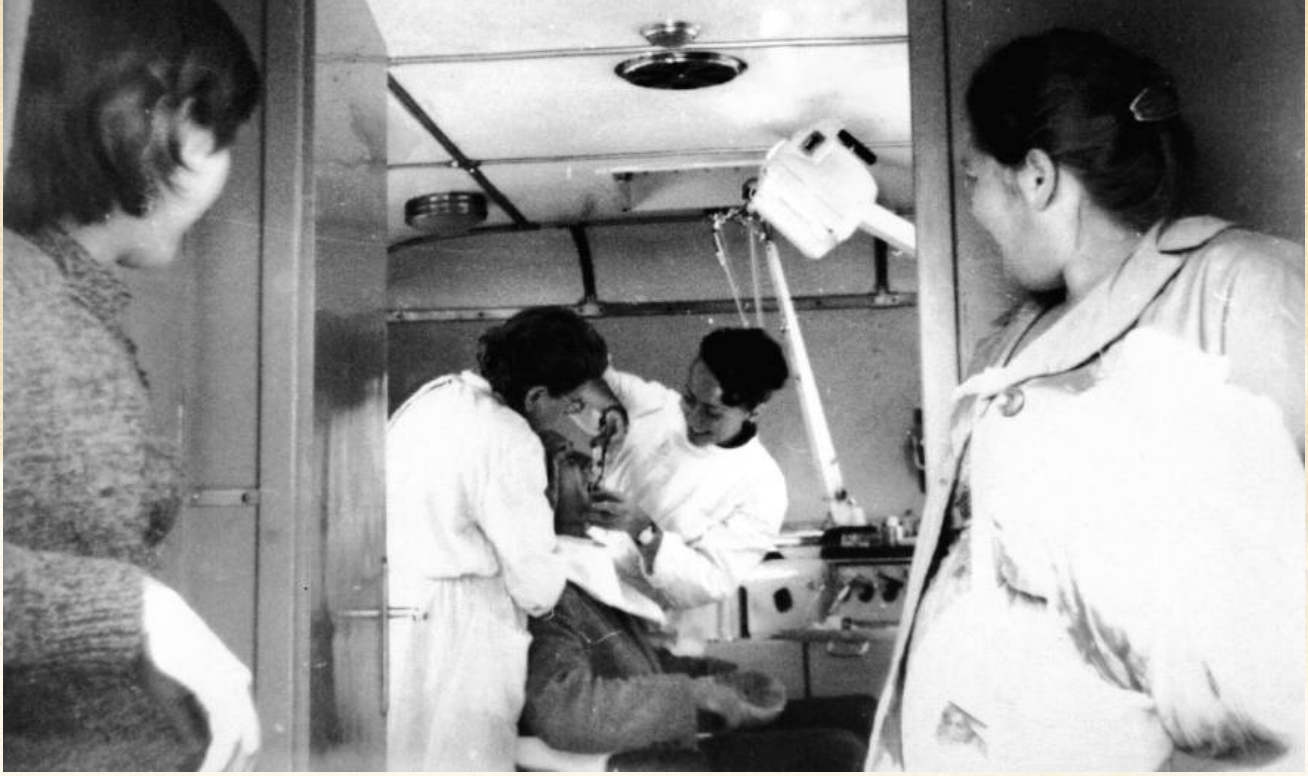

Dentystka daleko od szosy

W 1953 r. objazdowi stomatolodzy mają do dyspozycji 187 ambulansów. Bezpłatnie leczą dzieci i ludność wiejską, zwłaszcza pracowników PGR

Aleksandra Kozłowska

Początek grudnia 1961 r. Dentobus Teresy Radeckiej stacjonuje przy Szkole Podstawowej w Możdżanach. Tuż obok wsi potężnymi świerkami, dębami i jesionami szumi Puszcza Borecka. Zima, więc pewnie wszystko już przykryte grubą kołdrą śniegu. Skrzy się w słońcu, skrzypi pod butami. Stomatolożka z wdzięcznością myśli o białym baranku po kolana, jak dobrze, że wzięła go w tę podróż!

Na fotelu kolejno lądują dzieciaki. Niedomyte, rozczochrane… Do tego uzębienie dziurawe jak robaczywe maślaki. Próchnica szaleje, bo o myciu zębów mało kto słyszał. A jak słyszał, to nie traktuje zbyt poważnie. Doktor Radecka codziennie prowadzi więc pogadanki. Być może ma jakieś tablice poglądowe z przekrojem zęba i ogniskami próchnicy, być może musi jej wystarczyć własna moc przekonywania. Tłumaczy zbitym w gromadkę maluchom, co to za choroba, skąd się bierze, jak z nią walczyć. Najlepszy oręż to szczoteczka (osobista!, niedzielona z resztą rodziny) i pasta lub proszek, a strategia to regularne szorowanie zębów: rano i wieczorem. Nie wzdłuż dziąseł, ale kółeczkami. Dokładnie, każdy ząbek z osobna.

Dzieci słuchają z otwartą buzią, nową wiedzę zanoszą do domów. Stopniowo przyswoją ją i rodzice. Stomatolożka zakłada też plomby. Cementowe i amalgamatowe. Amalgamat to materiał będący połączeniem odpowiednich proporcji rtęci, miedzi, cynku, cyny i srebra. Niestety, tego typu wypełnienie nie łączy się ze szkliwem zębów ani z zębiną. Z czasem pomiędzy plombą a tkanką zęba powstają szczeliny – otwarta droga dla próchniczotwórczych bakterii. Inne wady amalgamatu to jego rozszerzalność pod wpływem ciepła, ciemny, nieatrakcyjny kolor (plomba przebarwia tkanki zęba) i rzekoma toksyczność spowodowana uwalnianiem rtęci, co zależy jednak od typu wypełnienia. Natomiast wielką zaletą jest twardość, dobrze wypolerowana plomba amalgamatowa może przetrwać nawet 30 lat (podczas gdy dzisiejsze białe kompozyty trzymają się najwyżej dekadę).

Dentystka i jej asystentka pracują od 8 rano do 16, z przerwą na drugie śniadanie. Zwykle przygotowuje je Helena. Kwaterują różnie: w pokoju z używalnością kuchni, w naprędce dostosowanym pomieszczeniu w szkole albo w siedzibie Gromadzkiej Rady Narodowej. Asystentka matkuje swojej „doktórce", martwi się, że „jakoś blada, za mało je". Dlatego wpycha w nią jaja na twardo, wiejski twaróg, częstuje własnoręcznie przygotowanym kompotem. Gotuje pożywne zupy, piecze dostarczone przez pacjentów kaczki i ryby. (…)

eprasa.pl 3729f5913c

Teresa Radecka-Kozłowska i jej pomoc dentystyczna Helena Treczyńska przy pracy. Drzwi ambulansu latem zostawały otwarte, rodzina pacjenta mogła patrzeć służbie zdrowia na ręce. Małdyty, sierpień 1965 r.

W Liksajnach, czerwiec 1966 r.

Po południu Teresa przyjmuje dorosłych. Z kobietami zwykle nie ma problemu. Trzeba borować – dobrze, niech borują, trzeba rwać – też dobrze, spokój będzie. Mężczyźni robią uniki. Bywa, że po pierwszym przeglądzie już nie wracają na fotel, a jak wracają, to po dwóch głębszych dla kurażu. Albo ściągnięci przez żony. (…)

Ale Teresa nie narzeka. „Bezludzie" wcale nie takie bezludne. Mieszkańcy odwiedzanych przez nią wsi chętnie zapraszają na obiady lub kolacje. Chcą posłuchać o życiu młodej lekarki, opowiedzieć o swoim. Otwarci są zwłaszcza lokalni nauczyciele, sołtys, proboszcz. U kierownika szkoły czy na plebanii grają w karty, słuchają radia albo sami śpiewają. „Na stepach za dzikim Bajkałem, gdzie złota szukają wśród gór, włóczęga, swój los przeklinając, zmęczony szedł sobie przez bór…" – nuci dentystka, bo w tych okolicznościach rzewna ballada szczególnie jej pasuje.

Często przyjeżdża Tolek. Raz, gdy nie ma pieniędzy na bilety, opyla w desie srebrną papierośnicę: prezent, który dostał na chrzciny, przywieziony jeszcze z Nieświeża. Rodzicom nawet słówkiem o tym nie piśnie. Zwykle tłucze się pekaesem, od przystanku często maszeruje jeszcze kilka kilometrów pieszo. Zupełnie jak ten włóczęga z piosenki. Latem w skwarze, wiosną w błocie, zimą po pas w śniegu. Ale – jak żartuje Teresa – nie ma złej drogi do swej niebogi.

„Doktórka" z narzeczonym poznają ludzi. Na przykład pana Piotrowskiego, repatrianta ze Wschodu. Wykształcony, oczytany, przed wojną miał posiadłość pod Moczyłami. To szczególnie wzrusza Tolka – jego mama, a moja babcia Salomea urodziła się w Moczyłach. Na Mazurach (gdzie – tego rodzice nie pamiętają) pan Piotrowski prowadził gospodarstwo. Wozi młodych bryczką po okolicy, jeździ z nimi konno, fantazji mu nie brak. Przy samowarze opowiada o autochtonach i powojennych osiedleńcach.

Na wakacje zjeżdżają też Genowefa i Zdzisław, bywa, że z małym Mieszkiem i Basią. Wdychają żywiczne powietrze, chodzą na grzyby i poziomki. Zdzisław pływa w jeziorach. Zimą 1962 r. siostrę odwiedza także Hanka. Genowefa dopytuje ją w liście adresowanym na Wilczęta, powiat Pasłęk: „Jak tam twoje ząbki, Haniu? Czy masz już zaplombowane? Czy uczysz się na asystentkę tak jak p. Helena? Napisz dużo o Was wszystkich. Co robicie? Kto wygrywa w pokera?".

Hania, owszem, ząbki ma naprawione, ale zawód siostry czy jej pomocy to nie dla niej. Skończy szkołę, będzie pracowała w sklepie, potem w bufecie na szczecińskim dworcu. Niespokojna dusza wciąż szukająca swojego miejsca. Ostatecznie wyjdzie za Duńczyka, za nim wyjedzie z Polski. Do kraju już nie wróci.

Z kobietami zwykle nie ma problemu. Trzeba borować – dobrze, niech borują, trzeba rwać – też dobrze, spokój będzie.

A Teresa wciąż w drodze. Miesiąc tu, dwa miesiące tam, zależy, ile zębów do naprawy i usunięcia. Do Prątek (powiat ełcki) z tego, co wiem, nie trafi. W przeciwieństwie do Ryszarda Kapuścińskiego.

„Moje urocze dziewczęta z Prątek śmieją się, ale nie jest to śmiech żywiołowy, perlisty i olśniewający, lecz groteskowy, klownowaty grymas śmiechu, przy którym usta rozciągają się od ucha do ucha, ale pozostają szczelnie zaciśnięte, a same trzewia niejako autonomicznie wstrząsają się histeryczną drgawką. One muszą się tak śmiać, ponieważ nie mają zębów, albo ściślej, mają ich kilka, rozstawionych gdzieniegdzie, z rzadka, jak zmurszałe paliki ▸

eprasa.pl 3729f5913c

na opuszczonej przecince – napisze korespondent w „Reklamie pasty do zębów", reportażu opublikowanym w 1962 r. – Całe Prątki nie myją zębów. Prątki żują te schaby spustoszoną nagością dziąseł, a chłopcy mamią starczo kęs kwaszonego ogórka po wypiciu kielicha gorzały. […] prątkowianom nie powiedziano słowa w tej sprawie, a nikt we wsi nie wpadł samodzielnie i spontanicznie na pomysł mycia zębów".

Ewidentnie lotny gabinet jeszcze tam nie dotarł. Gdy kierowca ambulansu odstawia swoją załogę na miejsce, sam wraca do rodzinnego Olsztyna. Od Heleny, zmęczonej długą podróżą, nieraz usłyszy:

– Oj, panie Janku, panie Janku. Dziś to nas pan poobwoził jak Cygan małpy.

Mężczyźni robią uniki. Bywa, że po pierwszym przeglądzie już nie wracają na fotel, a jak wracają, to po dwóch głębszych dla kurażu.

Każdy dzień przynosi coś nowego. A to pacjent z anginą, a to z bólem brzucha czy ucha. W końcu ten z obciętym palcem. Komu można, temu udziela się pomocy medycznej. Dentystka cieszy się w duchu, że do porodu nie wzywają, do cielenia także nie. Ale lubi te wędrówki. Zachwyca się mazurskimi krajobrazami, rozległą, jeszcze niezdeptaną krainą. W Helenie ma doskonałą kompankę, specjalistkę nie tylko od amalgamatów i sterylizacji, ale i zabawnych powiedzonek. Komentarz na wietrzny dzień? „Ależ pani Reniu, wieje dziś jak z psiego nosa!".

W styczniu 1962 r. na adres Prezydium GRN w Perłach przychodzi list od Basi. „Kochana, zapytujesz, jakie mamusia ma zdanie odnośnie Waszego ślubu. Wiesz sama, Teres, że z mamą to różnie bywa. Gdy jest już wszystko dobrze, to nie wiadomo, kiedy nastąpi wybuch".

A planowany ślub Tereni i Tolka (Willego) to istne pole minowe. Genowefa nie poważa narzeczonego najstarszej córki. Student, a więc – jak to malowniczo określa – gołodupiec. Ona ma dla swej Laluni lepszą partię – Gucia. Gucio jest marynarzem, opływa świat i opływa w mamonę. Z ostatniego rejsu przywiózł „mamusi", jak poufale nazywa Genowefę, chiński serwis do herbaty. Razem ustalają już szczegóły wesela. Ale Teresa nie da sobie w kaszę dmuchać. Bez ogródek oświadcza Guciowi, że nie ma u niej żadnych szans, Genowefie grożącej, że na ślub z Willim nie przyjedzie, odpowiada: „Jak mamusia chce".

W wielkanocną niedzielę 22 kwietnia 1962 r. Teresa Radecka i Antoni Kozłowski mówią sobie „tak". Uroczystość odbywa się w oliwskiej katedrze. Panna młoda ma białą rozkloszowaną sukienkę do kolan, niskie szpileczki (rodem z „Do widzenia, do jutra") i krótki welon, pan młody – ciemny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i przedziałek we włosach tak równy, że mógłby służyć za wzorzec w Sèvres. Przyjęcie weselne – w mieszkaniu Salomei i Wilhelma – trwa dwa dni. W lany poniedziałek mieszkanie spływa wodą, buzuje śmiechem. Wśród gości jest i Genowefa. Razem z Salomeą szykowała bankietowe dania: kręciła majonez, skrobała mazurskie ryby, skubała drób. Z Mazur młodzi przywieźli też jajka i całego cielaka. Oczywiście pekaesem!

Potem króciutki tydzień miodowy (młoda para dostaje własny pokój u Kozłowskich) i… powrót na ambulans. (…)

•

Objazdowe gabinety to prawdziwa rewolucja. Do tej pory chore zęby na wsi leczyło się domowymi środkami: płucząc siwuchą, przykładając do policzka gorące okłady z piasku lub zdając się na kowala i jego prymitywne narzędzia: obcęgi czy sprzęt ślusarski. (…)

Ambulanse wiozą nie tylko szansę na zdrowie, ale też powiew cywilizacji i techniki. Część aut to dary z UNRRA, część ze Szwecji, są też auta z Wielkiej Brytanii. „Oddział Szkocki Brytyjskiego Czerwonego Krzyża ofiarował Polsce sześć nowych ambulansów, które przybyły już do Gdyni i wprost z portu zostaną skierowane do Lublina, Olsztyna, Szczecina, Poznania, Kielc i Warszawy", informuje tygodnik „Chłopi i Państwo" w 1949 r.

Większość samochodów (marki Praga) rząd kupuje w Czechosłowacji. W marcu 1949 r. Ministerstwo Zdrowia oddaje cztery nowe objazdowe gabinety stomatologiczne. Auta (...) wyposażone są w najnowszy sprzęt. „Każdy wóz oprócz fotela pneumatycznego z »Unitem« ma lusterko z oświetleniem elektrycznym i kauter (do operacji), ciepłą i zimną wodę, ogrzane powietrze oraz mieści cztery fotele polowe wraz z czterema wiertarkami nożnymi elektrycznymi. Poza tym wozy posiadają szafki na lekarstwa i narzędzia, mają doskonałe oświetlenie boczne i górne. Każdy ambulans zaopatrzony jest w sprzęt umożliwiający pracę równocześnie pięciu lekarzom i dwóm pielęgniarkom", chwali „Służba Zdrowia" z końca 1949 r. (na okładce artykuł „Pracownicy Służby Zdrowia pozdrawiają Wodza obozu pokoju i postępu Generalissimusa Stalina w 70-lecie urodzin").

Jest jednak jedno „ale" – nowe samochody nie mają własnego źródła prądu, dlatego pojadą tylko do województw zelektryfikowanych: poznańskiego, szczecińskiego i śląsko-dąbrowskiego. Jeden wóz pozostanie do dyspozycji województwa warszawskiego.

Wiosna 1950 r. przynosi kolejne cztery wozy, tym razem już – jak to określa dr Bohdan Janowicz, inspektor Departamentu Zaopatrzenia i Farmacji w resorcie zdrowia – „wprost idealne". Znów pochodzą z bratniej Czechosłowacji. Trzy ruszają do pracy w okolicach Katowic, Poznania i Szczecina, czwarty przypada Warszawie. Ambulanse składają się z pięciu kompletnych gabinetów: jeden zamontowany na stałe znajduje się w samym wozie, cztery pozostałe można przenosić z miejsca na miejsce – każdy z nich bez trudu mieści się w dwóch walizach. W jednej spoczywa przemyślnie składany fotel dentystyczny, w drugiej sprzęt: wiertarka elektryczno-nożna, reflektor i reszta narzędzi. Silny facet

eprasa.pl 3729f5913c

Teresa Radecka-Kozłowska (2021 r.) pokazuje zdjęcie z wakacji w czerwcu 1966 r. nad Rudą Wodą, na którym jest z asystentką i przyjaciółką Heleną Treczyńską.

z łatwością przeniesie owe walizy do wybranego budynku (szkoły, świetlicy czy przedwojennego dworku), gdzie załoga ambulansu może pracować jednocześnie na czterech fotelach.

Taki ambulans – co z dumą zaznacza dr Janowicz – posiada własną stację rozdzielczą (opatrzoną orientacyjnymi napisami w języku polskim), agregaty zasilające wóz w prąd, tak że będzie mógł on pracować nawet na głuchej, niezelektryfikowanej wsi. Dodatkowym ułatwieniem jest szczegółowa instrukcja umieszczona w widocznym miejscu, która „pozwala bardzo szybko zaznajomić się z tym skomplikowanym elektrycznym mechanizmem ambulansu". Zadbano również o okna – szyby są rozsuwane, a także zabezpieczone cienką, gęstą siatką, dzięki której można dokładnie przewietrzyć gabinet „bez obawy wtargnięcia do środka much czy innych owadów". Nie bez znaczenia jest piecyk elektryczny (o mocy 1800 watów) – w tych warunkach lekarzowi i jego pacjentom niestraszne mają być nawet śniegi i mrozy.

Ale „najpiękniejszy nawet i najlepiej wyposażony ambulans, ze wszystkimi wyłącznikami elektrycznymi, z samoczynnymi strzykawkami z ciepłym i zimnym powietrzem, gorącą wodą i lśniącym niklem, jest tylko bezdusznym mechanizmem i dopiero para rąk ludzkich, zręcznych świadomych rąk może tchnąć życie w ten mechanizm". A dokładnie osiem par tychże rąk, bo na tyle osób: pięciu lekarzy, dwie sanitariuszki plus kierowca, przewidziany jest ten cud techniki. Tak wyposażone ekipy będą leczyć wyłącznie młode pokolenie. „Państwo Ludowe, troszcząc się o obywatela, słusznie zajmuje się przede wszystkim młodzieżą, gdyż zdrowe i silne dziecko to przyszłość kraju", nie ma wątpliwości dr Janowicz.

Na fotelu kolejno lądują dzieciaki. Próchnica szaleje, bo o myciu zębów mało kto słyszał.

Z początkiem 1951 r. docierają kolejne auta. „W mroźny wieczór sylwestrowy stanęło na stacji obsługi samochodowej Ministerstwa Zdrowia przy ul. Tatrzańskiej osiem wielkich, popielatych wozów ambulansowych marki Praga. Szczęśliwie przebyły trudną trasę z Czechosłowacji do Warszawy po wirażach górskich i szosach nizinnych, brnąc przez zaspy śnieżne i »zarzucając« w czasie gołoledzi. Kierowcy polscy prowadzący ambulanse od granicy doskonale wywiązali się z zadania…". Te pojazdy również wyposażono w pięć foteli – jeden normalny typu „Unit" plus cztery przenośne, do tego wiertarki nożno-elektryczne na 120 i 220 woltów oraz pięć reflektorów. Nowością jest „miniaturowa poczekalnia z obitą dermatoidem pięcioosobową kanapą i zamykaną szafą na garderobę personelu". Zmieścił się nawet stolik składany, przy którym można „wygodnie pisać".

To już czwarta dostawa ambulansów dentystycznych. A przy tym przełomowa. Wędrowne gabinety z bagażnikiem na dachu, „przystosowane do najgorszych dróg", trafią do województw: bydgoskiego, gdańskiego, poznańskiego i lubelskiego. Docierać będą do „najdalszych zakątków wiejskich, uwzględniając przede wszystkim tereny robót sezonowych, oddalone od centrów miejskich spółdzielnie produkcyjne, ośrodki maszynowe i państwowe gospodarstwa rolne". Po raz pierwszy objazdowa pomoc stomatologiczna obejmie nie tylko młodzież (podczas przystanków na trasie między PGR-ami), ale i „świat pracy".

W maju 1951 r. przyjeżdża kolejna ósemka ambulansów typu Praga RN. Trzymają standard: z tyłu kanapa w poczekalni, z przodu wygodne siedzenie dla kierowcy i dwóch osób, w środku gabinet. „Rozmieszczenie szaf, fotela zabiegowego, stolika, krzesełka dla lekarza, wiertarki i reflektora, jest tak racjonalne, że asystentka pracująca przy narzędziach może się swobodnie poruszać", zachwala „Służba Zdrowia". Tu także wóz jest całkowicie zelektryfikowany, zawiera też cztery przenośne fotele wraz z wiertarkami. Można je zainstalować wszystkie razem (o ile w danej miejscowości znajduje się odpowiednio duży lokal), zwykle jednak „fotele przenośne rozrzuca się pojedynczo w szkołach, PGR lub spółdzielniach produkcyjnych". Jeśli we wsi jest już prąd, sprzęt można podłączyć do sieci.

FOT. ALEKSANDRA KOZŁOWSKA, ANTONI RADECKI, ARCHIWUM RODZINNE

eprasa.pl 3729f5913c

Jednak nie wszystko jeszcze lśni i zachwyca. Przedstawiciele wydziałów zdrowia przy prezydiach wojewódzkich rad narodowych, którzy przyjeżdżają po odbiór ambulansów, skarżą się, że wsie zgłaszające zapotrzebowanie na objazdowych dentystów nie zawsze dbają o lokum dla personelu, miejsce, „gdzie [medycy] by mogli – choćby w prymitywnych warunkach – nocować". A przecież robota, jaką mają do wykonania, trwa nieraz całe tygodnie, muszą więc „wypocząć, umyć się i pożywić po pracy nieraz i 12-godzinnej". To dzięki nim pomoc dentystyczna staje się bardziej masowa – ambulanse, których liczba wynosi obecnie około setki, docierają niemal wszędzie.

W 1953 r. objazdowi stomatolodzy mają już do dyspozycji 187 ambulansów. Bezpłatnie leczą dzieci i ludność wiejską, zwłaszcza pracowników PGR, Państwowych Ośrodków Maszynowych (POM) i spółdzielni. Trudno jednak ocenić, jak często lotne ekipy odwiedzają poszczególne osady. Ewelina Szpak jako wskazówkę przywołuje dane z województwa bydgoskiego, gdzie w 1953 r. ruchomy ambulans odbył 602 wyjazdy, w tym do spółdzielni produkcyjnych w mieście 86, do PGR-ów – 219, do wsi nieuspołecznionych – 87. Zawitał też do szkół, leśniczówek, obozów i POM-ów. Czy równie często wyruszały w teren załogi z innych województw? Z braku materiałów trudno orzec.

Każdy dzień przynosi coś nowego. A to pacjent z anginą, a to z bólem brzucha czy ucha. Dentystka cieszy się, że do porodu nie wzywają, do cielenia także nie.

Trzeba wspomnieć o jeszcze jednym – wyjątkowym – ambulansie. To hucznie witany „ambulans przyjaźni". „Wielki dzień przeżyła mała wieś Poręba w województwie warszawskim, odległa 2 km od szosy, a 22 km od miasta powiatowego – Ostrowi Mazowieckiej", ekscytuje się „Służba Zdrowia" w 1956 r. i cytuje kierownika lokalnej szkoły: „Jak tu jestem 27 lat – nie widziałem tak pięknego ambulansu dentystycznego". Kierownik przyznaje, że właściwie to nigdy nie widział pojazdu tego typu, jedynie czytał o nim w gazetach. „U nas we wsi ludzie nie zwracali uwagi na zęby, a jak kogo zabolały, to płukał szałwią. Do dentysty się nie chodziło", mówi kierownik. No i proszę, a tu taka atrakcja. „Pięknie prezentujący się kremowy samochód to jakby mały pałacyk na kołach. Pałacyk zdrowia, podarowany Polsce przez Niemiecką Republikę Demokratyczną na dowód przyjaźni między obu narodami".

Dar przekazał sam ambasador NRD Stefan Heymann, auto i jego załoga już pracują, objeżdżając województwo warszawskie. Porębianie, wystrojeni jak na święto (bo tak tu się traktuje przyjazd „pałacyku"), wchodzą po schodkach do wnętrza. A tam wszystko białe, błyszczące czystością, nowiutkie. „Wygodny fotel, wiertarka nożno-elektryczna, obok butla stalowa z kwasem węglowym, reflektor, wentylator, umywalnia z ciepłą i zimną wodą, aparat do suchej sterylizacji – wylicza M.K., autor relacji. – Nie brakuje też rentgena, a nawet i małej ciemni. Jest też i lampa ciepłowa do nagrzewań w stanach zapalnych".

Na borowanie nie trzeba czekać pod gołym niebem – w ambulansie jest poczekalnia z kanapą i muzyką płynącą z odbiornika dla umilenia czasu. Samochód jest niezależny od sieci – posiada własną „elektrownię-agregat". Personel to dwie młode ekipy (lekarz i pielęgniarka) pracujące na zmianę oraz ekipa techniczna: kierowca wraz z pomocnikiem, a jednocześnie opiekunem agregatu. Załoga już oblicza, ile dzieci będzie mogła wyleczyć, jaki obszar obejmie pomocą. Zajmie się też profilaktyką: pogadanki w szkołach, na zebraniach gromadzkich, „będą chodzić po chałupach i nieść oświatę sanitarną". Województwo warszawskie obsługują już trzy inne wędrowne gabinety, ale żaden z nich nie może się nawet równać z „ambulansem przyjaźni", „chlubą wyposażenia technicznego nie tylko warszawskiego wydziału zdrowia, ale i całego kraju. Piękny dar Niemieckiej Republiki Demokratycznej będzie krzewił zdrowie na polskiej wsi i […] pracował nad utrwaleniem pokoju".

Fragmenty książki Aleksandry Kozłowskiej *Ambulans jedzie na wieś*, Znak, Kraków 2024

eprasa.pl 3729f5913c

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Odkrzyżowanie

Jestem za, a nawet przeciw. Odkrzyżowałbym najchętniej góry, zwłaszcza tę ikoniczną, Śpiącego Rycerza z 17-metrowym pryszczem na nosie, zamontowanym mu z początkiem XX w. przez zakopiańskich górali. Krupówki jako stan ducha – dzisiejsze pandemonium bezguścia i królestwo paździerza – miały swój początek na Giewoncie w 1901 r., kiedy parafianie księdza megalomana pokornie wnieśli na grzbietach to żelastwo i oszpecili panoramę Tatr. Podobnych gwałtów na krajobrazie dokonywały mniej lub bardziej spontanicznie wszelkie ludy podgórskie, w bogobojności swojej szukając ratunku przed grozą nieokrzesanej natury, próbując oswoić szczyty za pomocą dewocjonaliów – ale nigdzie nie dokonano tego w takiej skali jak w Zakopanem.

Jak się człowiek nizinny przygląda z daleka najpiękniejszym turniom tatrzańskim, np. Wysokiej, Krywaniowi czy Gerlachowi, nie ma nawet pojęcia, że te szczyty też ukrzyżowano, bo to raczej krzyżyki niespodzianie wyłaniające się dopiero na ostatnich metrach podejścia. Skądinąd dwuwierzchołkowy szczyt Wysokiej jest doskonale ekumeniczny: na jednym, częściej odwiedzanym, zamontowano krzyż, drugi wieńczy metalowy czekan. Giewont straszy krzyżem z daleka – z bliska wręcz zabija, bo tak wielki piorunochron staje się u szczytu sezonu bronią masowej zagłady dla ciżby turystów, co to się alertom pogodowym nie kłaniali. Dla dobra ludzkości zatem, jako i w duchu ekologicznym, zarządziłbym sprzątanie gór z krzyży – żelazne trzeba by zdemontować, drewniane wystarczyłoby podpalić – dzięki czemu mogłyby dokonać swojego żywota jak hasiorowskie rzeźby plenerowe. Nie jest bowiem krzyżowanie szczytów aktem wiary, lecz zwykłym znaczeniem terytoriów. Dlatego nie różnicuję tu krzyża na Giewoncie, który oznajmia, że Tatry to rewir katolików, od swastyki powieszonej w 1941 r. na wschodniej ścianie Mnicha przez okupantów (głosiła chwałę III Rzeszy przez rok).

Góry nie są kościołem ani Reichstagiem; jak mi kto powie, że nawołując do palenia krzyży obrażam jego uczucia religijne, odpowiem, że moje uczucia estetyczne są równie ważne, a obrażają je krzyże znaczące górski pejzaż. Podobnie potraktowałbym wszelkie nowomodne „ścieżki w koronach drzew", wieże widokowe i inne tego typu atrakcje. Co do ferrat, drabinek i łańcuchów na szlakach – popieram, wszak służą tak czczonej dziś inkluzywności – każdy pasibrzuch może dzięki nim poczuć luft pod nogami i napawać się wielkościanową przygodą; żelastwo, które ułatwia wędrówkę, jest uprawnione, w przeciwieństwie do tego, którym chce się w jarmarczny sposób przypodobać idei boga tandeciarza, co to łaknie błyskotek i pomników swojej chwały.

Jednakowoż do obostrzeń wprowadzanych przez Rafała Trzaskowskiego w stołecznych urzędach żywię niechęć równie szczerą jak do religijnego zawłaszczania gór. Wyczuwam przeciwskuteczność tej decyzji, mam ją za lekkomyślnie radykalną i nie mogę się nadziwić brakowi politycznej intuicji przyszłego kandydata na prezydenta Rzeczypospolitej. Ja rozumiem – w sali sejmowej, w klasach szkolnych, w miejscach użyteczności publicznej obecność krzyża jest nachalna i stoi w sprzeczności ze świeckością państwa, ale jeśli nawet biurko urzędnika ma być wolne od symboli religijnych, to ktoś się zagalopował w lesie i zaraz łomotnie łbem o konar. Idę o zakład, że lwia część tych krucyfiksów wieszanych na ścianach gabinetów lub stawianych na biurkach nie jest nawet przez petentów zauważana, sami urzędnicy zaś traktują je raczej jak totemy: jednym ma przynosić szczęście porcelanowy słonik, innym wiszący Jezusek. To właśnie zakaz Trzaskowskiego nadaje im znaczenie, a nawet powab – oto bowiem zakaz obnoszenia się ze swym kredo prowokuje do tego, by się sprzeciwić. W najlepszym razie żarliwi religijnie pracownicy urzędów będą teraz tak się obwieszać „na użytek własny" dewocjonaliami, że ich wiara będzie eksponowana znacznie wyraźniej niż dotąd, w najgorszym rozpęta się jeszcze jedna wojna polsko-polska, na której jak zwykle zyska PiS. ■

Gwałtów na krajobrazie dokonywały wszelkie ludy podgórskie, w bogobojności swojej szukając ratunku przed grozą nieokrzesanej natury.

NEWSLETTER
ZAPISZ SIĘ
Otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach
Przegląd

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

SMAKUJMY ŻYCIE JAK WŁOSI

Ciao, Bella Gente!

Wiecie pewnie, że we Włoszech jest przede wszystkim głośno i smacznie. Powietrze przepełniają cudowne zapachy i czysta radość. Najważniejsza jest tu gościnność, wypływająca z wrodzonej miłości do innych ludzi. A ją przekazujemy głównie poprzez wspólne ucztowanie. To zwyczaj, który jest bardzo mocno osadzony w naszej kulturze. Moglibyśmy godzinami, dniami i miesiącami rozmawiać tylko o jedzeniu – np. przez cały wieczór rozpływać się nad tym, jak pyszna jest ta wędlinka domowej roboty, przygotowana przez tę jedną konkretną babcię z jakiegoś malutkiego miasteczka, zagubionego pośród rozległych włoskich regionów.

Gdybyście wpadli na kolację do prawdziwego włoskiego domu, zauważylibyście od razu, że nasze życie naprawdę kręci się wokół jedzenia. Nie zorientowalibyście się nawet, że siedzicie przy stole już drugą lub trzecią godzinę i dalej jecie przeróżne smakołyki. Nie macie pojęcia, skąd one się biorą, ale po prostu są, wciąż pojawiają się na Waszych talerzach i nie pozostaje Wam nic innego, jak cieszyć się tym razem z resztą biesiadników. Ucztę dopełniają jeszcze pyszny likier lub dobrze dobrane wino. Po skosztowaniu tych wszystkich dobroci odpoczywamy, rozmawiamy o wszystkim i staramy się niczym nie przejmować. I tak upływa czas na tym naszym *dolce far niente*. My naprawdę celebrujemy jedzenie i wspólnie spędzany przy nim czas!

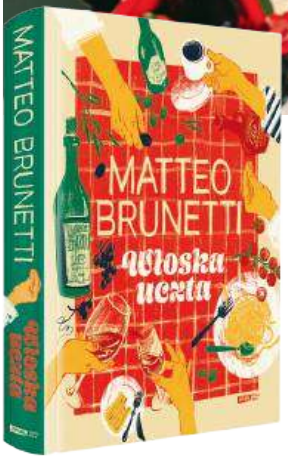

MATTEO BRUNETTI – urodzony w Rzymie popularny kucharz, twórca internetowy i prezenter telewizyjny. Finalista szóstej edycji programu „MasterChef". Ambasador włoskiej kuchni, kultury i tradycji. Częsty gość popularnych programów telewizyjnych, radia, mediów drukowanych i elektronicznych. Publikuje na YouTubie, Instagramie i TikToku, gdzie zgromadził już ponad 1 mln obserwujących. W angażującej i zabawnej formie wideo dzieli się autorskimi przepisami z kuchni włoskiej i udziela praktycznych porad dotyczących gotowania. Nakładem wydawnictwa Znak Literanova ukazała się właśnie jego pierwsza książka kucharska „Włoska uczta".

FOT. MICHAŁ LICHTAŃSKI

eprasa.pl 3729f5913c

MOZZARELLA W KAROCY KOPCIUSZKA

Myślę, że to jedno z najpyszniejszych dań włoskiego street foodu. Mozzarella in carrozza, czyli – jak w tytule – mozzarella w karocy. Dziwna nazwa, ale co z tego, skoro danie jest przepyszne! Powiedziałbym, że to jedzenie stworzone dla miłośników tostów, bo jest w nim tost do kwadratu. Będzie on idealnie chrupiący na zewnątrz, z fantastycznie ciągnącym się serem w środku. A całość obtoczona w pysznej panierce i smażona w głębokim oleju!

Składniki na 4 tosty:
8 kromek chleba tostowego
2 jajka
50 ml mleka
bułka tarta
3 mozzarelle
4 plastry prosciutto cotto
1 l oleju – do smażenia
sól, pieprz
Opcjonalnie:
4 filety anchois
4 liście świeżej bazylii

Przygotowanie:
1. Pokrój mozzarellę w plasterki. Od chleba tostowego odkrój wszystkie brzegi, nie będą potrzebne. Do jednej miski rozbij jajka, dodaj mleko i dobrze wymieszaj. Do drugiej miski wsyp bułkę tartą.
2. Na jedną z kromek chleba połóż trochę mozzarelli, trochę prosciutto cotto oraz opcjonalnie listek bazylii i filet anchois. Przypraw lekko solą, pieprzem i przykryj drugą kromką chleba.
3. Dociśnij mocno tost, żeby był bardzo płaski. Obtocz go teraz w jajku, tak żeby go dobrze nasączyć. Dociśnij jeszcze raz brzegi tostu. Obtocz go w bułce tartej. Następnie smaż na głębokim oleju w 170 st. C w wysokiej patelni lub garnku. Smaż do momentu, aż tost będzie złoty.
4. Wyciągnij go z tłuszczu i przypraw jeszcze solą. Na koniec popieprz, bo kto nie lubi.

Mozzarella in carrozza może mieć wiele smaków. Spróbujcie dodać do niej trochę sosu bolognese albo zrobić turboserową wersję z mozzarellą, parmigiano i serem scamorza.

LEGENDARNA PARMIGIANA

Parmigiana – jedna nazwa, jedna legenda. Pomimo że brzmi prawie identycznie jak ser parmigiano, to głównym składnikiem tego dania jest nie ser, ale bakłażan! W tradycyjnym przepisie smaży się go na głębokim oleju, co oznacza, że wchłania bardzo dużo tłuszczu. W mojej wersji będziemy bakłażan grillować. Nie dość, że będzie bardziej fit, to jeszcze smak, dzięki grillowaniu, stanie się ciekawszy.

Składniki na 4 porcje:
1 cebula
1 l passaty pomidorowej
1 garść świeżej bazylii
1 łyżka miodu
3 bakłażany
500 g mozzarelli
100 g sera parmigiano
oliwa z oliwek
sól, pieprz

Przygotowanie:
1. W rondelku zeszklij na oliwie drobno posiekaną cebulę. Wlej do niej passatę pomidorową i od razu dodaj bazylię oraz miód. Przypraw solą i pieprzem. Zredukuj o jedną trzecią.
2. W międzyczasie pokrój bakłażan w plastry o grubości 1 cm i zgrilluj go na patelni grillowej (jeśli takiej nie masz, możesz zrobić to na zwykłej suchej patelni, uważając, żeby bakłażan się na niej nie spalił, a jedynie ładnie przyrumienił). Pokrój mozzarellę w kostkę. Zetrzyj na tarce parmigiano.
3. W brytfance poukładaj warstwami: passatę pomidorową, bakłażany, mozzarellę, parmigiano. Ostatnia warstwa powinna składać się z passaty i parmigiano, aby podczas pieczenia powstała krucha skorupka.
4. Piecz przez 40 minut w piekarniku ustawionym na 200 st. C (program góra-dół).

PS Po upieczeniu najlepiej poczekaj ok. 15 minut, żeby danie wystarczająco przestygło przed podaniem. Ten sam przepis możecie wykonać z grubymi plastrami cukinii zamiast bakłażana.

PISTACCHIO CHEESECAKE

Ten sernik nie potrzebuje pieczenia, wyrabiania i nie ma w nim jajek. Robi się niemal sam, bez żadnego wysiłku. Brzmi za pięknie, żeby było prawdziwe? Och, spróbuj go zrobić, a potem pogadamy. Każda osoba, która wypróbowała ten sernik, potwierdziła, że jej życie zmieniło się na lepsze. Wygląda więc na to, że to przepis na sernik i przepis na szczęście! Ale uwaga! Jeśli zrobicie go chociaż raz, to ściągniecie na siebie klątwę – już żaden inny deser pistacjowy nie będzie Wam smakował.

Składniki na 6 porcji:
220 g herbatników
100 g rozpuszczonego masła
250 g mascarpone
100 g cukru pudru
400 ml śmietany 30%
150 g miazgi pistacjowej
200 g kremu pistacjowego
2 garście pistacji – do podania

Przygotowanie:
1. Zblenduj herbatniki na pył, a następnie połącz je z rozpuszczonym masłem, cały czas mieszając. W okrągłej formie (o średnicy 20-22 cm) ułóż z tego spód, stwórz też wysokie brzegi. Włóż formę do lodówki na 30 minut.
2. W tym czasie do dużej miski włóż mascarpone, cukier puder oraz śmietanę i ubij, aż masa będzie puszysta. Dodaj do niej miazgę pistacjową i znów ubij na jednolitą masę.
3. Przełóż puszysty krem do formy. Następnie wyłóż na niego krem pistacjowy i rozsmaruj go po całości. Brzegi udekoruj posiekanymi pistacjami. Sernik włóż do lodówki na minimum 6 godzin, żeby całość dobrze stężała.

Uważajcie na to, żeby nie ubijać zbyt długo masy, bo się Wam rozbije. Idealna będzie w momencie uzyskania konsystencji podobnej do crème pâtissière. Ja zostawiam sernik w lodówce na 12 godzin i właśnie po takim czasie ma on najlepszą teksturę, ale możecie go zjeść też od razu, jeżeli nie jesteście w stanie wytrzymać!

FOT. ANNA GRUDZIŃSKA-SARNA/JEDZENIE JEST PIĘKNE

eprasa.pl 3729f5913c

Panie gwiżdżą na panów

W piłce nożnej trwa pełzająca rewolucja z gwizdkiem w ustach

Sędzia Maria Sole Ferrieri Caputi symbolizuje zmiany we włoskiej piłce.

Mateusz Mazzini

Niedzielne popołudnie 26 kwietnia było w Mediolanie aż nazbyt leniwe. Wprawdzie o godz. 12.30 mecz rozgrywał nowo koronowany mistrz Włoch, Inter Mediolan, jednak w mieście, a nawet na trybunach stadionu w dzielnicy San Siro, trudno było się dopatrzyć sygnałów rozgorączkowania. Przez cały sezon, kiedy Inter albo współgospodarz obiektu, AC Milan, wybiega na murawę, na trybunach wrze. Nie tym razem jednak, głównie dlatego, że zaplanowany na ten dzień mecz z Torino był, przynajmniej matematycznie, bez znaczenia. Gospodarze już zapewnili sobie mistrzostwo, goście od dawna nie mają szans na sukcesy. To zawody, które po prostu trzeba rozegrać. Włosi mają nawet na takie mecze specjalne określenie, calcio di spiaggia, piłka plażowa – co ma przywodzić skojarzenia z letnim relaksem, a nie sportem na najwyższym szczeblu. Piłkarze zresztą dostosowali się tego dnia do trybun i ogólnie sennego nastroju, kopiąc piłkę tak leniwie, jak to było możliwe.

Trójka sędziowska

Mimo to spotkanie Interu z Torino przeszło do historii piłki nie tylko włoskiej, ale i europejskiej. Po raz pierwszy bowiem od powstania w 1898 r. ustandaryzowanych rozgrywek piłkarskich na Półwyspie Apenińskim mecz prowadziła trójka sędziowska złożona wyłącznie z kobiet. Głównym „gwizdkiem" meczu była Maria Sole Ferrieri Caputi, której wzdłuż linii bocznych pomagały Francesca Di Monte oraz Tiziana Trasciatti. Już wcześniej zdarzało się we Włoszech, że kobiety sędziowały mecze, ale nigdy nie zajmowały one wszystkich trzech miejsc w obsadzie. Sama Ferrieri Caputi zapisała się w historii już w 2022 r., jako pierwsza kobieta pełniącą funkcję sędziego głównego w meczu Serie A,

FOT. IPP/REPORTER

eprasa.pl 3729f5913c

najwyższej włoskiej klasy rozgrywkowej. Wtedy jednak w skład jej zespołu wchodzili mężczyźni. Od tego czasu gwizdała na tym poziomie sześć razy, zbierając raczej pochlebne recenzje. Po historycznym meczu Interu z Torino spadła na nią wprawdzie fala krytyki za zbyt pochopne odgwizdywanie fauli, przesadzoną czerwoną kartkę dla zawodnika gości i ogólne sprzyjanie gospodarzom, ale prawda jest taka, że Ferrieri Caputi nie zrobiła w ciągu tych 90 minut niczego karygodnego. Co więcej, na tle innych błędów sędziowskich z trwającego wciąż sezonu jej uchybienia można uznać za marginalne.

Ale i tak po zakończeniu spotkania włoski internet zalały komentarze o łatwiej do przewidzenia treści. Choć niejeden mężczyzna prowadzący w tym roku mecze Serie A dopuścił się ogromnych błędów – i to pomimo coraz większego wsparcia technologicznego – kobiety natychmiast zostały odsądzone od czci i wiary za ich styl gwizdania. Na profilach społecznościowych „La Gazzetta dello Sport", najważniejszego medium sportowego w kraju, zaroiło się od opinii uznających Ferrieri Caputi za „zbyt miękką", „bojaźliwą", „nienadającą się do sportu dla mężczyzn". Te komentarze i tak należą do lżejszych, bo lwia ich część to po prostu ocean wulgarnego, agresywnego seksizmu. O tyle zbędnego, że, jak pokazuje przypadek trójki sędziowskiej z kwietniowego spotkania w Mediolanie, w piłce nożnej zaczęła się powolna, ale trwała zmiana, kwestionująca dotychczasowe hierarchie i struktury boiskowej władzy. Zmiana, której wysyp obelg na Instagramie raczej już nie powstrzyma.

Mówi o tym sama Maria Sole, o której władze ligi włoskiej zrobiły nawet krótki film dokumentalny „Dzień w słońcu". To gra słów odnosząca się do imienia sędzi – Sole oznacza po włosku słońce. 33-letnia Włoszka opowiada historię banalną, miejscami ckliwą. Pierwszy mecz narodowej reprezentacji obejrzany w telewizji, pielgrzymki na najbliższy stadion, miłość od pierwszego wejrzenia. Szkolne wypracowania w całości poświęcone tematom okołopiłkarskim. Tak o swoim dzieciństwie mogłyby opowiedzieć miliony Włochów, w tym wiele małych dziewczynek. Ciekawie w filmie zaczyna się robić znacznie później. Ferrieri Caputi z nutką żalu w głosie przyznaje, że „grała w piłkę, kiedy tylko mogła, choć nie nalegała za bardzo, by to robić". Tę narrację wzmacnia wypowiedź matki, przyznającej z rozbrajającą szczerością, że „pomysł zostania piłkarką i uprawiania sportu zawodowo przez córkę bardzo się jej nie podobał". Wprawdzie zaraz potem dodała, że „nie stawiała jej zakazów ani ograniczeń", ale z tych kilku prostych wypowiedzi wyłania się obraz, który można potraktować jako refren wielu historii o dziewczynkach biegających za piłką. Nawet we Włoszech, kraju rozkochanym w futbolu do granic możliwości, związek młodej dziewczyny z tą dyscypliną sportu na poziomie zawodowym wydawał się w najlepszym wypadku głupim marzeniem, w najgorszym – ryzykowną ścieżką mogącą spowodować zaprzepaszczenie pozostałych szans życiowych.

Ferrieri Caputi walczyła jednak nie tylko z patriarchalnym stereotypem, ale też z samą sobą – choć może w tym przypadku jedno napędza drugie. W dokumencie przyznaje się bowiem, że bardzo długo samoograniczała się, w pewnym sensie robi to nawet teraz, sędziując w najwyższej klasie rozgrywkowej: „Długo nie miałam odpowiednich cech, żeby pracować w meczach Serie A". Zaraz potem tuszuje to, opowiadając, jak uczyła się te ograniczenia przełamywać, jak doszła do miejsca, o którym nawet nie śniła. Wreszcie w filmie następuje triumfalny finał: 31-letnia wówczas kobieta wychodzi na murawę stadionu, rozpoczyna sędziowanie meczu Sassuolo-Salernitana. W końcówce produkcji pojawiają się komentarze piłkarzy, trenerów i działaczy, którzy dyplomatycznie wypowiadają się na temat pracy sędzi, mówiąc, że płeć arbitra nie ma dla nich znaczenia albo że to nowa rzeczywistość, do której wszyscy muszą się przystosować. Czy aby na pewno?

Piłkarska prawda

Symboliczna sytuacja z Mediolanu, jeśli wpisać ją w szerszy kontekst roli płci w zawodowym sporcie, przypadła bowiem na moment przełomowy. Oto na wielu płaszczyznach kobiety zaczynają coraz aktywniej domagać się swoich praw, rozpychać się łokciami, a nawet zrównywać z mężczyznami – jak Maria Sole na włoskich boiskach. Najwięcej sporów wywołują oczywiście dyskusje o pieniądzach. Ułamek tego, co koledzy z męskiej kadry, zarabiały dotychczas piłkarki reprezentacji narodowej Stanów Zjednoczonych, a przecież spisują się nieporównywalnie lepiej – od lat stanowią ścisłą globalną czołówkę, zbierając medale seriami. Po drugiej stronie oceanu, w Hiszpanii, a więc kraju aktualnych mistrzyń świata, piłkarki zorganizowały nawet dwutygodniowy strajk na początku bieżącego sezonu, protestując przeciwko śmiesznie niskiej płacy minimalnej w żeńskim futbolu. Wynosiła ona wówczas 16 tys. euro rocznie, co odpowiada mniej więcej tygodniowym zarobkom przeciętnego piłkarza w lidze męskiej. W tle trwającego na różnych poziomach konfliktu między zawodniczkami a hiszpańską federacją wybrzmiewa wciąż nierozwiązana sprawa Luisa Rubialesa, byłego już szefa związku, który w czasie ceremonii wręczenia medali na mistrzostwach świata wymusił pocałunek na piłkarce Jenny Hermoso.

Ale sędziowanie to mimo wszystko osobna kategoria. Głównie dlatego, że dzieje się na boisku, a więc w trakcie najważniejszego aktu

Piłkarze i trenerzy dyplomatycznie wypowiadają się o sędzi Marii Sole Ferrieri Caputi, mówiąc, że płeć arbitra nie ma znaczenia albo że to nowa rzeczywistość.

eprasa.pl 3729f5913c

uprawiania tego sportu. Poza tym sędzia to autorytet, przynajmniej powinien nim być, nie tylko z racji przepisów. I tu doskonale widać, że Ferrieri Caputi i inne kobiety sędziujące zawodową piłkę mimowolnie wkroczyły na ruchome piaski. O futbolu można bowiem powiedzieć wiele rzeczy, ale trzeba zacząć od tego, że jest to sport szalenie nieprecyzyjny, wręcz niedoregulowany. Co prawda, postęp technologiczny, wprowadzenie analizy wideo w ramach systemu VAR, a nawet używany m.in. we Włoszech system półautomatycznego wykrywania spalonego, zmniejsza ryzyko popełnienia kardynalnego błędu, ale na końcu tego procesu decyzyjnego zawsze jest człowiek. W tej grze zasady podlegają w dużej mierze otwartej interpretacji, już w trakcie meczu. To zadanie sędziego – i od tego, jak to zrobi, zależy w sporej części dalszy przebieg rozgrywki.

Dla wielu może to zabrzmieć trywialnie, ale słynne powiedzenie, że sędzia musi sobie zawodników „ustawić", jest czystą prawdą. Nie zawsze da się jasno określić, czy doszło do faulu, czy był to faul ostry lub bardzo ostry, czy wprawdzie bolesny, ale nieintencjonalny kontakt fizyczny. W dodatku istnieje w futbolu kryterium oceny sędziów związane z ich zdolnością do opanowania sytuacji na boisku. Nawet na najwyższym szczeblu w miarę regularnie dochodzi do spięć, wymiany wyzwisk, ba, kilkuosobowych bójek. Już sam fakt ich zaistnienia jest kamyczkiem do ogródka arbitra, bo często delegaci techniczni z federacji, którzy oceniają jego pracę, uznają to właśnie za wpadkę. Rozumowanie jest dość banalne. Jeżeli kilku młodych facetów rzuci się sobie do gardeł, odpowiedzialność ponosi arbiter, bo ewidentnie nie dał im do zrozumienia, jakie mogą ponieść konsekwencje. Nawet jeśli szybko ich rozdzieli, w wielu przypadkach mleko już się rozlało.

Żeby kobiety mogły na stałe zagościć na boiskach męskich rozgrywek, potrzeba zmiany myślenia w całej dyscyplinie.

Świat się nie zawali

W meczach, które sędziowała Ferrieri Caputi, do takich sytuacji nie dochodziło, inna sprawa, że nie były to mecze wielkiej wagi. Co jednak zrobiłaby, gdyby musiała rozdzielać bójkę? Ona zachowałaby się profesjonalnie, ale czy piłkarze poszliby za jej wskazówkami? Czy dostosowaliby się do jej sędziowskiego metrum?

W tym pytaniu w ogóle nie chodzi o kobietę z gwizdkiem, tylko o reagujących na nią facetów. Bo futbol to sport popularny, prestiżowy, z wielkimi pieniędzmi, ale też złożony, kontaktowy i zbiorowy. Potrzeba w nim współpracy między sędziami i zawodnikami, głównie dlatego, że jedynie tak można skutecznie egzekwować zasady tej gry. Najlepszymi arbitrami zatem są mężczyźni stanowczy, czasami wręcz sprawiający wrażenie przemocowych wobec graczy – jak swego czasu Włoch Pierluigi Collina, a dzisiaj Polak Szymon Marciniak, rozjemca ostatniego finału mistrzostw świata. Trudno się spodziewać, by podobny styl sędziowania przyjęły kobiety, żeby więc ich obecność była trwałym i równorzędnym elementem, potrzeba czegoś więcej niż dobrodusznych historyjek i pojedynczych meczów o pietruszkę na koniec sezonu.

Żeby kobiety mogły na stałe zagościć na boiskach męskich rozgrywek, potrzeba zmiany myślenia w całej dyscyplinie. Dzisiaj jest w niej duszno i ksenofobicznie, w Europie na wysokim szczeblu gra raptem jeden wyoutowany gej, Czech Jakub Jankto. Wokół futbolu powstał cały system toksycznej męskości, seksizmu. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest model oparty na sile i stanowczości, a nie na autorytecie wynikającym z pozycji i eksperckiej wiedzy. Dlatego historia Ferrieri Caputi może się okazać kontrproduktywna. Bo dziś 33-letnia Włoszka może zostać w ten sposób zredukowana do listka figowego, atrakcji, która ciekawi, ale w całej dyscyplinie nie zmienia absolutnie niczego. Jedna kobieta z gwizdkiem nie wywoła rewolucji, bo świat męskiej piłki jest na to po prostu za duży.

Nie znaczy to, że jej karierę należy deprecjonować – wręcz przeciwnie, trzeba ją nagłaśniać. Tak bardzo, żeby inne dziewczyny poszły w jej ślady. Co bowiem wydarzyłoby się, gdyby któregoś dnia wszystkie mecze we włoskiej lidze poprowadziły trójki sędziowskie złożone wyłącznie z kobiet?

Nic by się nie stało. Rozegrano by 10 spotkań w ciągu jednego weekendu. Ktoś by przegrał, ktoś by wygrał, ktoś poskarżyłby się na sędziego dziennikarzom na konferencji prasowej. Dla niektórych kibiców mecz zakończyłby się sukcesem, inni doszukiwaliby się spisku i ustawki. A potem, siedem dni później, wszystko zaczęłoby się od nowa. Chociażby dlatego nie ma co czekać z masowym dawaniem kobietom gwizdków. Świat od tego się nie zawali, a może nawet trochę się ucywilizuje.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3729f5913c

MSZ na wojnie

No to mamy wojnę o ambasadorów. Minister Sikorski zgłosił Jacka Najdera na stanowisko stałego przedstawiciela Polski przy NATO. To dobry wybór, Najder był już ambasadorem przy NATO, w latach 2011-2016. Nic więc dziwnego, że sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych tę kandydaturę zaakceptowała. Ale chwilę potem prezydent Duda ogłosił, że ambasadorskiej nominacji Najderowi nie podpisze.

Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. „Polskę przed NATO reprezentuje przede wszystkim prezydent RP. Ja oczekuję, że to ja będę przedstawiał premierowi kandydata na polskiego ambasadora w NATO, jako że również chcę mieć osobę, z którą będzie mi się dobrze współpracowało w tej międzynarodowej instytucji tak ważnej dla bezpieczeństwa Polski", powiedział Duda.

Mamy oto zapowiedź nie tylko kryzysu w sprawie ambasadorów, ale i kryzysu na linii premier-prezydent. Andrzej Duda wyraźnie bowiem powrócił do sięgającej czasów Lecha Wałęsy koncepcji resortów prezydenckich. Zredukował ją, ale zarezerwował sobie prawo do głównych decyzji w kontaktach z NATO. Zresztą sygnał, że takie są jego ambicje, dostaliśmy całkiem niedawno, gdy prezydent ogłosił, że Polska będzie aspirowała do programu nuclear sharing, czyli będzie chciała posiadać amerykańską broń atomową na swoim terytorium.

Nie ma wątpliwości, ambicje Dudy, by być w sprawach obronności głównym rozgrywającym, prowadzą bezpośrednio do konfliktu z premierem. Do awantur o pamiętne krzesło itd. Będzie się działo.

Zresztą już się dzieje. Każdy na świecie przecież wie, że za polską armię i polski przemysł zbrojeniowy odpowiada rząd, który prowadzi politykę zagraniczną i obronną. Rola prezydenta jest tu bardzo ograniczona. Efektem wojny o ambasadora będzie zatem prosty ruch – pomijanie go w ważnych kontaktach z polskim rządem. Bo, jak jednoznacznie wynika z czwartkowej awantury, obecny ambasador Tomasz Szatkowski, którego tak broni Duda, nie cieszy się zaufaniem premiera i ministrów. Oni go nie chcą.

Poza tym ciągną się za nim stare sprawy, o których swego czasu mówiła w Sejmie Joanna Kluzik-Rostkowska. Że był „fundatorem i założycielem Narodowego Centrum Studiów Strategicznych. To centrum w pewnym momencie sprawiło ministrowi obrony narodowej wielki kłopot. Otóż w 2016 r. wyszły na jaw bardzo niejasne związki osób z Narodowego Centrum Studiów Strategicznych z Rosją. Przypomnę, że jednym z szefów centrum był Jacek Kotas. To on sprawił główny kłopot, ale pana nazwisko też w tym kontekście występuje. Jedną z osób, które tworzyły koncepcję wojsk ochrony terytorialnej był płk Gaj, znany z tego, że jest proputinowski w polityce wobec Ukrainy. Było to do tego stopnia kłopotliwe dla MON, że minister Macierewicz, kłamiąc, wprost pisał, że ludzie z NCSS nie mają żadnych związków z ministerstwem, w którym pan wtedy był wiceministrem".

A teraz spójrzmy na sprawę z drugiej strony. I premier, i szef MSZ wiedzieli dobrze, jakie jest stanowisko Dudy. Że nie chce Najdera. O tej kandydaturze mówi się przecież od paru miesięcy, prezydent poprzez swoich urzędników wypowiedział się na ten temat wiele razy. A jeżeli tak, to dlaczego wrzucili ją do Sejmu? Wiedząc, że będzie awantura? Chcieli tego, prawda? To z kolei nie najlepiej o nich świadczy.

Attaché

Sułtannik himalajski wrócił do dziupli, by nakarmić swoje dzieci. Rajarhat, Indie.

FOT. SOLENT NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl 3729f5913c

JOLKA

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- do niej list lub wiersz
- autor złotych myśli
- niewielka budowla ogrodowa
- mieszka nad Tamizą lub Avonem
- z zacieru ryżowego lub daktylowego
- drzewo iglaste z puszczy brazylijskiej
- bije wszystkie karty
- gdy urządzenie uszkodzone
- sucha łodyga
- podstawa filara, kolumny
- młode buraczki
- intruz na rabacie
- szybko strzygą ciszę w ciepłym klimacie
- duży gwóźdź z szeroką główką
- firmowe – specjalność restauracji
- z dużej chmury czasem mały
- dzieło dzięcioła
- o samochodzie na prąd
- wyjechał z ojczyzny
- szal lub pelerynka z futra
- charakterystyczna powierzchnia czegoś
- ...słów – kalambur
- Palpatine z „Gwiezdnych wojen”
- dowcipniś, żartowniś
- „...królów” w TVP
- srebrne pasma na choince
- wyraz jako jednostka systemu językowego
- piroluzyt jego rudą
- złoty na najwyższym stopniu podium
- włodarz Paryża lub Lwowa
- atrakcja Sopotu i Międzyzdrojów
- z Monte Carlo
- w lampie Łukasiewicza
- dane co do położenia obiektu
- tęsknota za ojczyzną
- propagowanie chodzenia nago
- metalowe wzmocnienie kufra
- znak, zapowiedź z łaciny
- jej oko w trójkącie
- pięknie przemawia
- sprawdzał na sobie królewskie napoje
- przewrót wojskowy
- ugrupowanie o wstecznych poglądach
- zachęta na bilbordzie
- tylna część statku
- praw dziecka lub praw obywatelskich
- publiczna rywalizacja poetów performerów
- wyciskany z owoców
- kotlet po wiedeńsku
- potrzebna po zmywaniu
- siedzi na nim leń u Brzechwy
- maszynowy – do przekazywania komend maszynowni statku
- Annasz dla Kajfasza
- droga przez górę
- atakuje organizm lub komputer
- np. Stromboli
- umieszczanie nasion w gruncie
- tył dużego zwierzęcia
- Kronborg lub Camelot
- w parze z szufelką

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1171”. Do rozlosowania książki „Włoska uczta” ufundowane przez Społeczny Instytut Wydawniczy Znak. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 2 czerwca 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1168” z nr. 19: *Od jednego ciosu drzewo nie pada*.
Nagrody otrzymują: Aleksandra Biernat z Warszawy, Anna Dymalska z Wrocławia, Krystyna Wiśniewska z Bełchatowa.

eprasa.pl 3729f5913c

ALBO-ALBO

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.

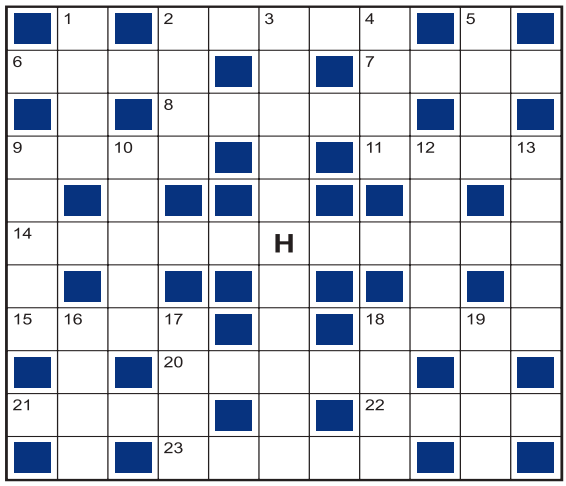

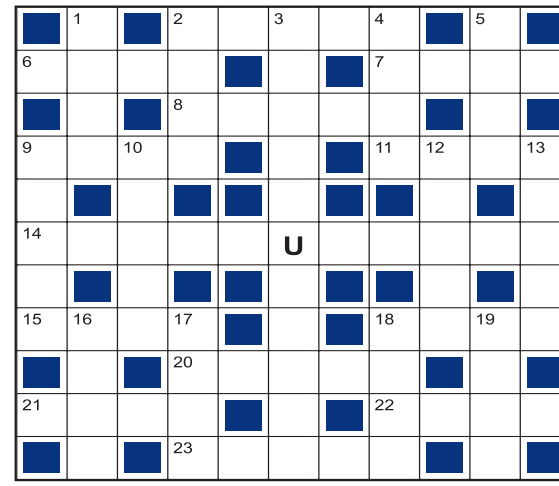

Poziomo:
2) kuchenna siekierka do siekania ■ klej do papy
6) polana na opał ■ ...Centrum: Wars, Sawa, Junior
7) krzywonosa wśród ptaków ■ manewr uchylenia się
8) Katmandu jego stolicą ■ ...stanu cywilnego
9) służył do narkozy ■ część łącząca rękę z tułowiem
11) zbieg okoliczności ■ surowiec na benzynę
14) uroczyste rozpoczęcie ■ wąż z kołatką na ogonie
15) Dymna lub Jantar ■ kamień w pasy
18) grecki bóg miłości ■ wafel z ciasta naleśnikowego
20) dzieło literackie, muzyczne ■ łagodzi wstrząsy pojazdu
21) ojczyzny lub Abrahama ■ pies gończy
22) coś na ząb z żaby ■ jaki pan, taki on
23) żart, figiel ■ Geronimo lub Winnetou

Pionowo:
1) ...Roberts, romansopisarka ■ miedziany w kablu
2) wawrzyn ■ warstwa zaprawy na ścianie
3) masa do wyrównywania uszkodzeń ■ schronienie, bezpieczny kąt
4) relikwii, przodków, jednostki ■ klatka filmu
5) daszek z wyciągiem nad kuchnią ■ ogon cietrzewia jak instrument
9) imię śpiewaczki Sokorskiej ■ kabaret z Janem Kaczmarkiem
10) toruńskie włókno ■ śmiałość, rezolutność
12) rzucany gumowy pierścień ■ imię architekta Niemeyera
13) ...Wielki, syn Telamona ■ kładzie się na gwoździach
16) ścinać z nich – powalać ■ Złoty wręczany, Srebrny na niebie
17) ślady zwierzęcia ■ otaczający, panujący nastrój
18) kawałki cegły, muru ■ karetka reanimacyjna
19) imię królów norweskich ■ obrączkowana nazywana nerpą

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

	5	9	2		1	8		4
	6	2		5				1
3		1			7	2	5	
				9	3			
						1	2	
4				2			9	5
	1	3			6			
		4				5		3
	9	7	3	1	4	6		

ŚREDNIE

		5	7			2		
		2	4		9		3	
	7						4	
	9	4	3				2	
		6		8				3
3	8					6		
5					3	1		8
7	3	8	9					
4								

TRUDNE

		9		6		5	7	
		4		9				
7		2		1				9
			9				5	
3			1					2
9	8					6		
		3						
	7						8	6
	2		5	7	3		4	

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl Leopolda Staffa.

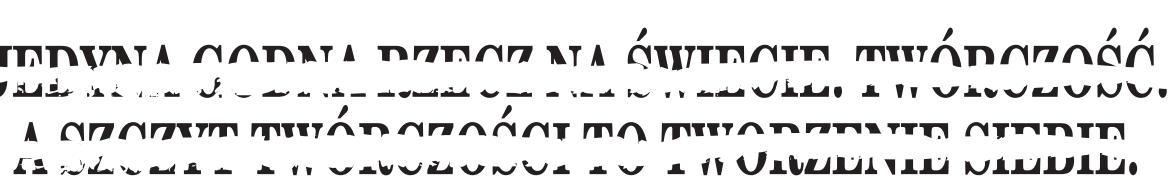

Rozwiązania na s. 65

eprasa.pl 3729f5913c

PENETRACJE

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Czy po Gazie ktokolwiek może jeszcze opowiadać banialuki o tym, jak to Zachód wspiera Ukraińców, bo broni demokracji, prawa do samostanowienia i ogólnie wolnego świata? Czy przypadkiem całe to wsparcie nie jest zwykłym korzystaniem z okazji, by osłabić geopolitycznego rywala? Skądinąd coraz wyraźniej widać, że Stany szukają sposobu, aby się wycofać ze wspierania Ukraińców, bo mają ważniejsze wojny do rozegrania – i to niezależnie od tego, kto wygra wybory w listopadzie. Już to przecież robią. Nie jest przypadkiem, że właśnie teraz Ukraińcom doskwiera brak amunicji. Dlaczego tak się dzieje? Bo dziesiątki tysięcy amerykańskich rakiet, pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych, które mogłyby pomóc zatrzymać armię rosyjską, służą dziś Izraelowi do masakrowania ludności Strefy Gazy. Takie są właśnie amerykańskie priorytety.

Tygodnik ANGORA

JANINA OCHOJSKA,
PREZES POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ

Gdybyśmy zgodzili się na relokację w 2015 r., kiedy Bruksela nam to proponowała, to dziś nie musielibyśmy w niektórych dziedzinach sprowadzać tylu pracowników z Azji. Te 7 tys. Syryjczyków, którzy mogli wówczas do nas trafić, to w znacznym stopniu byli ludzie wykształceni albo biegli w konkretnych zawodach. Nie rozumiem, jak mój kraj, który mieni się krajem solidarności, broni się rękami i nogami przed relokacją, tłumacząc, że przyjęliśmy uchodźców z Ukrainy i nigdy nie mieliśmy kolonii.

na szczycie

ELIZA KUBARSKA,
REŻYSERKA FILMU „OSTATNIA WYPRAWA"

Mnie coraz bardziej boli obraz Wandy Rutkiewicz stworzony przez część środowiska górskiego. Po latach spędzonych z pudłami pełnymi rzeczy po Wandzie widzę zupełnie inną osobę niż przedstawiana w środowisku. Oczywiście jest osobą dążącą do celu, z duszą sportowca. Przecież nie znalazła się przypadkiem na K2 przed wszystkimi i nie przypadkiem na tę górę weszła i bezpiecznie zeszła. Posiada wszystkie cechy dobrego sportowca. Tymczasem gdy mamy zawodników z takimi samymi cechami charakteru jak Wanda, ale są mężczyznami, postrzega się ich zupełnie inaczej – jako wspaniałych, pewnych siebie, wiedzących, czego chcą w życiu. Intrygujący mężczyźni, którzy zostawiają w domu rodziny, czego Wanda nigdy nie zrobiła, bo tej rodziny nie miała. A mimo to tworzono jej negatywny obraz.

Twój STYL

MAGDALENA POPŁAWSKA,
AKTORKA

Miałam rozmowę z moją ośmiolatką, że bycia mamą nikt nas nie uczy. Popełniamy błędy i pogodziłam się z tym. Jestem niekonsekwentna. Konsekwencja jest trudna w moim nieprzewidywalnym zawodzie – plan co chwilę się zmienia, czasem dopiero wieczorem dowiaduję się, że pracuję nazajutrz. Mój charakter też nie pomaga. Niełatwo być matką, a chyba jeszcze trudniej przy takim trybie pracy. Kiedy wszyscy inni rodzice z pracy wracają, ja do niej wychodzę. Zdjęcia od rana, teatr po nocach. Moja córka nie ma łatwo.

FOT. AMEM (3), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 3729f5913c

ROZWIĄZANIA

■	N	■	T	A	S	A	K	■	L	■	■	D	■	L	E	P	I	K	■
D	O	M	Y	■	Z	■	U	N	I	K	D	R	W	A	■	R	■	A	L
■	R	■	N	E	P	A	L	■	R	■	■	U	■	U	R	Z	Ą	D	■
B	A	R	K	■	A	■	T	R	A	F	E	T	E	R	■	Y	■	R	O
O	■	E	■	■	C	■	■	I	■	A	L	■	L	■	■	T	■	■	S
G	R	Z	E	C	H	O	T	N	I	K	I	N	A	U	G	U	R	A	C
N	■	O	■	■	L	■	■	G	■	I	T	■	N	■	■	L	■	■	A
A	N	N	A	■	Ó	■	G	O	F	R	A	G	A	T	■	I	■	E	R
■	O	■	U	T	W	Ó	R	■	O	■	■	L	■	R	E	S	O	R	■
O	G	A	R	■	K	■	U	D	K	O	Ł	O	N	O	■	K	■	K	R
■	I	■	A	P	A	C	Z	■	A	■	■	B	■	P	S	O	T	A	■

ŁATWE

7	5	9	2	3	1	8	6	4
8	6	2	4	5	9	7	3	1
3	4	1	8	6	7	2	5	9
1	2	5	6	9	3	4	7	8
9	3	8	7	4	5	1	2	6
4	7	6	1	2	8	3	9	5
2	1	3	5	8	6	9	4	7
6	8	4	9	7	2	5	1	3
5	9	7	3	1	4	6	8	2

ŚREDNIE

9	4	5	7	3	1	2	8	6
8	1	2	4	6	9	5	3	7
6	7	3	2	5	8	9	4	1
1	9	4	3	7	6	8	2	5
2	5	6	1	8	4	7	9	3
3	8	7	5	9	2	6	1	4
5	2	9	6	4	3	1	7	8
7	3	8	9	1	5	4	6	2
4	6	1	8	2	7	3	5	9

TRUDNE

8	1	9	2	6	4	5	7	3
5	6	4	3	9	7	2	1	8
7	3	2	8	1	5	4	6	9
2	4	6	9	3	8	1	5	7
3	5	7	1	4	6	8	9	2
9	8	1	7	5	2	6	3	4
4	9	3	6	8	1	7	2	5
1	7	5	4	2	9	3	8	6
6	2	8	5	7	3	9	4	1

JEDYNA GODNA RZECZ NA ŚWIECIE: TWÓRCZOŚĆ.
A SZCZYT TWÓRCZOŚCI TO TWORZENIE SIEBIE.

Aby język giętki…

PROF. ADAM LESZCZYŃSKI O INSTYTUCJACH POWOŁANYCH PRZEZ PiS

Od wszystkich słyszę to samo – największym problemem są ich gigantyczne i nieracjonalne wydatki.

GEN. PIOTR PYTEL O MEDIACH

Determinacja mediów, żeby nie rozliczyć się ze swoich Suwartów, jest jak walka o życie, widocznie ich relacje z tamtą władzą były głębokie.

PIOTR GADZINOWSKI O PIOTRZE GLIŃSKIM

Największe sukcesy osiągnął jedynie w sektorze muzealnym. Za jego rządów to muzea rosły w siłę, a zatrudnieni tam kaczyści opływali w dostatek.

AGNIESZKA ROMASZEWSKA O JACKU KURSKIM

Popatrzył na mnie i powiedział: jak na kobietę to jesteś dla mnie zbyt inteligentna.

GRZEGORZ ONICHIMOWSKI O PRZYSZŁOŚCI GAZU

Gaz daje systemowi elastyczność i optymalną możliwość jak najszerszego wykorzystania OZE w systemie energetycznym.

JERZY DZIEWULSKI O ZAMACHACH

Zamachy były, są i będą. Jedyne, co można zrobić, to próbować zminimalizować to ryzyko.

IZABELA KUNA O PORANKACH

Wstaję wcześnie, o szóstej, idę z psem na spacer, kupuję w piekarni bagietki, i kiedy wracam do domu, mamy godzinę, żeby posiedzieć przy kawie.

JAN PESZEK O TYM, JAK ŻYĆ

Słowo „fajnie" zawiera cały ludzki wysiłek, żeby nie psuć życia, które samo w sobie jest cudem.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 3729f5913c

Spotkanie na brzegu morza

Spotkanie

Ewa Kuryluk SPOTKANIE NA BRZEGU MORZA

Ewa Kuryluk jest czołową przedstawicielką hiperrealizmu w malarstwie, twórczynią surrealnych i groteskowych litografii, akwatint, akwafort, kolaży, ale też przełomowych instalacji z tkaniny, poza tym fotografką, nagradzaną pisarką i poetką oraz badaczką i historyczką sztuki. Jej prace odzwierciedlają głęboką humanistyczną wrażliwość. Na wystawie zebrane zostały te wczesne, z lat 60. i 70. XX w., w większości niepokazywane do tej pory w Polsce. Wśród eksponatów są kolaże oraz obrazy z cyklu „Człekopejzaże" i „Ekrany", ale nie mogło zabraknąć fragmentów „Żółtych instalacji", które od 2001 r. stanowią dominujący motyw w twórczości artystki. Jednym z najbardziej imponujących elementów wystawy jest monumentalna instalacja z tkaniny „Teatr Miłości", pochodząca z 1986 r.

Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie
pl. Zdrojowy 2
do 18 sierpnia

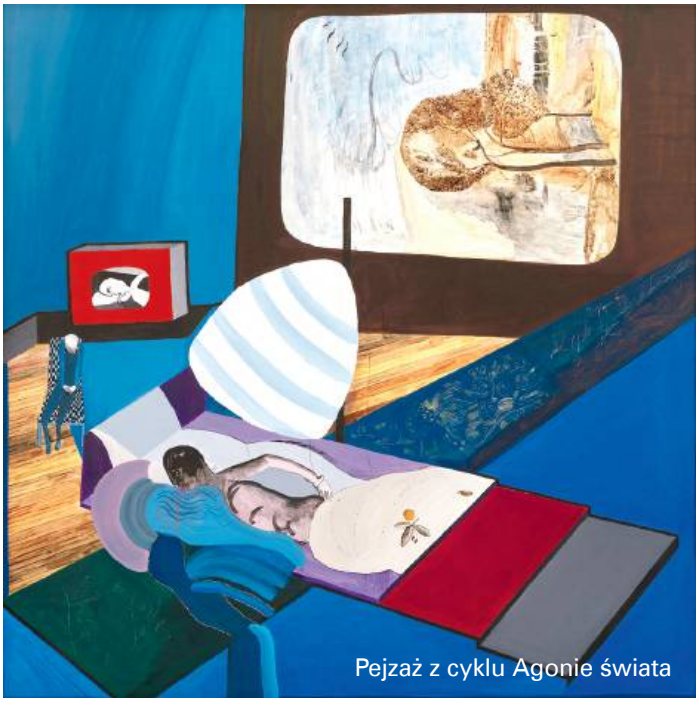

Pejzaż z cyklu Agonie świata

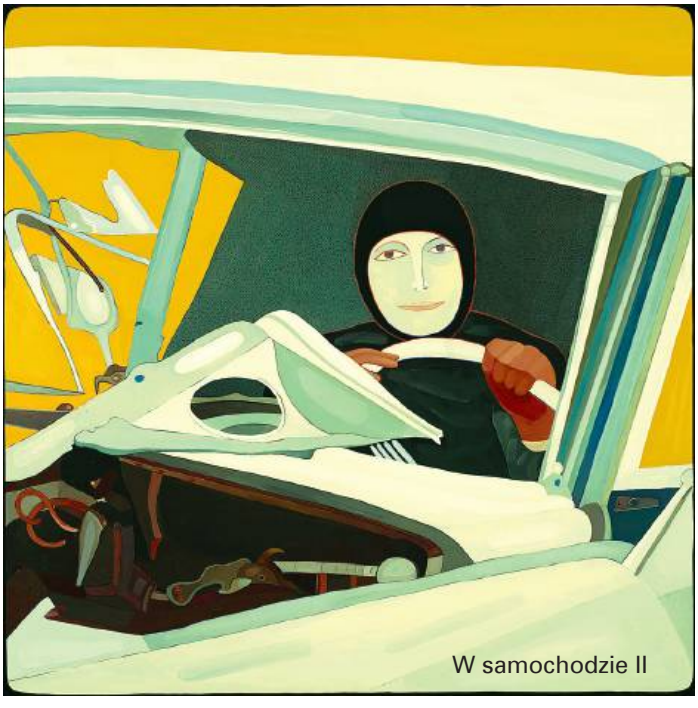

W samochodzie II

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3729f5913c

FILMFESTIVAL MAX OPHÜLS PREIS
Najlepszy reżyser

INTERNATIONAL FILM FESTIVAL ROTTERDAM

SEMINCI
CINE DE AUTOR
VALLADOLID

MFF w Locarno
Nagroda First Look

reżyseria Lukas Nathrath

KOLACJA POŻEGNALNA

Zabawna opowieść o przyjęciu z piekła rodem

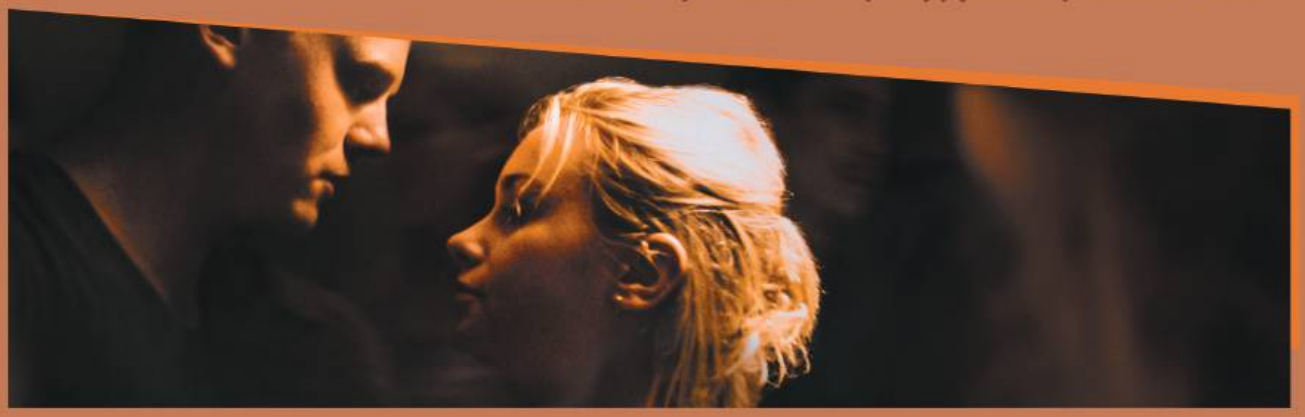

w kinach od 24 maja

Kreatywna Europa MEDIA

german films

AURORA

eprasa.pl 3729f5913c

IRYNA KUDASHOVA IRMA VITOVSKA TOMASZ SOBCZAK TETYANA MALKOVA KOSTYANTYN TEMLYAK
JAMALA ALEX YAKUTOV PAVLO LI VADYM KUCENOK VIKTOR STOROZHENKO VICTORIA MAREMUCHA

W KINACH
OD 31 MAJA

SMAK WOLNOŚCI

Inspirowany wyjątkową ukraińską książką kucharską | Życie to uczta! Ty jesteś kucharzem!

Reżyseria: Oleksandr Berezan | Zdjęcia: Yevgeny Usanov | Scenografia: Dmytro Baran | Kostiumy: Olga Dubrovska
Scenariusz: Olena Morentsova-Shulyk, Olexandra Vitiazieva | Producent kreatywny: Olena Morentsova-Shulyk
Producenci: Artem Denysov, Vitalii Dokalenko

Dystrybutor: luna U!FF UKRAÏNA! FESTIVAL FILMOWY
Partner: UKRAIŃSKI DOM
Postpatrowanie: stowarzyszenie kin studyjnych
Pressa medialna: WP Przegląd GŁOS KULTURY sestry.eu w tartaki kultury filmosfera dla Leidis.pl Hamo Cacko Nasz wybór

eprasa.pl 3729f5913c